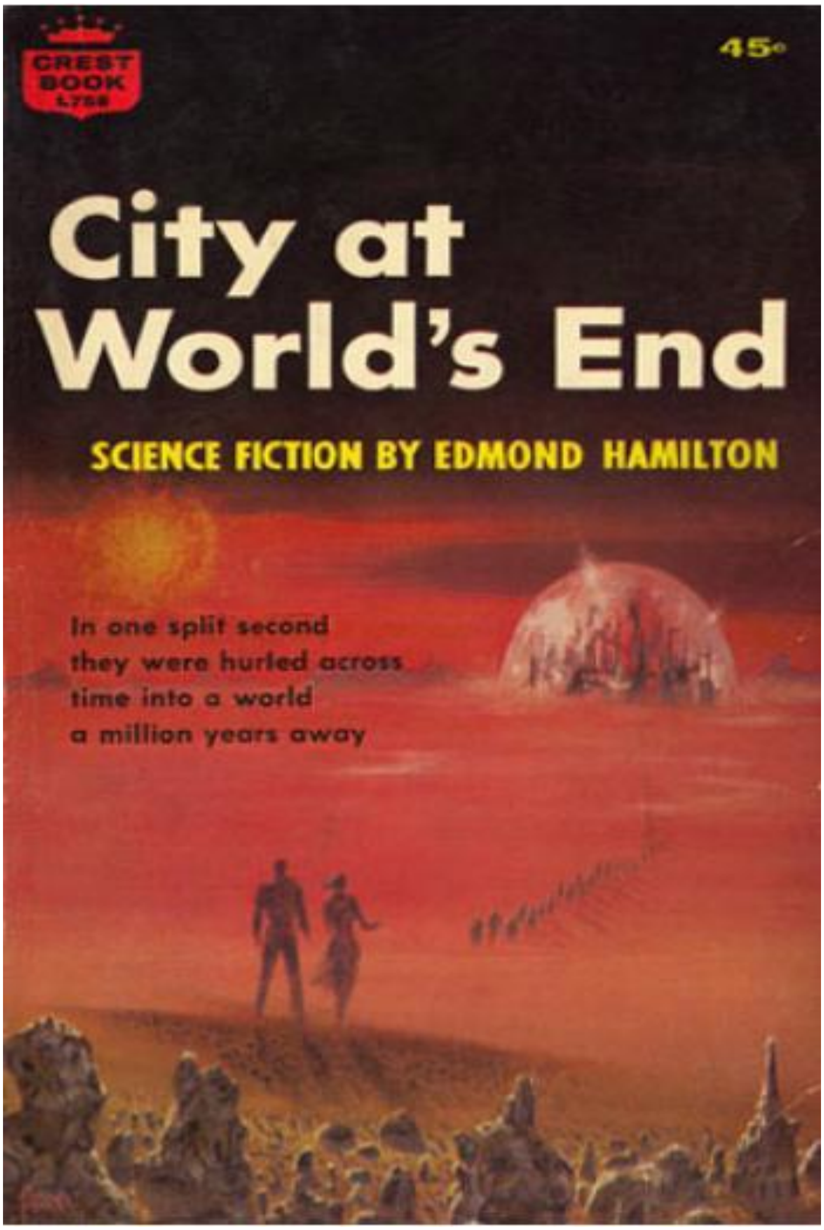

CREST BOOK
45¢
City at World's End
SCIENCE FICTION BY EDMOND HAMILTON
In one split second they were hurled across time into a world a million years away

Edmond Hamilton

Miasto na końcu świata

(City At the World's End)

1951

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

Rozdział 1: Kataklizm

Już po wszystkim, Kenniston zdał sobie sprawę, że było to zupełnie jak śmierć. Każdy oczywiście uświadamia sobie, że pewnego dnia będzie musiał umrzeć, ale tak naprawdę to nikt w to tak do końca nie wierzy. On również wiedział, że niebezpieczeństwo wybuchu wojny atomowej, rozpoczynającej się od ciosu zadanego znienacka, jest jak najbardziej realne, ale była ona postrachem już od tak dawna, że tak naprawdę w to po prostu nie wierzył.

A przynajmniej nie wierzył do tego czerwcowego poranka, kiedy na Middletown spadła rakieta. Potem oczywiście nie było już czasu na uświadamianie sobie czegokolwiek. Nie jesteś w stanie usłyszeć czegoś, co porusza się szybciej niż dźwięk. W jednej chwili szedł sobie w kierunku fabryki, przygotowując się do nieuniknionej rozmowy, z kroczącym w jego stronę policjantem. W następnej chwili niebo rozpadło się w kawałki.

Rozpadło się zupełnie i całe miasteczko spowił ogień oraz błysk światła, tak błyskawiczny, tak gwałtowny, że wydawało się, że to samo powietrze wybuchło nagłym płomieniem. W tym samym ułamku sekundy, kiedy niebo stanęło w ogniu, a ziemia podskoczyła mu dziko pod stopami, Kenniston już wiedział, że nadszedł atak z zaskoczenia, i pierwsza z bomb super-atomowych, których obawiano się od tak dawna, eksplodowała w om nad głowami…

To szok, pomyślał Kenniston, kiedy jego twarz przycisnęła się do brudnego chodnika. Szok, chroniący umierającego człowieka przed doznawaniem uczucia bólu. Leżał tam, czekając na ostateczne zniszczenie, kiedy pierwszy błyskawiczny błysk ognia na niebie zniknął, a rozdygotany świat nagle się uspokoił. Równie szybko jak to się zaczęło, tak samo było po wszystkim.

Powinien być już martwy. Bardzo prawdopodobne wydawało mu się, że umiera właśnie teraz, co wyjaśniałoby ciemniejące światło i złowieszczy spokój. Wbrew temu przekonaniu jednak udało mu się najpierw unieść głowę, a potem stanąć na drżących nogach, głęboko oddychając aby uciszyć dzikie walenie serca, oraz walcząc ze zwierzęcym impulsem by uciekać, bez celu, dla samej tylko ucieczki. Popatrzył w dół Mill Street. Spodziewał się ujrzeć starte na proch budynki, dymiące kratery i leje po wybuchach, ogień, dym i zniszczenie. Ale to co zobaczył było jeszcze bardziej zdumiewające, i w jakiś dziwny sposób, jeszcze bardziej straszne.

Zobaczył Middletown bez żadnych zmian, spokojne i skąpane w promieniach słońca.

Policjant, który właśnie do niego podchodził, aby z nim porozmawiać, ciągle tam przed nim był. Powoli podnosił się z kolan i rąk, w miejscu gdzie rzucił go wstrząs. Usta miał nadal otwarte ze zdziwienia, a czapka spadła mu z głowy. Jego szeroko wytrzeszczone oczy, były pełne oszołomienia i strachu. Za nim stała jakaś starsza pani, z głową owiniętą szalem. Ona też tu wcześniej była. Wstawała, przytrzymując się ściany, podczas gdy torba z zakupami, które niosła ze sobą, leżała rozdarta u jej stóp, a cały chodnik zasłany był cebulami i puszkami z zupą. Na całej długości ulicy jechały ciągle samochody i tramwaje, wyczyniając teraz dzikie harce, w próbie zatrzymania się. Poza tymi, w sumie niewielkimi rzeczami, nie było niczego nienormalnego, kompletnie niczego.

Policjant w końcu się pozbierał i podszedł do Kennistona. Wyglądał jak młody, energiczny i kompetentny funkcjonariusz. Albo raczej wyglądałby, gdyby jego twarz nie była taka martwa, a oczy takie oszołomione. Zapytał ochrypłym głosem:

– Co się stało?

Kenniston odpowiedział mu, ale słowa, które padały z jego ust, nawet dla niego brzmiały dziwacznie i mało prawdopodobnie:

– Zostaliśmy trafieni przez bombę super-atomową.

Policjant gapił się na niego niedowierzającym wzrokiem:

– Czy pan oszalał?

– Tak – odparł Kenniston. – Wydaje mi się, że chyba oszalałem. Myślę, że to jest jedyne wyjaśnienie.

W mózgu zaczęło coś mu pulsować. Powietrze wydało mu się nagle zimne i dziwne. Światło słoneczne stało się teraz jakieś bardziej mroczne, czerwieńsze i już tak bardzo nie grzało. Kobieta w szalu płakała. Po chwili, ciągle łkając, z jękiem bólu opadła na swoje grube stare kolana. Kenniston pomyślał, że ma zamiar się modlić, ale zamiast tego, zaczęła zbierać swoje porozrzucane cebule, grzebiąc w nich tak jak dziecko, i próbując powkładać je do podartej papierowej torby.

– Niech pan posłucha – powiedział policjant. – Czytałem materiały o tych bombach super-atomowych, w gazetach. Pisali w nich, że są tysiące razy silniejsze niż zwykłe bomby atomowe, jakie wcześniej mieliśmy. Gdyby któraś z nich uderzyła w jakieś miejsce, kompletnie nic by z niego nie zostało. – Jego głos stał się silniejszy. Widać było, że powoli sam siebie przekonywał. – A więc, nie mogła w nas trafić żadna bomba super-atomowa. To musiało być coś innego.

– Przecież widział pan ten przerażający rozbłysk na niebie, czy nie tak? – powiedział Kenniston.

– Tak, tak. Widziałem. Ale… – Twarz policjanta w jednej chwili się rozjaśniła. – Powiedzmy, że to był niewybuch. Tak, to musiało być to. Ta bomba super-atomowa, którą straszyli cały świat, okazała się być po prostu klapą. – Roześmiał hałaśliwie się, z ogromną ulgą. – Czy to nie jest zabawne? Przez całe lata opowiadali nam, jakie niby to straszne skutki miała powodować, a potem okazało się, że zrobiła tylko wielki huk i błysk, tak jak kiepski fajerwerk na Czwartego Lipca.

To mogła być prawda, pomyślał Kenniston z dzikim przypływem nadziei. To mogła być prawda.

Potem jednak spojrzał w górę i zobaczył Słońce.

– Być może przez cały czas był to tylko blef – głos policjanta rechotał dalej. – Być może tak naprawdę, to w ogóle nie mieli żadnej bomby super-atomowej.

Kenniston, nie opuszczając wzroku, wykrztusił suchym szeptem.

– Mieli, mieli. I to zupełnie dobre. I jednej z nich użyli na nas. Myślę, że po prostu jesteśmy martwi, tylko tego jeszcze nie wiemy. Jeszcze nie zdaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy tylko duchami, i już nie jesteśmy na Ziemi.

– Nie na Ziemi? – gniewnie powiedział policjant. – No, niech pan słucha. Teraz to…

I wtedy jego głos zaczął stopniowo zamierać, by w końcu ugrzęznąć w głuchej ciszy, ponieważ powiódł wzrokiem za osłupiałym spojrzeniem Kennistona, i również popatrzył na Słońce.

To zdecydowanie nie było Słońce. A przynajmniej nie Słońce, które wszystkie generacje ludzkości i oni sami, znali jako złote, oślepiające ciało niebieskie. Na to Słońce, można było patrzeć bez zmrużenia oczu. Można było wpatrywać się w nie dowolnie długo, ponieważ było jedynie bardzo dużą, ciemno świecącą czerwoną kulą, z niewielkimi płomieniami wijącymi się wokół jej krawędzi. Znajdowało się również dużo wyżej na niebie niż poprzednio. A mimo to powietrze zaczynało robić się zimne.

– Jest w zupełnie złym miejscu – powiedział policjant. – I wygląda też zupełnie inaczej. – Sięgnął do na wpół zapomnianej wiedzy ze szkoły średniej, szukając wyjaśnienia tego fenomenu. – Refrakcja. Kurz wzniesiony przez niewybuch bomby…

Kenniston nawet nie próbował mu wyjaśniać. Jaki byłby z tego pożytek? Co by mu dało, gdyby się dowiedział tego, z czego on sam jako naukowiec, doskonale zdawał sobie sprawę. Nie było możliwości, żeby jakakolwiek refrakcja tak zmieniła Słońce, aby wyglądało w ten sposób.

Zamiast tego powiedział:

– Być może ma pan rację.

– Z pewnością mam rację – głośno powiedział policjant. Nie patrzył już w górę, na Słońce. Wydawał się wręcz unikać nawet spojrzenia w tym kierunku.

Kenniston ruszył dalej po Mill Street. Kiedy to się wszystko wydarzyło, właśnie był w drodze do laboratorium. Szedł więc dalej, szybkim krokiem. Chciał porozmawiać z Hubblem i pozostałymi, aby usłyszeć co oni mają do powiedzenia na temat dzisiejszego fenomenu.

Zaczął trochę podśmiewać się z siebie.

– Jestem duchem, idę porozmawiać z innymi duchami o naszej nagłej i niespodziewanej śmierci. – Potem jednak powiedział sobie zawzięcie. – Dosyć tego! Jesteś przecież naukowcem. Na co komu ta twoja nauka, jeśli rozpada się w gruz, w obliczu jakiegoś niewyjaśnionego zjawiska?

To, delikatnie mówiąc, było niedopowiedzenie. Bomba super-atomowa wybucha nad cichym małym miasteczkiem na Środkowym Zachodzie, zamieszkałym przez pięćdziesiąt tysięcy ludzi, i kompletnie nic się nie dzieje, poza pojawieniem się na niebie nowego Słońca. A on nazwał to niewyjaśnionym zjawiskiem.

Kenniston szedł dalej ulicą. Coraz bardziej przyśpieszał kroku, ponieważ powietrze stało się zimne, jak na obecną porę roku. Nie zatrzymywał się, by rozmawiać z wyglądającymi na straszliwie zdumionych, ludźmi, których spotykał po drodze. W większości przypadków byli to mężczyźni, którzy akurat byli w drodze do pracy we młynach w Middletown, kiedy to wszystko się wydarzyło. Stali teraz w grupkach, łamiąc sobie głowy i zawzięcie dyskutując na temat nagłego rozbłysku i wstrząsu. Określenie, które Kenniston słyszał najczęściej to „trzęsienie ziemi”. Mijani ludzie nie wyglądali na zbyt zdenerwowanych. Byli trochę podekscytowani i w sumie zadowoleni, że wydarzyło się coś, co przerwało monotonną rutynę ich szarej codzienności. Niektórzy z nich spoglądali co prawda w górę, przyglądając się dziwnemu, ponuro-czerwonemu Słońcu, ale wydawali się być raczej zmieszani niż zaniepokojeni.

Powietrze zrobiło się zimne i stęchłe. A czerwone, mroczne światło Słońca, sprawiało niesamowite wrażenie. Spotykanych ludzi jednak to za bardzo nie niepokoiło. Pomimo wszystko nie było to dużo bardziej niespotykane, niż chłodne powietrze i ponure światło, które często na Środkowym Zachodzie zapowiadało burzę.

Kenniston skręcił w bramę budynku z przydymionej brudnoczerwonej cegły, opatrzonego szyldem: „PRZEMYSŁOWE LABORATORIA BADAWCZE”. Strażnik w bramie kiwnął mu tylko głową, pozwalając mu przejść bez nagabywania.

Ani strażnik, ani nikt inny w pięćdziesięciotysięcznej społeczności mieszkańców Middletown, poza kilkoma urzędnikami miejskimi, nie zdawał sobie sprawy, że to co wyglądało na laboratorium przemysłowe, tak naprawdę było siedzibą jednego z kluczowych centrów nerwowych, systemu obrony przeciwatomowej Ameryki.

Sprytne, pomyślał Kenniston. To było sprytne zagranie ze strony osób odpowiedzialnych za rozproszenie systemu, aby ukryć to kluczowe laboratorium atomowe, w prozaicznym małym miasteczku młynarskim na Środkowym Zachodzie.

– Ale niewystarczająco sprytne – pomyślał dalej.

Nie, a przynajmniej nie do końca, wystarczająco sprytne. Nieznany jak dotąd wróg, musiał poznać ten sekret, i wymierzył pierwszy paraliżujący cios, swojego niespodziewanego ataku, właśnie w ukryte centrum nerwowe w Middletown.

Super-atomowe uderzenie, by zmiażdżyć centrum nerwowe, zanim jeszcze rozpocznie się wojna. Tylko super-atomówka zawiodła. Chociaż czy aby na pewno tak było? To słońce, było zupełnie różne od Słońca. A powietrze również było dziwne i zimne.

W wejściu do wielkiego budynku z cegły, Kenniston spotkał Crisciego. Crisci był najmłodszym członkiem personelu, wysokim, ciemnowłosym młodzieńcem. A ponieważ był najmłodszy, z całą mocą próbował nie pokazać po sobie nawet cienia emocji.

– Wygląda na to, że zaczyna się – powiedział Crisci, starając się uśmiechnąć. – Atomowy Armageddon, ostateczne fajerwerki. – Potem zrezygnował z prób dowcipkowania. – Dlaczego nas to nie rozpirzyło w kawałki, Kenniston? Czemu stało się inaczej?

Kenniston zapytał z kolei jego:

– Geigery niczego nie pokazują?

– Niczego. Jakiś drobiazg.

To, pomyślał z odrętwieniem Kenniston, nawet pasuje do obłąkanego nieprawdopodobieństwa tego wszystkiego.

– Gdzie jest Hubble? – zapytał.

Crisci odpowiedział jakimś nieokreślonym gestem.

– Gdzieś tam na górze. Próbował połączyć się z Waszyngtonem, ale wszystkie połączenia kablowe zdechły, i nawet radio nie jest jeszcze w stanie się przebić.

Kenniston przeszedł przez zawalone różnymi rupieciami podwórze fabryki. Jego szef, Hubble, stał patrząc w górę, na mroczne niebo i czerwone ciemne Słońce, na które można było spoglądać bez zmrużenia oczu. Miał około pięćdziesiątki, ale w tej chwili wyglądał na dużo więcej. Jego siwe włosy porozrzucane były w nieładzie, a na szczupłej twarzy rysowało się napięcie.

– Nie ma jak na razie żadnej możliwości, żeby określić skąd przyleciał ten pocisk – powiedział Kenniston.

Wtedy jednak zdał sobie sprawę, że myśli Hubble'a błądziły wokół zupełnie innych spraw, ponieważ tamten tylko pokiwał głową z roztargnieniem.

– Popatrz na te gwiazdy, Kenniston.

– Gwiazdy? Gwiazdy w ciągu dnia…?

I wtedy, patrząc w górę, Kenniston zorientował się, że na niebie nawet teraz widać było gwiazdy. Słabe, migoczące punkciki widoczne były na całym tym dziwnym mrocznym niebie, nawet w pobliżu ciemnego Słońca.

– To wszystko jest nie tak – powiedział Hubble. – To wszystko jest bardzo nie tak.

Kenniston zapytał.

– Co się stało? Czy ta ich bomba super-atomowa naprawdę zrobiła klapę?

Hubble opuścił swój wzrok i mrugnął do niego.

– Nie – delikatnie powiedział, – nie zrobiła klapy. Wybuchła.

– Ale Hubble, jeśli ta super-atomówka wybuchła, to dlaczego…

Hubble zignorował to pytanie. Przeszedł do swojego biura w Laboratorium i zaczął wyciągać książki, które miał w podręcznej biblioteczce. Ku zaskoczeniu Kennistona, otworzył je na stronach ze wzorami astronomicznymi. Następnie Hubble wziął ołówek i zaczął pośpiesznie w notatniku gryzmolić jakieś obliczenia.

Kenniston chwycił go za ramię.

– Na rany Chrystusa, Hubble, nie czas teraz na jakieś naukowe teoretyzowanie! Miasto nie zostało trafione, ale stało się coś naprawdę dużego, i…

– Do diabła, odczep się ode mnie! – powiedział Hubble, nie odwracając głowy.

Przekleństwo w ustach tak spokojnego zazwyczaj Hubble'a, było wstrząsem, który uciszył Kennistona. Hubble kontynuował swoje wyliczenia, sięgając często do książek. Biuro było tak ciche, jak gdyby w ogóle nic się nie wydarzyło. W końcu Hubble podniósł głowę. Kiedy wskazywał na wyliczenia w notatniku, jego ręka nieco się trzęsła.

– Widzisz to, Ken? To jest dowód… dowód czegoś, co po prostu nie mogło się wydarzyć. Co ma zrobić naukowiec, jeśli musi stawić czoła sytuacji tego rodzaju?

Na szarej twarzy Hubble'a widoczny był szalony szok i lęk, a to było tylko pożywką dla jego własnego strachu. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, wszedł Crisci. Już od progu powiedział:

– Ciągle nie jesteśmy w stanie skontaktować się z Waszyngtonem. Nie możemy też zrozumieć jednej rzeczy. Nasze próby połączenia pozostają kompletnie bez odpowiedzi, a żadna ze stacji radiowych poza Middletown wydaje się niczego nie nadawać.

Hubble gapił się na notatnik.

– To wszystko pasuje. Tak, to wszystko pasuje.

– Co pan o tym sądzi, panie doktorze? – zapytał z niepokojem Crisci. – Ta bomba wybuchła nad Middletown, a nawet nikogo nie zraniła. Teraz dla odmiany, tak jakby cały świat poza Middletown, kompletnie zamilkł!

Kenniston, ciągle czując chłód po tym, co zobaczył na twarzy Hubble'a, czekał aż starszy naukowiec powie im czego się dowiedział albo domyślał. Nagle jednak przeraźliwie głośno zadzwonił telefon.

To był interkom z portierni w bramie. Hubble go odebrał. Po mniej więcej minucie powiedział:

– Tak, proszę pozwolić mu wejść. – Odłożył słuchawkę. – To Johnson. Wiecie, ten elektryk, który robił dla nas pewne podłączenia. Mieszka na peryferiach, prawie na granicy miasta. Powiedział strażnikowi, że właśnie dlatego chciał się ze mną zobaczyć. Ponieważ mieszka na granicy miasta.

Po wejściu Johnsona, od razu zobaczyli, że tego człowieka opanowało takie przerażenie, jakiego Kenniston nigdy sobie nawet wcześniej nie wyobrażał. Bał się tak bardzo, że prawie nie był w stanie niczego z siebie wykrztusić.

– Pomyślałem sobie, że panowie możecie wiedzieć – powiedział w końcu do Hubble'a. – Zdaje się, że ktoś musi mi powiedzieć co się stało, albo stracę rozum. Mam uprawne pole, panie Hubble. To długie pole, a dalej jest rów graniczny i za nim stodoła mojego sąsiada.

Zaczął cały się trząść, i Hubble nieco go ponaglił:

– No i co z tym pańskim polem?

– Jego część znikła – powiedział Johnson, – i rów graniczny, stodoła… Panie Hubble to całkiem znikło, wszystko…

– To na skutek wybuchu – delikatnie tłumaczył mu Hubble. – Przecież wie pan, że dopiero co trafiła nas bomba.

– Nie – powiedział Johnson – Podczas ostatniej wojny byłem w Londynie. Wiem co może spowodować wybuch. Ja nie mówię o zniszczeniu. To jest… – Szukał właściwego słowa, ale nie mógł go znaleźć. – Miałem nadzieję, że panowie możecie wiedzieć co to jest.

Lodowate przeczucia Kennistona, ta bezkształtna narastająca w nim groza, stała się zbyt silna, by mógł ją dłużej znieść. Powiedział:

– Może pójdziemy tam i rzucimy na to okiem.

Hubble spojrzał na niego, a potem skinął głową i wstał z krzesła, powoli, jakby nie chciał iść, ale zmusił się do tego. Powiedział:

– Wydaje mi się, że będziemy mogli zobaczyć wszystko z wieży ciśnień. To najwyższy punkt w mieście. Niech pan nadal próbuje się przebić, Crisci.

On i Kenniston wyszli z terenu Laboratorium, przeszli przez Mill Street i zaśmiecone tory kolejowe, dochodząc do dużej, stojącej na palach wieży ciśnień Middletown. Powietrze stawało się coraz zimniejsze. Czerwone światło słoneczne, w ogóle nie niosło ze sobą ciepła i kiedy Kenniston złapał za żelazny szczebel drabinki, aby zacząć się po niej wspinać, był on zimny jak pręt z lodu. Szedł w górę za Hubblem, nieustannie wbijając wzrok w uciekające mu podeszwy jego butów. To była bardzo długa wspinaczka. Raz musieli się zatrzymać, aby

nieco odetchnąć. W miarę jak wchodzili coraz wyżej, wiał coraz silniejszy wiatr, niosący ze sobą ślad zapachu suchej pleśni, przypominający Kennistonowi powietrze dolatujące z głębokich skalnych grobowców, w których przez całe wieki zbierał się kurz.

W końcu wyszli na ogrodzoną platformę wokół dużego, wysokiego zbiornika. Kenniston spoglądał w dół, na miasteczko. Widać było grupy ludzi, zbierających się na narożnikach ulic i dachy samochodów. Kilka z nich powoli się poruszało, ale większość stała i korkowała ulice. Wszędzie panowała ciekawa, swoista cisza,

Hubble nie tracił czasu na przyglądanie się miastu, za wyjątkiem jednego krótkiego spojrzenia, jakim obrzucił je całe, panoramę Middletown ze wszystkimi budynkami stojącymi tak jak zawsze, z żelaznym żołnierzem z czasów Wojny Secesyjnej, który nadal wyprostowany pełnił straż na Placu, i równo wznoszącym się tumanem kurzu z hałd koło młynów. Potem spojrzał na zewnątrz. Nic nie mówił, ale niebawem oczy Kennistona również skierowały się na widok rozciągający się poza miastem.

Patrzył przez dłuższą chwilę, zanim to co zobaczył zaczęło do niego docierać.

Siatkówki jego oczu, przekazywały obraz nieustannie, jeszcze raz, i jeszcze raz, ale mózg uchylał się od swego zadania, nadania temu obrazowi sensu, taki był on nieprawdopodobny, wręcz niemożliwy… Nie. To musi być pył, refrakcja, albo iluzja stworzona przez ciemne, czerwone światło słoneczne, ale to nie może być prawda. Zgodnie ze wszystkimi znanymi prawami przyrody, obowiązującymi od stworzenia świata, to co widzieli nie mogło być prawdą!

Cała okolica wokół Middletown znikła. Pola, zielone, płaskie pola Środkowego Zachodu, rzeki i strumienie, stare porozrzucane farmy, wszystko to znikło. Na zewnątrz miasta rozciągał się teraz zupełnie odmienny, całkowicie obcy krajobraz.

Pagórkowata, brunatno-żółta równina, smutna i pusta, wznosiła się w kierunku grzbietu zniszczonych wzgórz, których nigdy wcześniej tam nie było. Nad tym jałowym, bezludnym światem, nieustannie wiał wiatr, targający żółtorudym zielskiem, wzbijający grube chmury pyłu, i wciskający je z powrotem w ziemię. Słońce spoglądało w dół, jak wielkie, mętne oko, z rzęsami z poskręcanych płomieni i lśniącymi gwiazdami, uroczyście wędrującymi po niebie za dnia. A dokoła tego wszystkiego, Ziemi, gwiazd i Słońca, unosiło się tchnienie śmierci, cisza i wyczekiwanie, nieprzystępność, która nie miała nigdy do czynienia z człowiekiem, lub z czymkolwiek co żyło.

Kenniston mocno chwycił za barierkę, czując jak gdzieś daleko pod nim kruszy się jego całe poczucie rzeczywistości, szaleńczo szukając jakiegoś wyjaśnienia, jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia, tej nieprawdopodobnej scenerii.

– Bomba, czy ona mogła jakoś porazić tę okolicę na zewnątrz miasta, zamiast samego Middletown?

– Czy ona mogła usunąć stąd rzekę, a zamiast niej przynieść tutaj te wzgórza i te żółte zarośla? – powiedział Hubble. – W jaki sposób wybuch bomby miałby tego dokonać?

– Ale na miłość Boską, co się więc…

– Trafiła dokładnie w nas, Kenniston. Wybuchła dokładnie nad Middletown, i wtedy coś się stało… – Przerwał na chwilę, a potem kontynuował. – Nikt tak naprawdę nie wiedział, jaki może być efekt wybuchu bomby super-atomowej. Były pewne logiczne teorie, pozwalające snuć na ten temat pewne rozważania, ale tak naprawdę nikt *nie wiedział* niczego, poza tym, że nagle zostałaby uwolniona skoncentrowana najpotężniejsza, najbardziej gwałtowna moc w historii. No i ona właśnie została uwolniona nad Middletown. I była rzeczywiście potężna. Tak ogromna, że…

Przerwał ponownie, jak gdyby nie do końca mógł zebrać się na odwagę, aby wypowiedzieć na głos wiedzę, którą miał w głowie. Wskazał gestem mroczne niebo.

– To jest nasze Słońce, nasze własne Słońce… ale teraz jest ono bardzo stare. A ta Ziemia, którą widzimy tutaj dookoła, też jest bardzo stara, jałowa, zerodowana i umierająca.

A gwiazdy… Patrzyłeś na gwiazdy, Ken, ale ich nie widziałeś. One są zupełnie inne, ich układy zostały zniekształcone przez ruchy gwiazd, w sposób, w jaki tylko miliony lat mogłyby to spowodować.

Kenniston wyszeptał:

– Miliony lat? A więc myślisz, że bomba… – Nie skończył. Wiedział już jak czuł się Hubble. Jak nazwać zjawiska o których nigdy przedtem nie mówiono?

– Tak, bomba – powiedział Hubble. – Moc, potęga jakiej nigdy wcześniej nie znano, zbyt wielka, by więziły ją zwykłe ograniczenia materii, zbyt wielka by marnować swoją siłę na trywialną fizyczną destrukcję. Zamiast rozdzierać budynki, *ona rozdarła przestrzeń i czas*.

Przeczenie Kennistona, przybrało formę ochrypłego krzyku.

– Hubble, nie! To szaleństwo! Czas jest absolutem…

Hubble odparł:

– Przecież wiesz, że to nieprawda. Wiadomo od czasów teorii Einsteina, że nie ma czegoś takiego jak sam czas, że zamiast tego mamy do czynienia z kontinuum czasoprzestrzennym. A to kontinuum jest zakrzywione, i dostatecznie duża siła może przerzucić materię z jednej części krzywej na drugą.

Uniósł drżącą rękę, wskazując na śmiertelnie obcy krajobraz na zewnątrz miasteczka.

– I uwolniona moc pierwszej bomby super-atomowej właśnie to zrobiła. Wyrzuciła to miasto do innej części krzywej czasoprzestrzennej, do innej epoki, miliony lat w przyszłość, na tę umierającą Ziemię przyszłości!

Rozdział 2: Niewiarygodne

Kiedy wrócili na teren Laboratorium, pozostała część zespołu już na nich czekała. Przed frontem budynku, drżąc z chłodu w czerwonym świetle słonecznym, stało dwunastu ludzi. Najmłodszym z nich był Crisci, a najstarszym Beitz. Razem z nimi stał również Johnson, oczekujący odpowiedzi na swoje pytania. Hubble popatrzył na niego oraz pozostałych i powiedział:

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka.

Nie zadawali pytań, mimo że te aż w nich kipiały. W milczeniu podążali za Hubblem przez drzwi wejściowe, wykonując nerwowe, niezgrabne ruchy, typowe dla ludzi znajdujących się w tak olbrzymim napięciu psychicznym, że ich centra nerwowe odpowiedzialne za refleks, nie były już w stanie normalnie działać. Kenniston szedł razem z nimi, ale tylko do pewnej chwili. Potem skręcił w bok, w kierunku swojego biura, mówiąc:

– Muszę się dowiedzieć, czy u Carol wszystko jest w porządku.

Hubble polecił mu ostrym tonem:

– Nie mów jej, Ken. Jeszcze nie.

– Nie – zgodził się Kenniston. – Nie powiem.

Wszedł do małego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Telefon stał na biurku, sięgnął więc po niego, ale w ostatniej chwili cofnął rękę. Strach, który czuł, przeszedł obecnie w coś w rodzaju odrętwienia, jak gdyby był zbyt duży, by zmieścić się w ludzkim ciele i gdzieś z niego wypłynął, unosząc ze sobą całą esencję siły i woli, tak jak woda unosi piasek. Patrzył na czarne, doskonale sobie znane urządzenie, i myślał o tym jak nieprawdopodobny wydaje się fakt, że nadal mogą istnieć jakieś tam telefony, a obok nich leżą grube książki z wieloma nazwiskami i numerami należącymi do ludzi, niegdyś mieszkających w okolicznych wioskach i miasteczkach, ale których już tam nie ma. Nie ma od… jak długo? Jeśli spojrzeć z jednego punktu widzenia, to mniej więcej od godziny. Jeśli spojrzeć z innego…

Usiadł na krześle, za biurkiem. Siedząc w tym krześle, wykonał mnóstwo ciężkiej pracy, a teraz cała ta praca, przestawała mieć jakiekolwiek znaczenie. Całkiem dużo rzeczy przestało cokolwiek znaczyć. Plany i pomysły, na to gdzie spędzić swój miodowy miesiąc, i gdzie dokładnie chciałoby się zamieszkać, w jakim domu. Floryda, Kalifornia i Nowy Jork stały się słowami tak samo pozbawionymi znaczenia, jak „wczoraj”, czy „jutro”. Wszystkie te czasy i miejsca znikły, i nic z nich nie pozostało, poza samą Carol, a może nawet i Carol także już nie było, może wybrała się ze swoją ciotką na małą przejażdżkę na wieś, a jeżeli nie było jej w Middletown, kiedy to wszystko się wydarzyło, to odeszła, odeszła, odeszła…

Złapał oburącz telefon i podał numer do słuchawki, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Operator centrali wykazał w stosunku do niego sporą cierpliwość. Każdy w Middletown zdawał się obecnie próbować zadzwonić do kogoś innego, i kiedy czekał, to ponad gwarem i pstrykaniem przełączników i koszmarną plątaniną głosów, słyszał w uszach walenie swojego serca, myśląc że właściwie nie powinien chcieć, aby Carol tu była, że wręcz przeciwnie, powinien modlić się, żeby gdzieś wyjechała, ponieważ dlaczego miałby chcieć, aby ktoś kogo kochał, musiał stawić czoła temu co było jeszcze przed nimi. A co było przed nimi? Skąd mógł wiedzieć, który z tych wszystkich ciemnych, bezkształtnych horrorów może ich…

– Ken? – Usłyszał w słuchawce głos. – Ken, czy to ty? Halo!

– Carol – powiedział z ulgą. Pokój wokół niego pogrążył się we mgle i wszystko znikło poza tym głosem na drugim końcu linii.

– Próbuję i próbuję, ale ciągle nie mogę cię złapać, Ken! Co się stało, do licha? Całe miasto jest podekscytowane… Widziałam straszliwy błysk, jakby pioruna, ale przecież nie było żadnej burzy, a potem to trzęsienie… Czy u ciebie wszystko w porządku?

– Pewnie, wszystko dobrze… – Jak na razie jeszcze nie była naprawdę wystraszona. Zaniepokojona, zdenerwowana, ale nie wystraszona. Błysk jakby pioruna i trzęsienie. Alarmujące, tak, ale nie przerażające, to przecież jeszcze nie koniec świata… Pozbierał się mocno do kupy. Powiedział: – Jeszcze nie wiemy, co to było.

– Czy będziecie potrafili to stwierdzić? Ktoś przecież musi wiedzieć. – Nie domyślała się oczywiście, że Kenniston jest fizykiem atomowym. Nie wolno mu było tego nikomu powiedzieć, nawet swojej własnej narzeczonej. Dla niej, był zaledwie technikiem badawczym w zwykłym laboratorium przemysłowym, mgliście łączącym się z probówkami i badaniem jakichś rzeczy. Nigdy nie wypytywała go zbyt dokładnie o pracę, najwidoczniej zadowolona z tego, że może to wszystko zostawić do jego decyzji, a on był jej za to niezmiernie wdzięczny, ponieważ oszczędziło mu to konieczności jej okłamywania. Teraz był z tego jeszcze bardziej zadowolony, ponieważ nie przychodziło jej nawet do głowy, że mógł mieć jakieś specjalne informacje. W ten sposób, mógł dać jej nieco więcej czasu, i przekazać prawdę, kiedy będzie przy niej.

– Zrobimy, co tylko będzie w naszej mocy – odparł. – Ale dopóki się nie upewnimy, chciałbym, żebyście razem z twoją ciocią, zostały w domu i nie wychodziły na ulicę. Nie, i tak nie wydaje mi się, aby ten twój brydżowy obiadek doszedł do skutku. A same jeszcze nie wiecie, co potrafią zrobić ludzie, kiedy są przerażeni. Obiecujesz? Tak… tak, przyjdę z pracy jak tylko będę mógł.

Odłożył słuchawkę, ale jak tylko połączenie z Carol zostało przerwane, rzeczywistość ponownie zaczęła mu wymykać się z rąk. Rozejrzał się wokoło po biurze, które nagle wydało mu się okropnym miejscem, ponieważ to co w nim robił, przestało mieć już jakiekolwiek znaczenie. Poczuł nagłą ochotę, żeby stąd gdzieś wyjść, jednakże kiedy wstawał, zastygł na kilka chwil z rękoma na krawędzi biurka, a w głowie kotłowały mu się nieustannie słowa Hubble’a, wspomnienie tego jak wyglądało Słońce, gwiazdy, obca Ziemia, wiedząc że to wszystko jest po prostu niemożliwe, ale nie mogąc temu zaprzeczyć. Długi korytarz czasu i moc rozrywająca go na strzępy… Desperacko pragnął stąd uciec, ale nie było żadnego miejsca w którym mógłby się schronić. Wkrótce jednak trochę się opanował, wyszedł i przeszedł korytarzem do biura Hubble’a.

Byli tam wszyscy, dwunastu ludzi z obsady laboratorium i Johnson. Johnson sam siebie zagonił w ślepy zaułek. Widział, co się stało na zewnątrz miasteczka, w przeciwieństwie do pozostałych. Próbował to wszystko jakoś ogarnąć, zrozumieć sam fakt oraz jego wyjaśnienie, które właśnie przed chwilą usłyszał. Obserwowanie jak próbuje się z tym uporać, nie było rzeczą przyjemną. Kenniston przebiegł wzrokiem po pozostałych. Z tymi wszystkimi ludźmi blisko współpracował. Wydawało mu się, że zna ich zupełnie dobrze, nieraz widząc jak działają w stresie, w chwilach gdy ich praca kończyła się sukcesem, i w innych, kiedy nic się nie udawało. Teraz jednak zrozumiał, że są zupełnie obcy, zarówno dla niego, jak i dla siebie nawzajem, samotni i nieufni, przepełnieni swoimi osobistymi lękami.

Stary Beitz powiedział, prawie zaczepnie:

– Nawet jeśli to wszystko jest prawdą, to nie możesz określić ile minęło czasu. Nie, tylko na podstawie gwiazd.

Hubble odparł:

– Nie jestem astronomem, ale każdy może to wyliczyć z tablic ruchów znanych gwiazd, i zmian w ich konstelacjach. Oczywiście, nie dokładnie, nie. Ale z takim przybliżeniem, jakie będzie istotne.

– Ale jeśli kontinuum zostało rzeczywiście rozerwane, i jeżeli to miasto rzeczywiście skoczyło miliony lat do przodu… – Głos Beitza powoli zamierał. Jego usta zaczęły drżeć, i

nagle wydał się oszołomiony tym co powiedział, i tylko stał, i oni wszyscy stali, patrząc na Hubble'a w pełnej udręki ciszy.

Hubble pokręcił głową.

– Nie uwierzycie naprawdę, dopóki nie zobaczycie tego na własne oczy. Nie mogę was za to winić. Ale na razie, musicie zaakceptować moją opinię, jako hipotezę roboczą.

Morrow lekko odchrząknął, i zapytał:

– Co z tymi wszystkimi ludźmi tam na zewnątrz… z miastem? Czy masz zamiar im również powiedzieć?

– Będą musieli poznać, co najmniej część prawdy – powiedział Hubble. – W nocy zrobi się zimniej, naprawdę dużo zimniej, a więc będą musieli się na to przygotować. Nie można jednak dopuścić do powstania paniki. Burmistrz i naczelnik policji, są już tutaj w drodze, będziemy z nimi nad tym współpracować.

– Czy sami się jeszcze nie zorientowali? – zapytał Kenniston i Hubble odparł:

– Nie.

Johnson szarpnął się gwałtownie. Podszedł do Hubble'a, stanął przed nim i powiedział:

– Nie łapię tego całego naukowego gadania, o czasie i przestrzeni. Chciałbym się jednak dowiedzieć, czy mój chłopak jest bezpieczny?

Hubble wpatrywał się w niego zaskoczonym wzrokiem:

– Pański chłopak?

– Wcześnie rano poszedł na farmę Martinsenów, żeby pożyczyć kultywator. To dwie mile za drogą na północy. Co z nim, panie Hubble… czy jest bezpieczny?

W jego głosie słychać było szarpiącą obawę, która ściskała jego duszę, i której nie śmiał wyrazić słowami. Hubble odpowiedział najdelikatniej jak mógł:

– Mogę jedynie powiedzieć, że nie musi pan się o niego martwić, panie Johnson.

Johnson skinął głową, ale ciągle wyglądał na bardzo zatroskanego. Powiedział:

– Dziękuję panu, panie Hubble. Lepiej będzie jeśli już sobie teraz pójdę. Zostawiłem żonę zupełnie rozhisteryzowaną.

Minutę, może dwie po jego odejściu, Kenniston usłyszał dochodzące z zewnątrz wycie syreny. Skręciło na podwórze laboratorium, a potem stanęło w miejscu.

– To – powiedział Hubble, – chyba będzie burmistrz.

Ta wiotka i słaba gałązka, uginająca się na wszystkie strony na wietrze, pomyślał Kenniston, w takich czasach jak te. Nie to, żeby miał coś specjalnie przeciwko burmistrzowi Garrisowi. Nie był wcale bardziej pompatyczny, nieskuteczny czy skorumpowany, niż typowy burmistrz, typowego niewielkiego miasta. Lubił brylować na bankietach, i popisy krasomówcze, zawsze dbał o założenie odpowiedniego krawata i mówiło się, że był dobrym mężem i ojcem. Ale Kenniston jakoś nie był w stanie wyobrazić sobie Bertrama Garrisa, przeprowadzającego bezpiecznie swoich ludzi poprzez koniec świata. Jego przekonanie do osoby burmistrza, jeszcze nawet opadło, kiedy Garris wszedł do środka, ze swoim pulchnym różowym ciałem dobrego życia i twarzą doskonale odpowiadająca wzorcowi odnoszącego sukcesy małego człowieczka, który jest w pełni usatysfakcjonowany z otaczającego go światka i swojego w nim miejsca. Dopiero co został zaskoczony i zdenerwowany, ale tylko powierzchownie, i raczej był ucieszony niż przerażony perspektywą tego, ze dzieje się coś ważnego.

Kimer, naczelnik policji, to była inna sprawa. Był potężnym, kanciastym mężczyzną, z twarzą wskazującą na to, że widział już wiele ponurych spraw i zdołał wyciągnąć z tej twardej szkoły prawdziwą życiową mądrość. Może nie jest to jakiś błyskotliwy człowiek, pomyślał Kenniston, ale ktoś kto potrafi wiele zrobić i doprowadzić sprawy do końca. Widać było, że był on zatroskany, dużo bardziej zatroskany niż burmistrz.

Garris zwrócił się bezpośrednio do Hubble'a. Widać było, że ma dla niego olbrzymi szacunek, i dumny jest, że może stanąć jak równy z równym, z tak ważną osobistością, jak jeden z najwybitniejszych w całym kraju naukowców do spraw atomistyki.

– Czy ma pan może już jakieś nowe wieści, doktorze Hubble? Nie jesteśmy w stanie odebrać z zewnątrz nawet jednego słowa, a wszędzie dookoła chodzą najdziksze pogłoski. Początkowo bałem się, że to jakaś eksplozja u pana w laboratorium, ale…

Kimer przerwał mu:

– Mówi się wszędzie, że uderzyła w nas bomba atomowa, doktorze Hubble. Część ludzi bardzo się wystraszyła. Jeżeli uwierzy w to dostatecznie wielu, to na nasze głowy spadnie wybuch paniki. Wszyscy funkcjonariusze są na ulicach, i usiłują uśmierzyć te pogłoski, ale muszę mieć jakieś proste wyjaśnienie, które będzie można przekazać ludziom, i w które uwierzą.

– Bomba atomowa! – powiedział burmistrz Garris z przekąsem. – To niedorzeczność. Ciągle wszyscy żyjemy i nie ma żadnych zniszczeń. Doktor Hubble powie panu, że bomby atomowe…

Po raz drugi, brutalnie mu przerwano. Hubble ostro wszedł mu w słowo:

– Nie mieliśmy do czynienia ze zwykłą bombą. A pogłoski są prawdziwe, przynajmniej aż do tego miejsca. – Przerwał na chwilę, a potem zaczął kontynuować, mówiąc wolniej i wyraźnie akcentując każde słowo. – Godzinę temu, dokładnie nad Middletown, eksplodowała pierwsza w historii bomba super-atomowa.

Przerwał, pozwalając aby jego słowa dotarły do nich. Proces ten wymagał nieco czasu i widać było, że nie był bezbolesny. Podczas jego trwania, Kenniston wyglądał na zewnątrz przez okno, na mroczne niebo i ponure czerwone Słońce, i czuł jak supeł w jego żołądku zaciska się coraz mocniej. *Ostrzegano nas przecież*, kołatało mu w głowie. *Wszystkich nas przecież ostrzegano, że bawimy się mocami, które są dla nas zbyt potężne.*

– Nie zniszczyła miasta – mówił dalej Hubble. – Pod tym względem mamy szczęście. Ale spowodowała jednak wystąpienie pewnych… skutków ubocznych.

– Nie rozumiem – żałośnie powiedział burmistrz. – Ja po prostu tego nie rozumiem… Pewnych skutków ubocznych? Jakich?

Hubble opowiedział o nich ze spokojną otwartością. Burmistrz i naczelnik policji Middletown, zwyczajni ludzie, ze zwyczajnego miasta, przywykli do życia w normalnym świecie, słuchali rzeczy nie do uwierzenia. Słuchając, próbowali to wszystko ogarnąć. Próbowali, ale im się nie udało, a więc odrzucili zupełnie przedstawione twierdzenia.

– To jest jakieś chore – z gniewem powiedział Garris. – Middletown rzucone w przyszłość? Przecież wszystko jest w porządku… W co pan próbuje z nami grać, doktorze Hubble?

Wygłosił znacznie więcej kwestii w takim stylu. Podobnie jak Kimer. Ale Hubble przełamał ich opory. Spokojnie ale nieubłaganie, punkt po punkcie, wskazywał na obcy krajobraz rozciągający się wokół miasta, pogłębiający się chłód, czerwone, postarzałe Słońce, zanik całej komunikacji kablowej i radiowej z zewnątrz. Tłumaczył, skrótowo, naturę czasu i przestrzeni, oraz to jak mogły one zostać rozerwane. Jego wyjaśnień naukowych, nie mogli zrozumieć. Przyjęli je jednak na wiarę, wiarę jaką ludzie z dwudziestego wieku musieli pokładać w interpretatorach złożonych kwestii naukowych, których sami nie byli w stanie pojąć. Same fakty fizyczne, zrozumieli całkiem nieźle. Kiedy już zostali do tego zmuszeni, nawet zbyt dobrze.

W końcu w pełni to do nich dotarło. Burmistrz Garris usunął się na krzesło. Jego twarz nie była już taka różowa, a mięśnie na niej obwisły. Kiedy w końcu zadał kluczowe pytanie, udało mu się wydobyć z siebie zaledwie coś podobnego do jęku:

– I co my teraz zrobimy?

Co najmniej na część tego pytania, Hubble miał już gotową odpowiedź.

– Nie możemy sobie pozwolić na panikę. Mieszkańcy Middletown muszą poznawać prawdę powoli. To oznacza, że nikomu na razie nie wolno opuścić miasta, inaczej dowiedzą się od razu. Sugerowałbym panu, aby ogłosić, że obszar na zewnątrz miasta, może być skażony radioaktywnie i zabronić wszystkim jego opuszczania.

Komendant policji, Kimer chwycił się tego z patetyczną gorliwością, widząc możliwość zajęcia się problemem, który był w stanie pojąć.

– Mogę ustawić ludzi i zapory na krańcach wszystkich ulic wylotowych z miasta. Oni już tego dopilnują.

– A nasza miejscowa kompania Gwardii Narodowej, już się zbiera w Zbrojowni – dołożył burmistrz Garris. Jego głos nadal drżał, a oczy wyglądały jak ogłuszone.

Hubble zapytał go:

– Co ze służbami miejskimi?

– Wszystko zdaje się działać normalnie… energia, gaz i woda – odparł burmistrz.

Mogło tak być, pomyślał Kenniston. Elektrownia węglowa zasilająca Middletown w energię, jego wielka wieża ciśnień i fabryka sztucznego gazu, wszystko to przeszło przez czas razem z nimi.

– Wszystko to, oraz żywność i paliwo, muszą być racjonowane – mówił dalej Hubble. – Niech pan proklamuje to jako środek zapobiegawczy.

Wyglądało, że burmistrz Garris poczuje się nieco lepiej, kiedy powiedziano mu co ma robić.

– Tak, zrobimy to natychmiast. – Potem nieśmiało zapytał: – Czy jest jakiś sposób na skontaktowanie się z resztą kraju?

– Reszta kraju – przypomniał mu Hubble, – pozostała parę milionów lat temu. To już tylko martwa przeszłość. Musi pan to sobie zapamiętać.

– Tak… oczywiście. Ciągle o tym zapominam – powiedział burmistrz.

Zadrżał lekko, a potem znalazł ucieczkę w zadaniu, które mu wyznaczono.

– Natychmiast bierzemy się do pracy.

Kiedy samochód zabrał już obu ludzi, Hubble spojrzał nieszczęśliwym wzrokiem na swoich milczących kolegów.

– Oczywiście wygadają się. Ale jeśli wieści rozchodziłyby się powoli, to nie byłoby nawet takie złe. Na początek da nam to szansę na potwierdzenie paru rzeczy.

Crisci zaczął się śmiać, nieco piskliwie.

– Jeżeli to prawda, to jest to żart, że boki zrywać! Całe miasto zostało przerzucone do końca świata, i nikt jeszcze o tym nie wie! Nikt z tych pięćdziesięciu tysięcy ludzi jeszcze się nawet nie domyśla, że jego kuzynka Agnes w Indianapolis, umarła i rozpadła się w proch i w pył, miliony lat temu!

– I nie mogą się tego domyślić – powiedział Hubble. – Jeszcze nie. Do chwili, kiedy nie dowiemy się, czemu będziemy musieli stawić czoła na tej Ziemi przyszłości.

Kontynuował, głośno rozmyślając.

– Zanim zaczniemy cokolwiek planować, musimy się dowiedzieć, co jest tam, na zewnątrz miasteczka. Kenniston, czy możesz znaleźć jakiegoś jeepa i sprowadzić go tutaj? Weź też ze sobą zapasy benzyny i ciepłą odzież. Będziemy jej potrzebować, tam na zewnątrz. Aha, Ken… weź też dwie strzelby.

Rozdział 3: Umierająca planeta

Kenniston szedł z powrotem Mill Street, w kierunku warsztatu, w którym miliard lat temu, kiedy takie rzeczy ciągle jeszcze były ważne, zostawił swój samochód. Wiedział, że obsługa trzymała również jeepa, wykorzystywanego jako pomoc drogowa, i wiedział również, że raczej nie będą go teraz potrzebować, ponieważ nie było przecież już żadnych dróg. Żałował tylko, że nie wziął ze sobą płaszcza. Jeśli powietrze będzie się ochładzać w tym tempie, to po zachodzie słońca temperatura spadnie poniżej zera.

Zupełnie dosłownie, zaczął odnosić wrażenie, jakby szedł w koszmarnym śnie. Nad głową wisiało mu obce niebo, a na dobrze znanych ścianach z cegieł, w niesamowity sposób, kładła się poświata czerwonego światła. Same ściany nie uległy przy tym żadnej zmianie. Ten normalny, codzienny wygląd miasta, był dla niego chyba najbardziej szokującą sprawą. Kiedy po raz pierwszy w historii otworzyła się szczelina w czasie i przestrzeni, i przeleciało się przez nią do końca świata, to można byłoby oczekiwać, ze wszystko będzie jakieś inne. Middletown nie wyglądało specjalnie odmiennie, jeżeli nie brać pod uwagę tego niesamowitego światła.

Po Mill Street kręciło się mnóstwo ludzi, ale tu zawsze było dosyć tłoczno. To była ulica obskurnych fabryk i małych zakładów, łączyła przy tym centrum Middletown z obdartym South Side, tak że zawsze było na niej pełno autobusów, samochodów i pieszych. Być może hałaśliwy ruch uliczny, dzisiaj był nieco bardziej zdezorganizowany niż zwykle, a grupy pieszych wykazywały większą tendencję do zbierania się razem, i paplania z olbrzymim podnieceniem, ale to było chyba wszystko.

Kenniston znał wielu ze spotykanych po drodze ludzi, ale nie zatrzymał się, aby z nimi porozmawiać. Nie miał jakoś chęci na to, by spojrzeć im w oczy. Czuł się winny, ponieważ znał prawdę, podczas gdy oni nic nie wiedzieli. A co by się stało, gdyby im powiedział? Co by wtedy zrobili? Była to straszliwa pokusa… uwolnić się w końcu od ciężaru tego sekretu.

Aż go świerzbił język, żeby wykrzyczeć go na cały głos.

Byli to ludzie tacy jak Mike Witter, gruby, czerwony na twarzy dróżnik, który całymi dniami siedział w niewielkim domku przy skrzyżowaniu z linią kolejową, ze swoim małym terierem, nieustannie kręcącym mu się wokół nóg. Terier teraz przysiadł, cały drżąc, a jego oczy świeciły się i były wilgotne ze strachu, tak jakby domyślał się tego, czego nie rozumieli jeszcze ludzie. Mike był jednak spokojny tak jak zwykle.

– Zimno jak na czerwiec – powitał Kennistona. – Najzimniejszy początek lata, jaki kiedykolwiek widziałem. Mam zamiar rozpalić ogień. Nigdy też nie widziałem takiej dziwacznej burzy!

Na następnym rogu, naprzeciw Lunchu Joego, stała również grupa robotników z młyna. Dyskutowali zawzięcie między sobą, a dwóch albo trzech z nich, którzy znali Kennistona, odwróciło się w jego kierunku.

– Hej, to jest pan Kenniston, jeden z tych gości z Laboratorium przemysłowego. Może on będzie wiedział! – Kiedy zaczęli go wypytywać, na ich twarzach widoczny był wyraz głębokiego zainteresowania. – Czy zaczęła się wojna? Czy wy tam może coś słyszeliście?

Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, jeden z nich, zaczął głośno zapewniać:

– Z pewnością mamy wojnę. Czy ktoś nie wspominał o bombie atomowej, która wybuchła nad naszymi głowami i chybiła celu? Czy nie widzieliście tego błysku?

– Do diabła, to był tylko odblask potężnej błyskawicy.

– Zwariowałeś, czy co? Niemal mnie oślepiło.

Korzystając z zamieszania, Kennistonowi udało się im wymknąć.

– Przepraszam, chłopaki… Ja też nie wiem dużo więcej niż wy. Pewnie niedługo będą jakieś komunikaty.

Kiedy odchodził, jakiś zdumiony głos zapytał:

– Ale skoro wybuchła wojna, to z kim walczymy?

Naszym wrogiem, gorzko pomyślał Kenniston, jest kraj, który rozpadł się w proch i w pył… jak wiele milionów lat temu?

Na moście, którym prowadziła Mill Street, stała gromada obiboków, wpatrując się w zamulone koryto rzeki, i próbując wyjaśnić przyczyny nagłego zniknięcia wody. Pijalnie piwa, rozweselające tę ponurą ulicę, były niemal pełne. Siedziało w nich dużo więcej ludzi niż zazwyczaj o tej godzinie. Przechodząc, Kenniston mógł słyszeć ich głosy, podniesione, podniecone, nieco kłótliwe, ale bez najmniejszego śladu strachu.

Jakaś kobieta z okna mieszkania na piętrze, wolała przez ulicę do drugiej gospodyni domowej, zamiatającej ganek z przodu domu, znajdującego się po przeciwnej stronie:

– Przegapię wszystkie moje ulubione audycje radiowe! Radio dzisiaj nie odbiera niczego, poza stacją Middletown.

Kenniston był zadowolony, kiedy w końcu dotarł do warsztatu Buda. Bud Martin, wysoki i szczupły, młody mężczyzna, ze smugą oleju na policzku, właśnie montował naprawiony gaźnik, pracując z energetyzującą efektywnością, i równocześnie mieszając z błotem swojego udręczonego pomocnika.

– Pański samochód nie jest jeszcze gotowy, panie Kenniston – zaprotestował. – Powiedziałem przecież około piątej, nie pamięta pan?

Kenniston pokręcił głową, i powiedział Martinowi po co przyszedł. Mechanik wzruszył ramionami.

– Pewnie, że może pan wynająć jeepa. I tak jestem dzisiaj za bardzo zajęty, żeby odpowiadać na wezwania pomocy z drogi.

Nie wydawał się specjalnie zainteresowany tym, co Kenniston zamierza zrobić z jeepem. Gaźnik sprawiał problemy, i Martin głośno klął nad nim.

Do warsztatu wetknął głowę jakiś człowiek w ubrudzonym mąką fartuchu piekarskim.

– Hej, Bud! Czy słyszałeś nowiny? Właśnie zamknięto młyny, wszystkie co do jednego.

– Eee, jakieś wariactwo – odparł Martin. – Od samego rana ciągle słyszę tylko jakieś plotki. Ludzie biegają w tą i z powrotem, z najbardziej szalonymi historiami. Jestem za bardzo zajęty, żeby tego wszystkiego wysłuchiwać.

Kenniston pomyślał, że to prawdopodobnie jest odpowiedź, wyjaśniająca względny spokój panujący w Middletown. Mieszkańcy, a przede wszystkim mężczyźni, byli zbyt zajęci. Wyrobione przez lata nawyki pracy, roboty, która musi natychmiast zostać wykonana, do tej pory pozwalały zachować im względną stabilność emocjonalną.

Westchnął ciężko.

– Bud – powiedział. – Obawiam się, że ta wiadomość jest prawdziwa.

Martin spojrzał na niego ostrym wzrokiem, a potem zajęczał.

– O Boże, kolejna recesja. To mi zrujnuje cały interes… i mnie również, a przecież warsztat jest dopiero w połowie spłacony!

Jaki byłby z tego pożytek, gdyby mu powiedzieć, pomyślał Kenniston, że młyny zostały pośpiesznie wyłączone, aby zaoszczędzić cenne paliwo, i że najprawdopodobniej już nigdy nie zostaną uruchomione.

Napełnił zapasowe kanistry benzyną, załadował je na tył jeepa i ruszył na północ.

Na Main Street zaczęły pokazywać się już płaszcze. Tutaj również na narożnikach ulic zbierały się grupy rozmawiających ludzi, a inni, czekający na autobusy z ciekawością patrzyli w górę, na czerwone Słońce i mroczne niebo. Ale sklepy nadal były otwarte, gospodynie

domowe dźwigały pełne torby z zakupami, dzieci jeździły na rowerach. Jak na razie nic się nie zmieniło. Jeszcze.

Podobny spokój panował na Walters Avenue, gdzie miał swoje mieszkanie, chociaż rzędy klonów porastających aleję, w czerwonawym świetle słońca, nabrały niecodziennego koloru. Kenniston cieszył się, ze jego gospodyni gdzieś wyszła, dzięki czemu nie musiał myśleć, w jaki sposób stawić czoła, kolejnej nawale bardzo zaintrygowanych pytań.

Załadował na jeepa swój ekwipunek myśliwski, karabin 0.30-30 i 16 nabojową powtarzalną śrutówkę oraz pudełka z nabojami. Na siebie założył nieprzemakalną kurtkę, wziął też skórzany płaszcz dla Hubble'a. Nie zapomniał o rękawiczkach. Potem, zanim wsiadł z powrotem do jeepa, pobiegł ulicą, pół kwartału, do domu Carol Lane.

Drzwi otworzyła mu jej ciotka. Pani Adams była korpulentna, różowa i mocno zatroskana.

– John, jak się cieszę, ze przyszedłeś. Może ty powiesz nam, co mamy robić. Czy powinnam nakryć swoje kwiaty? – Dalej paplała, mocno zaniepokojona. – To wydaje się być takie głupie w środku czerwca. Ale naprawdę jest strasznie zimno. A petunie i krwawiące serca są tak słabo odporne na mróz. A róże…

– Ja bym je przykrył, pani Adams – powiedział do niej. – Prognozy mówią, że będzie coraz chłodniej.

Wyrzuciła w górę ręce.

– Co za pogody mamy w tym roku! Nigdy nie było czegoś takiego jak to. – I pospieszyła, żeby znaleźć bezpieczne przykrycie dla swoich kwiatów, kwiatów, którym pozostały zaledwie godziny życia. Kennistona uderzyło to podobnie jak inne tego typu małe wstrząsy, uświadamiające mu powagę sytuacji. *Od dzisiaj nie będzie już na Ziemi róż. Nie będzie róż, już nigdy.*

– Ken, czy już wiecie co się stało? – To był głos stojącej za nim Carol. Jeszcze zanim się do niej odwrócił, zdawał już sobie sprawę, że niełatwo będzie mu się wykręcić półprawdami, tak jak to robił w stosunku do innych. Nie znała się może na nauce i takie sprawy jak ugięcia czasu czy rozerwane continua, nigdy nie wpadły by jej do głowy. Ale znała jego i nie da mu najmniejszej szansy na wykręty i grę na zwłokę.

– Czy te historie o bombie atomowej, która wybuchła nad Middletown, są prawdziwe?

Od chwili, kiedy do niej zadzwonił, miała sporo czasu, by naprawdę poczuć niepokój. Carol miała ciemne oczy i włosy. Była szczupła, ale jej ciało było silne i gibkie, a kształty miłe dla oka. Usta miała mocno zarysowane i słodkie. Lubiła Tennysona, dzieci i małe psiaki, a jej sposób bycia nieodparcie kojarzył się z przyjemnym domem, pachnącą kuchnią, spokojną rozmową i śmiechem. Dla Kennistona wręcz trudny do zniesienia był fakt, że musiała stać w umierającym ogrodzie, zadając pytania dotyczące bomb atomowych.

– Tak – powiedział po chwili. – Te pogłoski są prawdą. – Patrzył jak jej twarz pokrywa się bielą, i pospiesznie dorzucił: – Nikt nie zginął. W mieście nie ma żadnych śladów promieniowania, ani w ogóle czegokolwiek, czego należałoby się obawiać.

– Coś jednak jest. Widzę to po twojej twarzy.

– No cóż, jest parę rzeczy, których nie jesteśmy jeszcze pewni. Hubble i ja, właśnie jedziemy im się przyjrzeć. – Złapał ją za ręce. – Nie mam teraz czasu, żeby o tym porozmawiać, ale…

– Ken – powiedziała. – Dlaczego właśnie ty? Co ty możesz wiedzieć o takich strasznych sprawach?

Zdawał sobie sprawę, że nieubłaganie zbliża się czas niezbędnych wyjaśnień, których zawsze nieco się obawiał i miał nadzieję, że uda się je odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość, czas gdy Carol będzie chciała dowiedzieć się więcej o jego pracy. Jak na niego spojrzy, kiedy już jej o tym powie? Nie był tego pewien, nie był wcale tego pewien. Cieszył się, że może to jeszcze odłożyć, chociaż trochę.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Opowiem ci o tym, kiedy wrócę. Zostań w domu, Carol, obiecaj mi to. Wtedy nie będę się tak bardzo martwił.

– Dobrze – odparła powoli. A potem nagle dodała: – Ken…

– Słucham?

– Już nic. Uważaj na siebie.

Pocałował ją, a potem pobiegł z powrotem w kierunku jeepa. Dzięki Bogu nie lubiła dramatyzować. To mogłaby być ostatnia kropla przepełniająca czarę goryczy.

Wsiadł do samochodu i jechał do Laboratorium, zastanawiając się, jak ułożą się sprawy między Carol i nim, czy jutro albo następnego dnia, w ogóle oboje będą jeszcze żyli, a jeśli, to jak będzie wyglądało ich życie. Głowę miał przepełnioną ponurymi, zimnymi, gorzkimi od żalu, myślami. Zanim rozpoczął się ten koszmar, wszystko wydawało się układać tak pomyślnie. Jego samotność i dryfowanie bez celu, z miejsca na miejsce, miało wkrótce się zakończyć. Znowu miałby dom, jakiego nie zaznał od śmierci rodziców, i tyle szczęścia, na ile tylko człowiek może liczyć we współczesnym świecie. Miałby również wszystkie inne, tak wydawałoby się normalne, rzeczy, których człowiek potrzebuje żeby dawały mu wsparcie i nadawały znaczenie jego życiu.

A teraz…

Hubble czekał na niego przed laboratorium, trzymając w rękach licznik Geigera i kłąb innych przyrządów. Włożył je ostrożnie do jeepa, a potem założył skórzany płaszcz i wskoczył na siedzenie obok Kennistona.

– W porządku, Ken… Jedźmy na południe od miasteczka. Ze wzgórz, które widzieliśmy z tamtej strony, będziemy mogli obejrzeć większy fragment okolicy.

Na południowej granicy miasta, napotkali blokadę i policjantów stojących na posterunku. Musieli trochę tam poczekać, dopóki burmistrz nie zadzwonił z autoryzacją wyjazdu Hubble'a i Kennistona, „na inspekcję skażonego terenu".

Jeep toczył się betonową drogą, pomiędzy zielonymi podmiejskimi farmami, mniej więcej jakąś milę. Dalej droga i zielone tereny uprawne nagle się urywały.

Poza ta ostrą linią rozdzielającą, na wschód i na zachód, bez końca rozciągały się bure równiny. Ich monotonii nie zakłócało żadne drzewo, ani plamka zieleni. Tylko brunatno-żółte krzaki, kurz i wiatr.

Hubble, spoglądając cały czas na przyrządy, powiedział:

– Nic. Nie ma zupełnie niczego. Jedziemy dalej.

Przed nimi wypiętrzały się niskie wzgórza, wyglądające na mizerne i nagie, nad nimi rozciągała się ogromna czasza nieba, a tuż ponad linią horyzontu zbierała się zimna ciemność. Ciemne Słońce, przyćmione gwiazdy, a pod nimi jedynie posępne wycie wiatru.

Z warkotem i wyciem silnika, kołysząc się na wybojach brunatno-rudej równiny, jeep wiózł ich w głąb milczącego świata martwej Ziemi.

Rozdział 4: Wymarłe miasto

Kenniston koncentrował swoją uwagę wyłącznie na kierownicy samochodu, ściskając ją tak zawzięcie, że aż rozbolały go ręce. Nieustannie wbijał wzrok w rozciągające się przed nimi podłoże, wypatrując każdej skały i kierując ostrożnie jeepem podczas przejazdu przez płytkie wykroty. Prowadził samochód, tak jakby we wszechświecie nie było niczego innego, poza tym mechanicznym działaniem. Pozazdrościł jeepowi jego zdolności do pozbawionej emocji jazdy przez koniec świata. W końcu ironia tej sytuacji uderzyła go i tak bardzo rozbawiła, że aż cicho się roześmiał,

Palce Hubble'a ścisnęły silnie jego ramię. Poczuł. Trochę go zabolało, nawet poprzez gruby płaszcz.

– Nie rób tego, Ken.

Kenniston odwrócił głowę w jego kierunku. Zobaczył, że twarz Hubble'a wydłużyła się i poszarzała, a w oczach niemal widać było błaganie.

– Przepraszam – powiedział.

Hubble skinął głową.

– Wiem. Sam przechodzę teraz wystarczająco trudne chwile.

Jechali poprzez kompletnie pustą równinę, w kierunku resztek niskich wzgórz, sterczących, z burego pyłu i kurzu, jak kościste kolana. Wkrótce jeep z terkotem i rykiem silnika, zaczął wspinać się na łagodne zbocze. W jakiś sposób, ten znajomy dźwięk, tylko wzmagał świadomość tego, że wszędzie wokoło zalega głęboka cisza i czerwony półmrok końca świata. Kenniston marzył o tym, żeby Hubble coś powiedział, cokolwiek, choćby jedno słowo. Ale starszy mężczyzna milczał, a język jego samego, również był jakby zamrożony. Zagubił się w otaczającym ich koszmarze, i nie był w stanie robić nic innego, jak tylko jechać.

Nagle w dół zbocza, spłynął w ich kierunku, przeraźliwy gwizd. Obaj mężczyźni, aż podskoczyli z wrażenia. Z rękoma śliskimi od zimnego potu, Kenniston zarzucił nieco jeepem na bok, po chwili zobaczyli pędzący w poprzek stoku, brązowy futrzany kształt, o rozmiarach niewielkiego konia, poruszający się długimi, niezgrabnymi susami.

Kenniston zwolnił, dopóki nie przestał się trząść. Hubble wyszeptał najciszej jak mógł:

– A więc ciągle na Ziemi istnieje jakieś życie zwierzęce, a przynajmniej coś w tym rodzaju. I spójrz tam…

Wskazał na głęboki, dół w pokrytym pyłem gruncie, otoczony dookoła świeżo wykopaną ciemną ziemią.

– To stworzenie tam właśnie kopało. Prawdopodobnie szukało wody. Powierzchnia jest wysuszona, a więc żeby pić musi się do niej dokopać.

Zatrzymali jeepa i przyjrzeli się dokładnie wykopanemu dołowi i otaczającym go zaroślom. Na korze gałęzi niskich krzaków, widoczne były ślady zębów.

– Wyglądają jak ślady zębów gryzonia – powiedział Hubble po chwili. – Dużo większe niż tych żyjących w naszych czasach, ale nadal da się rozpoznać.

Popatrzyli jeden na drugiego, stojąc w chłodnym czerwonym świetle. Potem Hubble wrócił do jeepa.

– No dobrze, jedźmy dalej.

Pojechali dalej, pod górę. Zobaczyli jeszcze dwa kolejne doły zrobione przez kopacze, ale te były stare i częściowo zawalone. Ślepe czerwone oko Słońca, śledziło ich zimnym

spojrzeniem. Kenniston wdał się w ponure rozmyślania o wystraszonych futrzanych stworzeniach, biegających po brunatnym pustkowiu, które kiedyś, dawno temu, było domem człowieka.

Dotarli w końcu na szczyt niskiego pasma, i zatrzymali jeepa, próbując rozejrzeć się po rozciągającej się dookoła brunatnej równinie, rozświetlanej ciemnym czerwonym światłem.

Hubble popatrzył na południowy zachód, i jego ręce zaczęły się nieco trząść.

– Ken, czy ty też to widzisz?

Kenniston spojrzał we wskazanym kierunku, i zobaczył.

Oszałamiająca fala radości i ulgi. Dzika wręcz, radość z tego, że on i jego współtowarzysze niedoli nie są samotni, na tej pustej, pozbawionej życia Ziemi!

W tamtym miejscu bowiem, na ponurej jałowej równinie, stało miasto. Miasto z białymi budowlami, stojącymi i zadaszonymi, otoczone olbrzymią, błyszczącą bańką przezroczystej kopuły.

Nie mogli się wręcz napatrzeć, smakując dojmujące uczucie zachwytu i ulgi. Z tej odległości, w pokrytym kopułą mieście, nie widać było żadnego ruchu, ale już sam jego widok był wystarczająco wspaniały.

Potem jednak, Hubble powoli powiedział:

– Tam nie ma żadnych dróg. Przez równinę nie prowadzi ani jedna droga.

– Być może nie potrzebują już dróg. Może latają w powietrzu.

Odruchowo obaj wyciągnęli szyje, przyglądając się ciemnemu niebu, nie było tam jednak niczego poza wichrem, gwiazdami i przyćmionym słońcem, z koroną wijących się płomieni, przypominających włosy Meduzy.

– Nie widać też żadnych świateł – dodał Hubble.

– Mamy przecież dzień – zauważył Kenniston. – Nie potrzebują świateł. Są przyzwyczajeni do życia w tym półmroku. Panuje przecież już od tak dawna.

Ogarnęła go jednak nagła nerwowość. Z trudem jedynie był w stanie wykonać dobrze znane, rutynowe czynności, związane z ponownym uruchomieniem jeepa. Zazgrzytał straszliwie skrzynią biegów i puścił sprzęgło z gwałtownym szarpnięciem.

– Tylko spokojnie – powiedział Hubble. – Jeżeli oni tam są, to nie ma żadnego pośpiechu. Jeżeli ich nie ma… – Głos lekko się mu załamał. Po chwili jednak dokończył: – To również specjalnie nie ma się do czego śpieszyć.

Słowa. Nic tylko słowa. Kennistonowi wydawało się, że nie zniesie już dalszego oczekiwania. Równina ciągnęła się przed nimi chyba bez końca. Jeep wydawał się niemal pełznąć przez bezdroża. Na ich drogę przesuwały się złośliwie chyba wszystkie skały, doły i wykroty z całej okolicy. Miasto jakby kpiło z nich i nie przybliżało się nawet o krok.

Kenniston zagryzał wargi z tłumioną niecierpliwością.

I nagle, w jednej chwili, pokryte kopułą miasto, rozłożyło się przed nimi w całej okazałości. Strzelało w niebo jak szklana góra z bajek, ponieważ patrząc pod tym kątem, zakrzywiona powierzchnia kopuły odbijała światło słoneczne.

W końcu wyjechali na równą, szeroką drogę. Prowadziła ona prosto w kierunku wysokiego wygiętego w łuk portalu w szklistej ścianie kopuły miasta. Portal był otwarty.

– Jeśli przykryli swoje miasto kopułą, żeby zatrzymać w środku ciepło, to czy wejście powinno być otwarte? – powiedział Hubble.

Kenniston nie miał na to żadnej odpowiedzi. Żadnej odpowiedzi, poza tą, której nie chciał zaakceptować jego umysł.

Wjechali przez portal i znaleźli się pod kopułą miasta. Po pustce równiny, rozmiary miasta i jego potężna osłona, sprawiały wręcz przygniatające wrażenie.

Tutaj w środku, pod kopułą, było nieco cieplej. Nie naprawdę gorąco, ale powietrze wewnątrz nie sprawiało tego mrożącego wrażenia chłodu, co na zewnątrz.

Jechali dalej szeroką aleją, teraz już poruszając się powoli, nieśmiało, słysząc wręcz szalone bicie własnych serc. W panującym wokół spokoju i bezruchu, hałas silnika wydawał się niemal ogłuszający, odbijając się wielokrotnie echem od kamiennych ścian — głośno, wręcz bluźnierczo głośno, wdzierając się w martwą ciszę.

Nad chodnikami wzlatywały gęste chmury pyłu, wisząc jak ciemnobrązowe zasłony nad otwartymi przestrzeniami, gdzie spotykały się szerokie aleje. W bardziej osłoniętych miejscach, w łukowatych wejściach, czy tez w narożnikach parapetów okien, pył zalegał w pofałdowanych przez wiatr warstwach.

Budynki były wysokie i masywnie zbudowane, nieskończenie piękniejsze w prostocie swoich linii, niż Kenniston mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Miasto wdzięku, symetrii i godności, pięknie wykończone łagodnymi kolorami i powierzchniami z tworzyw sztucznych, podpartymi czystą siłą metalu i kamienia.

Na jeepa i dwu ludzi z innego czasu, spoglądało ze wszystkich stron milion okien. Milion oczu, jakby przyćmionych kataraktą kurzu, pustych i ślepych. Niektóre z nich były otwarte, inne zamknięte, ale żadne nie widziało.

Chłodny wiatr od strony portalu szumiał na zewnątrz i wewnątrz pootwieranych drzwi wejściowych, wiejąc wzdłuż ulic i wędrując niespokojnie przez rozległe parki, które nie były już rozjaśnianymi przez kwiaty miejscami zieleni, ale zwykłymi śmietnikami pełnymi zielska i nawiewanego pyłu. Wszędzie było zupełnie pusto, i nic się nie poruszało poza lekkimi podmuchami wiatru.

Kenniston jeszcze jechał dalej. Wydawało mu się rzeczą zbyt straszną i niemożliwą do uwierzenia, że to wielkie pokryte kopułą miasto, było tylko pustą skorupą, opuszczonym trupem, a Middletown było samotne w obliczu umierającej Ziemi.

Jechał więc dalej, krzycząc i nawołując, używając klaksonu, w czymś w rodzaju amoku. Obydwaj wytężali przy tym oczy do granic możliwości, wbijając je w ciemne zaułki mijanych ulic. Z całą pewnością, gdzieś w tym miejscu zbudowanym przez ludzi, muszą znaleźć jakąś ludzką twarz, jakiś ludzki głos! Z całą pewnością gdzieś w tych wszystkich niezliczonych pustych pomieszczeniach i korytarzach, pozostało wystarczająco dużo miejsca dla żywych istot! Żywych istot jednak tutaj już nie było.

Kenniston jechał coraz wolniej i wolniej. Nie trąbił już klaksonem, przestał również nawoływać. Wkrótce przestał się nawet rozglądać. Pozwolił aby jeep toczył się do przodu, aż w końcu zatrzymał go na wielkim śródmiejskim placu. Wyłączył silnik i cisza runęła na niego i na Hubble'a jak lawina.

Zanurzył głowę w dłoniach i przez dłuższy czas siedział w ten sposób bez ruchu. W końcu usłyszał głos Hubble'a, mówiący do niego:

– Oni wszyscy są martwi i wyginęli.

Kenniston podniósł głowę w górę.

– Tak. Umarli i wyginęli, wszyscy, już dawno temu. – Popatrzył na otaczające ich piękne budynki. – Dobrze wiesz, co to znaczy, Hubble. To znaczy, że Ziemia nie jest już dłużej w stanie wspierać życia ludzkiego. Nie byli w stanie przeżyć, nawet w tym pokrytym kopułą mieście.

– Ale dlaczego nie byli w stanie? – odparł Hubble. Wskazał na niskie, płaskie, otwarte zbiorniki, które pokrywały całe akry miasta, w ich pobliżu. – To mi wygląda na zbiorniki hydroponiczne. Mogli w nich hodować dla siebie pożywienie.

– Dopóki mieli wodę. Być może tego właśnie im zabrakło.

Hubble pokręcił przecząco głową.

– Te szczuropodobne kopiące zwierzęta, które widzieliśmy wcześniej, potrafiły odszukać wodę. Ludzie mogliby więc ją również znaleźć. Musimy się tego dowiedzieć.

Wysiadł z jeepa i poszedł w stronę pobliskich, pełnych pyłu zbiorników. Kenniston jedynie obserwował jego poczynania, z otępieniem.

Wkrótce jednak trochę się pozbierał, również wyszedł z samochodu i zaczął zaglądać do stojących wokół placu budynków. Znalazł w niech głównie niewielkie, ale wysokie, ciemne pomieszczenia, oświetlone jedynie ponurym światłem przebijającym się przez zakurzone okna. W niektórych stały ciężkie metalowe meble, solidnie zbudowane, ale pełne wdzięku. W innych nie było niczego, poza pokładami spokojnie zalegającego pyłu i kurzu.

Kiedy Kenniston tak wędrował powoli po tych milczących ulicach, ogarnęło go poczucie wielkiego smutku i bezradności. Jakie to w końcu miało znaczenie, że jakieś tam miasteczko zagubiło się w czasie i stanęło w obliczu śmierci? Tutaj przecież zginęła cała rasa, a oblicze Ziemi stało się jałowym pustkowiem.

Z tego chorego odrętwienia, wyrwał Kennistona dopiero głos Hubble'a.

– Woda ciągle tam jest, Ken. Wielkie rezerwuary pod tymi zbiornikami. A więc to nie to ich wykończyło. To musiało być coś innego.

– A co za różnica, co to było? – ciężko powiedział Kenniston.

– To bardzo duża różnica – odparł Hubble. – Myślałem trochę nad tym… Ale teraz nie ma czasu, żeby o tym rozmawiać. Nadchodzi noc, a z nią chłód. Lepiej już stąd jedźmy.

Od razu Kenniston wyobraził sobie, tonące na zachodzie Słońce i cienie potężnych budowli, kładące się czernią na ulice miasta. Lekko się wzdrygnął, i natychmiast poprowadził ich w stronę jeepa. Kiedy ruszyli w powrotną drogę do portalu, ponownie warczący ryk silnika sprofanował martwą ciszę miasta.

– Musimy wracać – mówił Hubble, kiedy wyjeżdżali przez portal. – W Middletown nie wiedzą jeszcze czemu będziemy musieli stawić czoła.

– Jeżeli powiemy im o tym miejscu – zauważył Kenniston, – jeżeli dowiedzą się, że nie ma już innych ludzi, że być może są na Ziemi zupełnie sami, mogą oszaleć ze strachu.

Kiedy jeep wył i kiwał się na wszystkie strony, powoli zmierzając w kierunku linii wzgórz, Słońce było już jedynie nisko położoną nad horyzontem plamą szkarłatu, wiszącą na zachodnim niebie. Gwiazdy były jaśniejsze i zupełnie niepodobne do tych, z którymi wcześniej mieli do czynienia. Z minuty na minutę, w miarę jak pogłębiał się zmrok, zimno stawało się coraz bardziej dotkliwe.

Noc, wzmagająca grozę umierającej planety, schwyciła obu mężczyzn. Kiedy w końcu wjechali na szczyt linii wzgórz, z ust wyrwały im się okrzyki ulgi.

Stamtąd widzieli już, tak niestosowne na tej nocnej, starszej Ziemi, jaskrawo błyszczące, doskonale sobie znane, światła uliczne Middletown. Jasne osie Main Street i Mill Street, słabszą siatkę kwartałów willowych, czerwony neony z reklamami piwa, oznaczające South Street, wszystkie świeciły potężnym blaskiem w lodowatej nocy martwego świata.

– Zapomniałem nalać do chłodnicy jeepa antyzamrażacza – powiedział Kenniston, wydawałoby się zupełnie bez sensu.

Teraz jednak zrobiło się właśnie tak zimno. Wiatr ciął jak lodową brzytwą, i nawet w swoich grubych płaszczach, zaczęli drżeć z chłodu.

Hubble skinął głową.

– Ludzie muszą zostać uprzedzeni o tego typu rzeczach. Sami nawet jeszcze nie wiedzą, jak zimno będzie dzisiaj w nocy.

Kenniston odparł pozbawionym nadziei głosem:

– Ale co będzie później… kiedy skończy się paliwo i zapasy żywności, co zrobimy wtedy? Czy jest jakiś sens dalszej walki?

– Jakże miałoby nie być? Jeżeli tak na to patrzysz, to już nie ma żadnego sensu – powiedział Hubble. – Zatrzymaj więc jeepa i połóżmy się koło niego, żebyśmy szybko i spokojnie zamarzli sobie na śmierć.

Kenniston przez chwilę jechał w ciszy. Potem przyznał:

– Masz zupełną rację.

– Nigdy nie jest tak źle, żeby było zupełnie beznadziejnie – powiedział Hubble. – Na Ziemi mogą być przecież inne pokryte kopułami miasta, które przeżyły. Ludzie, pomoc, wspólnota. Ale musimy się kurczowo trzymać, ze wszystkich sił, do czasu aż ich znajdziemy. Tak właśnie o tym wszystkim myślę — jak wytrzymać jeszcze choć trochę.

Ponieważ zbliżali się już do miasta, dodał jeszcze:

– Najpierw jedziemy do ratusza.

Obok blokady na końcu Jefferson Street, płonęło teraz wielkie ognisko. Pilnujący policjanci i mała grupka umundurowanych żołnierzy Gwardii Narodowej, wyglądała na zewnątrz miasta, w gęstniejącą ciemność. Powitali nadjeżdżającego jeepa z podnieceniem, zasypując obydwu mężczyzn gradem pytań, ich oddechy parowały w mroźnym powietrzu. Hubble jednak nieustannie odmawiał odpowiedzi. Wkrótce powinny pojawić się odpowiednie obwieszczenia. Muszą czekać.

Podobny do teriera kapitan policji, który oczyścił dla nich drogę przez całą grupę, zanim go zostawili, zadał im jednak kilka swoich, dużo bardziej niepokojących pytań:

– Cały ratusz aż huczy od plotek, że cała Ziemia jest martwa. Co to za historia, z tym skokiem w czasie?

Hubble odpowiedział wymijająco:

– Jeszcze niczego nie jesteśmy pewni. Znalezienie odpowiedzi musi zająć trochę czasu.

Kapitan dociekliwie dopytywał się dalej:

– Co znaleźliście, tam na zewnątrz? Są jakieś ślady życia?

– Dlaczego miałoby nie być? Tak, jest tam życie – odparł Hubble. – Jak dotąd, nie spotkaliśmy jeszcze żadnych ludzi, ale życie jest.

Pokryte futrem i żyjące ukradkiem stworzenia, bojaźliwie szukające głodowych resztek jedzenia, pomyślał Kenniston. *Te biedne istoty, które odziedziczyły Ziemię, są na niej ostatnimi żywymi stworzeniami.*

Chłostana lodowatym wichrem South Street, wyglądała niemal na tak pustą, jak w lutową noc. Ale reklamy piwa przyzywały natarczywie ze wszystkich stron, i bary wydawały się być pełne ludzi.

Ciepło opatulone dzieci zbierały się wokół stawu w parku przy Mill Street. Kenniston zrozumiał powody ich krzykliwego podniecenia, kiedy zobaczył cienki lód, który właśnie pokrył cały staw. Zimno przegoniło już tłum z Main Street. Pomimo tego jednak, wyglądający na mocno zaintrygowanych ludzie, ciągle zbierali się na rogach ulic, gestykulując i dyskutując.

Nagle odezwał się Hubble:

– Musimy im o wszystkim powiedzieć, Ken. Teraz. Dopóki nie będą znali prawdy, nigdy nie uda nam się ich nakłonić, do zrobienia pewnych rzeczy, które muszą zostać zrobione.

– Nie uwierzą nam – powiedział Kenniston. – A jeśli nawet uwierzą, to najprawdopodobniej wybuchnie panika.

– Być może. Będziemy musieli zaryzykować. Nakłonię burmistrza do ogłoszenia tego przez stację radiową.

Kiedy Kenniston zaczął koło ratusza wysiadać z jeepa za Hubblem, tamten zatrzymał go, mówiąc:

– Nie będę cię na razie potrzebował, Ken. Wiem, że martwisz się o Carol. Jedź dalej, i zobacz czy u niej jest wszystko w porządku.

Kenniston jechał na północ, przez niemal już wyludnione ulice. Zimno nieustannie się pogłębiało, i zielone liście drzew i krzewów zwisały dziwnie, sflaczałe i pozbawione życia. Zatrzymał się przy swoim domu. Jego gospodyni zalała go potokiem pytań, na które odpowiedział, odsyłając ją do rychłych ogłoszeń, co wymiotło ją pośpiesznie do jej odbiornika radiowego. Poszedł do swojego mieszkania, wyciągnął schowaną butelkę szkockiej i wypił jednym haustem pół szklaneczki. Potem wstał i ruszył do domu Carol.

Z komina jej domu, podobnie jak z kominów wszystkich innych domów przy całej ulicy, unosiła się w górę smużka dymu. Znalazł Carol i jej ciotkę siedzące obok rozpalonego w kominku ognia.

– To nie wystarczy – powiedział im Kenniston. – Będziemy potrzebować działającego pieca. I musimy pozamykać okiennice.

– W czerwcu? – zapłakała pani Adams, ponownie wstrząśnięta zwariowanymi kaprysami pogody.

Carol podeszła i stanęła przed nim.

– Wiesz dużo więcej o rzeczach, o których nam nie mówisz, Ken. Być może wydaje ci się, że robisz to dla nas, i próbujesz nas oszczędzić, ale… chcę wiedzieć o wszystkim.

– Jak tylko skończę przygotowywać dom – ciężko odparł Kenniston, – Powiem wam wszystko, co tylko będę mógł. Pani Adams, proszę włączyć radio i niech cały czas gra.

Strasznie dziwnym wydało mu się, że koniec świata, oznaczał całe to zamieszanie z wytrząsaniem popiołu z pieca w zimnej piwnicy, wyciąganie i montowanie okiennic i przeklinanie na wszystkie zasuwy, których nie udało mu się zasunąć. Pracował na zewnątrz, w niemal kompletnej ciemności, a jego ręce zesztywniały od lodowatego zimna.

Kiedy Kenniston kończył właśnie z oknami, Carol wyszła na zewnątrz, tak jakby nie mogąc znieść już dłużej oczekiwania. Usłyszał nagle jej cichy, zaskoczony okrzyk i odwrócił się czujnie, gotów stawić czoła jakiemuś niebezpieczeństwu. Ona jednak stała nieruchomo, wpatrując się w niebo na wschodzie. Wschodziła tam właśnie ogromna, ciemno-miedziana tarcza. Był to Księżyc, ale Księżyc wielokrotnie powiększony, rozdęty do monstrualnych rozmiarów, z jaśniejącymi kraterami, równinami i łańcuchami górskimi, przerażająco wyraźnie widocznymi dla nieuzbrojonego oka. Kenniston przez moment doznał zawrotu głowy, uczucia, że ta nienaturalna masa przewróci się do przodu i ich przygniecie, ale potem Carol złapała jego ramię, w takim bolesnym uścisku, że natychmiast zapomniał o Księżycu.

– Co to jest!? Co się stało!? – krzyknęła głośno, i po raz pierwszy w jej głosie pojawiły się oznaki histerii.

Pani Adams zawołała na nich od strony drzwi, żeby szybko przyszli.

– To burmistrz. Będzie przekazywał ważne obwieszczenia!

Kenniston wszedł za nimi do środka. Tak, naprawdę ważne obwieszczenia, pomyślał. Najważniejsze w historii.

Wydawać by się mogło, że koniec świata powinien zostać obwieszczony przez gromowy głos przemawiający z nieba. Może również przez trąby archanielskie. Ale z całą pewnością nie przez wystraszony, wahający się głos burmistrza Bertrama Garrisa.

Nawet teraz, w sposób typowy dla polityków, burmistrz Garris próbował choć trochę odsunąć od siebie odpowiedzialność. Powiedział wszystko to co powinien powiedzieć, ale niemal każde jego zdanie poprzedzone było wstępem takim jak: „Doktor Hubble i jego współpracownicy, są zdania, że…”, albo „Na podstawie zebranych dowodów naukowych, wydaje się, że…”. Ale w każdym razie powiedział wszystko co należy. A milczenie, które nastąpiło po jego słowach, w salonie wygodnego domu pani Adams, było, z czego Kenniston doskonale zdawał sobie sprawę, jedynie niewielkim elementem paraliżującego szoku, który w tym momencie ogarnął całe Middletown.

Później, jak wiedział, nastąpi erupcja. Teraz jednak nie były w stanie mówić, mogły jedynie patrzyć na niego przerażonymi oczyma, błagając o jakieś zanegowanie otrzymanych wieści, o jakieś zapewnienia, których nie mógł im udzielić.

Rozdział 5: Czerwony świt

Następnego ranka, Kennistona wyrwał ze snu ostry dzwonek telefonu. Obudził się, z zziębniętymi i zesztywniałymi kończynami, na sofie, na której przedrzemał niespokojnie całą noc. Chyba ze sześć razy musiał wstawać i dokładać węgla do pieca, ale w domu było zimno, a na okiennicach zalegała gruba warstwa szronu. Wstał, nie do końca obudzony, przyciśnięty brzemieniem złych spraw, ale miłosiernie otępiały, i powlókł się mechanicznie do telefonu. Dopiero kiedy usłyszał w słuchawce głos Hubble'a, jego umysł rozjaśnił się i wróciła mu pamięć wydarzeń wczorajszego dnia.

Wiadomość od Hubble'a była krótka.

– Mógłbyś tutaj przyjechać, Ken? Skład węglowy Keystone. Obawiam się, że będziemy mieli tu kłopoty.

– Zaraz tam będę – odpowiedział Kenniston.

Odłożył słuchawkę i przez moment stał tam gdzie był, boleśnie przyzwyczajając się do świadomości tego, jak odmienny będzie dzień dzisiejszy, od wszystkich pozostałych dni jego życia. Ręce i stopy miał całe zdrętwiałe, a jego oddech powodował powstanie lekkiego obłoczka pary w zimnym pokoju. Wkrótce ruszył się i pośpiesznie zszedł do piwnicy, gdzie zaczerpnął nieco z kurczących się resztek węgla, pozostałego z ostatniej zimy.

Kiedy wszedł z powrotem na górę, Carol już tam była. Na nocną koszulę założyła swoje futro, a jej oczy wyglądały na ciężkie i były podkrążone, tak jakby nie spała zbyt dużo.

– Obudził mnie telefon – powiedziała. – Czy to…

Nie skończyła. Wydało jej się śmieszne, pytać czy telefon nie przyniósł czasem jakichś niedobrych wieści. Znajdowali się przecież w czymś zbliżonym do koszmarnego snu, w którym wszystko było złe.

Powiedział jej tylko, że Hubble potrzebuje go na chwilę. Potem, z lekkim wahaniem, otoczył ją ramieniem.

– Już wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak Ken. Ze mną wszystko w porządku. – Ale jej głos był obcy, zmęczony i nie było w nim życia.

Kenniston nie nawiązał do wydarzeń poprzedniej nocy, do minut po apokaliptycznym obwieszczeniu burmistrza. Ze wszystkich złych chwil, jakie przeżył tego dnia, ta chyba właśnie była najgorsza. Pani Adams zachowała się, tak jak się po niej tego spodziewał, i poradził sobie z tym przy pomocy brandy i odrobiny amoniaku, ale Carol nie. Siedziała zupełnie nieruchomo, patrząc na niego w taki sposób, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział.

Burmistrz wyjawił pełną prawdę o Przemysłowym Laboratorium Badawczym. Było to niezbędne, aby wyjaśnić, dlaczego stwierdzenia Hubble'a były należało traktować z takim autorytetem. Kenniston wolałby powiedzieć Carol o tym osobiście. Wobec końca świata, wydawało mu się to jednak rzeczą kompletnie nieistotną, ale teraz czuł, że dla niej wcale nie było to tak mało ważne. Nie mógł z nią wtedy porozmawiać, ponieważ ataki histerii pani Adams zdominowały wszystko, a potem ona już do niego nie zeszła, Teraz, spotykając ją ponownie rankiem, Kenniston czuł się bardzo niepewnie, i po raz pierwszy od czasu kiedy ją poznał, nie był również pewien jej reakcji.

– Zostańcie w domu i utrzymujcie ogień w piecu – powiedział. – Wrócę jak tylko będę mógł. – Pocałował ją, a ona stała w jego objęciach obojętnie, ani mu się nie oddając, ani nie

opierając. Powiedział niemal z rozpaczą: – Nie poddawaj się, Carol. Znajdziemy jakoś rozwiązanie tych wszystkich problemów.

Kiwnęła głową i powiedziała:

– Dobrze. Uważaj na siebie – i odwróciła się. Kenniston wyszedł na zewnątrz sam, w mroźny poranek.

Nadal było na wpół ciemno, ponieważ ponure Słońce jeszcze nie całkiem wzeszło, rozpierając się na wschodzie, jak rozdęte monstrum, ciężkie od krwi. Nalał wody z płynem do chłodnicy jeepa, którą opróżnił wczorajszej nocy. Wokół było bardzo spokojnie, jak zauważył. Gwizdki z młynów, dźwięki samochodów dostawczych, jazgotliwe odgłosy lokomotyw dudniących na stacji, wszystko to umilkło. Nawet dzieci były teraz cicho, bojąc się czerwonego, zimnego świtu.

Wszystkie róże były martwe, a mróz poczernił letnie zarośla i drzewa.

Kiedy Kenniston prowadził jeepa Main Street, ulice wydawały się być zupełnie puste. W ciągu ostatniej nocy, Middletown przyjęło wygląd grobowca. Z każdego komina wydobywał się dym, a ludzie przyczaili się w swoich domach, wyglądając czasami z pobladłymi twarzami, przez powleczone mrozem szyby, na jadącego ulicą jeepa, warczącego w kompletnej ciszy. Z każdego mijanego przez niego kościoła, dochodziły dźwięki śpiewu i modlitwy. Również hałaśliwe były bary, które ewidentnie złamały prawo i pozostały otwarte przez całą noc.

Kenniston zdawał sobie sprawę, że to miasto umrze, jeżeli tak dalej pójdzie. Paliwo szybko się skończy, a bez niego żywe istoty nie przetrwają ostrych nocnych mrozów. Wstrząsnęło nim poczucie kompletnego braku nadziei. To wydawało się być szczytem ironii, że Middletown mogło bezpiecznie przejść przez najbardziej wstrząsający kataklizm w historii świata, po to tylko, żeby zginąć marnie z zimna.

Mgliście, w głębi umysłu, zaczęła mu kołatać pewna myśl. Wyparła nieco poczucie rozpaczy, ale zanim zdążył ją jaśniej uchwycić, musiał już skręcić w Vine Street i tuż przed nim pojawił się skład węgla Keystone. W tym akurat punkcie tego cichego i umierającego miasta, ruchu, gwaru i zamieszania, było aż nadto.

Policjanci i żołnierze Gwardii Narodowej uformowali kordon wokół składu i znajdujących się na nim wielkich hałd węgla. Stawiali czoła tłumowi, nieprzyjemnie wyglądającemu tłumowi, na razie tylko wydającemu ciche gniewne pomruki, ale gotowemu do sprawienia poważnych kłopotów. W tym tłumie Kenniston widział ludzi, których znał, ludzi którzy w czasie gorących letnich nocy siadali na gankach przed domami, rozmawiali ze swoimi sąsiadami i śmiali się wesoło. Robotnicy z młynów, kupcy, gospodynie domowe — solidni, przyzwoici ludzie, którzy z powodu zimna i strachu przed śmiercią, zmienili się teraz w wilczą hordę.

Hubble spotkał się z nim wewnątrz składu. Obok niego stał zatroskany sierżant policji i Borchard, właściciel składu.

– Zaczynali już plądrować hałdy z węglem – powiedział Hubble. – Cholerni biedacy, było lato i nie mają za dużo paliwa. Niektórzy z nich, aby pozostać przy życiu, musieli ostatniej nocy spalić swoje meble.

Borchard powiedział z niepokojem:

– Nie chcemy zostać zmuszeni do zabicia któregoś z nich. A wam naukowcom, uwierzą teraz szybciej niż komukolwiek innemu.

Hubble przytaknął głową.

– Ty z nimi porozmawiaj, Ken. Znasz ich dużo lepiej niż ja, i tobie będą bardziej ufać.

Kenniston zawahał się.

– Diabła tam, będą. A poza tym, co niby miałbym im powiedzieć? „Mili ludzie, idźcie do domu, spokojnie zmarznijcie sobie na śmierć i nie urządzajcie tutaj takich brzydkich scen”. Na pewno przyjmą to z radością.

– Być może nikt nie będzie musiał zamarzać – odparł Hubble. – Być może znajdzie się rozwiązanie tego problemu.

Na wpół uformowana myśl w głębi umysłu Kennistona, wystrzeliła mu w głowie jasnym błyskiem. Spojrzał na Hubble'a i zorientował się w tym momencie, że starszy mężczyzna wpadł na ten sam pomysł, tylko szybciej i wyraźniej. Słaby ognik nadziei zaczął ponownie migotać w sercu Kennistona.

– Miasto pod kopułą – powiedział.

Hubble potwierdził.

– Tak. W ciągu nocy, zachowuje znaczną część ciepła. Widzieliśmy to przecież. Właśnie po to zbudowano tę kopułę… Ciekawe jak dawno temu to było? Nieważne. To właśnie jest nasze, na wpół ciepłe schronienie. Musimy tam się udać, Ken, my wszyscy. I to jak najszybciej! Nie przetrwamy tutaj zbyt wielu nocy!

– Ale czy oni tam pójdą? A jeśli to zrobią, to co się stanie kiedy zobaczą to miasto i zrozumieją, że Ziemia jest martwym światem?

Hubble wykonał niecierpliwy gest ręką.

– O to będziemy się martwić, kiedy nadejdzie właściwa pora. Teraz najważniejszą sprawą jest dać tym ludziom jakąś nadzieję. Powiedz im, żeby zaczekali w swoich domach, że wkrótce będą bezpieczni. Powiedz im cokolwiek chcesz, ale niech stąd sobie pójdą!

Kenniston wspiął się na czarną górę węgla, aby stanąć ponad tłumem. Kiedy zaczął, spoza kordonu poleciały wyzwiska. Ale przekrzyczał je, wywołując nazwiska tych, których znał i polecając im by go wysłuchali. Wyglądał przekonująco i władczo, chociaż jego serce tętniło tym samym strachem, który popychał te kobiety i tych mężczyzn stojących na ulicy.

– Nie mów nam tutaj o prawie, kiedy to jest koniec świata! – wrzasnęła kobieta o zaciętej twarzy.

– To nie musi być końcem niczego, chyba że potracicie głowy – łupnął Kenniston. – Burmistrz planuje teraz, jak dać wam to, czego chcecie — odpowiedź na to w jaki sposób możecie przeżyć i być bezpieczni. Wasze życie i życie waszych rodzin, zależy od tego, czy będziecie potrafili współpracować. Idźcie do domu, do swoich odbiorników radiowych i zaczekajcie na polecenia.

– Czy dadzą nam węgiel? – krzyknął krzepki robotnik z młyna.

– Węgiel, żywność i wszystko czego będziecie potrzebować. Nikt tu nie będzie nikogo oszukiwać. Jedziemy wszyscy na tym samym wózku. Zostaniemy na nim, albo wysiądziemy, tylko razem. Teraz idźcie już do domów, zbierzcie razem swoje rodziny i czekajcie!

Nagle zwrócił się do ludzi stojących na straży.

– Wy też! Idźcie stąd i zameldujcie się z powrotem u swoich przełożonych! Rozkazy, jakie tam otrzymacie będą ważniejsze od tego węgla!

Zszedł z powrotem na dół, z czarnej sterty, zastanawiając się czy jego kiepska próba oddziaływania psychologicznego, będzie w ogóle skuteczna. Borchard zaczął protestować z gniewem, przeciwko odesłaniu strażników, ale Hubble kazał mu się zamknąć.

– To działa – powiedział. – Proszę zobaczyć, idą sobie.

Kiedy tłum już się niemal rozproszył, pojawił się naczelnik policji, Kimer. Jego nieogolona twarz, była szara z powodu braku snu, a oczy całe zaczerwienione. Nie wydawał się być zbyt przejęty, kłopotami w składzie węgla.

– Przez całą noc, mieliśmy dużo więcej takich spraw na głowie – powiedział.

Kenniston dowiedział się wówczas, co stało się w Middletown, od czasu gdy burmistrz zakończył swoje przemówienie. Zgony z powodu wstrząsu, kilka samobójstw, wybuchy zamieszek na ulicach przedmieść, wyliczając w najwyższym skrócie. Kilkunastu ludzi, w większości pijanych, zmarło z powodu zimna.

– Najgorsze były jednak zapory na granicach miasta – zmęczonym głosem powiedział Kimer. – Wiecie panowie, spora grupa ludzi spoza Middletown, została tu schwytana w

pułapkę, przez to cholerstwo. Oni i część naszych ludzi, mieszkańców miasta, ruszyli w panice, próbując uciec przed siebie, na oślep poza miasto.

Kiedy odwracał się, by pójść do swego samochodu, dodał jeszcze:

– Mówiono mi, że dzisiejszej nocy, ochrzciło się ponad dwa tysiące ludzi.

– Pojedziemy z panem do ratusza – powiedział mu Hubble. – Tak, ty też, Ken. Będę potrzebował twojej pomocy, podczas rozmów z burmistrzem o tym planie ewakuacyjnym.

Wydawało się niemożliwe, aby przysadzisty mały burmistrz mógł być jakimkolwiek problemem. Był taki usłużny, tak entuzjastycznie chętny do tego by przyjmować rady i podążać za przekazywanymi mu poleceniami. Ale kiedy w ratuszu, Hubble przedstawił mu plan ewakuacji Middletown, twarz burmistrza Garrisa przyjęła uparty wyraz.

– To szaleństwo – powiedział. – To kompletne szaleństwo. Zabrać całe miasto, pięćdziesiąt tysięcy ludzi, i przenieść ich w inne miejsce, o którym zupełnie niczego nie wiemy? To jest obłęd!

– Mamy wystarczająco dużo samochodów, autobusów i ciężarówek, aby przetransportować mieszkańców i zapasy dla nich. Wystarczy również benzyny na przejazd.

– Ale to inne miasto, co my o nim wiemy? Kompletnie nic. Mogą tam czyhać różnego rodzaju niebezpieczeństwa. Nie. Urodziłem się w Middletown. Mieszkałem tutaj przez całe swoje życie. Ciężko pracowałem, aby osiągnąć to co mam. Dopiero co wydałem pięć tysięcy dolarów na odnowienie mojego domu, i teraz go nie zostawię.

Spoglądał na nich jarzącym się wzrokiem, a jego pulchne ciało wstrząsało oburzenie. Hubble powiedział delikatnie:

– Wszyscy się tego obawiamy, panie Garris. To bardzo trudna decyzja. Ludzie wrośli tutaj korzeniami, których nie można łatwo przeciąć w kilka chwil. Ale musimy stąd odejść. Musimy znaleźć schronienie, albo zginiemy.

Burmistrz pokręcił przecząco głową.

– Moja żona i córka, przez całą noc wpadały w histerię, błagając mnie abym coś zrobił, aby przywrócić bieg rzeczy do jego normalnego toku, żeby wszystko było tak jak zawsze. To był dla nich straszny szok. Nie wydaje mi się, aby mogły wytrzymać jeszcze więcej.

– Proszę dać im po twarzy, panie Garris – brutalnie powiedział Hubble. – To był szok dla nas wszystkich. A teraz, co pan zrobi? Zwoła pan radę Miasta, czy nie?

– Nie mogę. Nie dla tej propozycji. – Twarz Garrisa pokryła się zmarszczkami, zupełnie jak twarz dziecka, które ma zamiar zacząć płakać. – Uczciwie powiem, panowie. Nie mogę tego zrobić.

Kenniston pomyślał o Carol, trzęsącej się z zimna w swoim futrze, zmagającej się z ostatnimi szuflami węgla, i ta myśl spowodowała, że gwałtownie chwycił Garrisa za przód koszuli.

– Dobrze, niech pan tego nie robi – warknął. – Ludzie czekają na obwieszczenie od pana, ale w takim razie ja przekażę im swoje własne. Powiem im, że jest sposób, aby ich uratować, ale burmistrz Garris nawet nie chce o nim słyszeć. Powiem im, że muszą umrzeć z zimna, ponieważ ich burmistrz nie chce zrezygnować ze swojego pięknego wielkiego domu, z piwnicą wypełnioną węglem. Czy chciałby pan, żebym im to powiedział, panie Garris?

Kenniston pomyślał, ze jeszcze nigdy nie widział, żeby człowiek zrobił się taki biały.

– Rozerwaliby mnie na strzępy – wyszeptał Garris. – Nie. Nie, proszę tego nie robić. – Popatrzył żałośnie najpierw na jednego, następnie na drugiego, a potem powiedział: – Dobrze, panowie, zwołam Radę.

Członkowie Rady zareagowali, przynajmniej z początku, bardzo podobnie, jak zrobił to burmistrz. Kenniston tak zupełnie ich za to nie winił. Trudności związane z zerwaniem korzeni pięćdziesięciotysięcznej populacji i fizycznym jej przeniesieniem, w krótkim okresie czasu, w miejsce którego niegdyś wcześniej nie widzieli, ani o którym nie słyszeli, były dostatecznie duże, aby zniechęcić każdego. Ale argumenty Hubble’a były niepodważalne.

Wybór był między przenosinami, a śmiercią, o czym doskonale wiedzieli, tak więc w końcu decyzja została podjęta. Zdruzgotany i wystraszony, mały człowieczek, burmistrz Garris, poszedł aby przekazać wszystkim swoje obwieszczenie.

Po drodze do stacji nadawczej, Kenniston przyglądał się Middletown. Przy North Side dostojnie stały wielkie domy. Obok, w równych, blisko rozstawionych rzędach, stały mniejsze domki ze swoimi niewielkimi ogródkami. To będzie trudne, bardzo trudne. Ludzie, którzy żyli w tych domach nie będą chcieli ich zostawić.

Cichym, zmęczonym głosem, pozbawionym obecnie pompatyczności i przebiegłości, burmistrz rozmawiał z ludźmi Middletown.

– Musimy więc na pewien czas opuścić Middletown – podsumował. A potem zaznaczył: – Jeszcze raz powtarzam, czasowo. W mieście z kopułą, również będzie trochę zimno, ale nie tak zimno, jak w niechronionym Middletown. Będziemy mogli tam przeżyć, dopóki… dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Pozostańcie przy swoich odbiornikach radiowych. Proszę was o współpracę, abyśmy mogli wspólnie razem ocalić nasze życie. Proszę…

Rozdział 6: Karawana w jutro

Kenniston, w nawale pilnych obowiązków, bardzo szybko utracił swój emocjonalny stosunek do wszystkich tych spraw. Ratusz stał się mózgiem całej operacji ewakuacji. Funkcjonariusze policji i żołnierze Gwardii Narodowej, znajdowali się już na miejscu, a pozostali ludzie byli stopniowo wzywani: właściciele hurtowni, magazynów, przedsiębiorstw spedycyjnych, szefowie linii autobusowych i busowych. Olbrzymią pomocą był McLain, kościsty kierownik największego w mieście przedsiębiorstwa transportowego. W czasie ostatniej wojny był oficerem dowodzącym kolumną transportu samochodowego, i sporo wiedział o przemieszczaniu ludzi i zapasów.

– Będziecie mieli urwanie głowy z organizacją transportu, i nie ruszycie stąd tych ludzi przez całe tygodnie – szorstko powiedział. – To wszystko musi być zorganizowane terytorialnie. Każdemu okręgowi miasta muszą zostać przydzielone odpowiednie kwartały w tym waszym mieście pod kopułą, tak by wszyscy, którzy się tam już dostaną, trafili od razu na swoją właściwą ulicę.

Hubble pokiwał głową.

– Pojadę tam z zespołem dwudziestu ludzi, którzy się tym zajmą.

– Dobrze. Zgodnie z moimi wyliczeniami, przeprowadzka zajmie trzy dni. Na jeden raz możemy bezpiecznie zabrać, mniej więcej jedną trzecią mieszkańców. Grupy cywilów, to cholernie trudna sprawa! Teraz, natychmiast należy wydzielić oddział, który zajmie się dystrybucją paliwa wśród tych, którzy będą musieli poczekać tutaj, w Middletown, oraz ich zakwaterowaniem w taki sposób, by tego paliwa zużyć jak najmniej. Dalej jeszcze…

Hubble westchnął ciężko.

– Przekroczył pan już pojemność mojego mózgu, McLain. Czy zajmie się pan organizacją tego marszu? Kenniston może poprowadzić pierwszy kontyngent, kiedy tylko będzie pan gotów.

McLain kiwnął tylko opryskliwie głową na zgodę, usiadł przy czyimś biurku, i zaczął wyrzucać z siebie potok rozkazów. Hubble wkrótce odjechał z oddziałem dwudziestu wybranych ludzi, żeby założyć bazę w mieście pod kopułą.

Radio obecnie paplało niemal bez przerwy, ponaglając, uspokajając, uśmierzając spory, przypochlebiając się opornym, wydając instrukcje. Do każdego okręgu miasta, skierowani zostali policjanci i żołnierze Gwardii Narodowej, wraz z osobą odpowiedzialną, dowodzącą całym oddziałem. Otrzymali rozkazy, żeby obchodzić ulice, dom po domu, oraz zabezpieczyć całą ewakuację i wszystkich mieszkańców, określając również ile prywatnych samochodów może zostać wykorzystanych do ich transportu. Autobusy miejskie były w stanie przewieźć jedynie część ewakuowanych osób.

To McLain był osobą, która pomyślała o pacjentach szpitali w Middletown, i wysłał ludzi do zbierania ambulansów, karawanów, i wszystkich innych pojazdów, które były w stanie bezpiecznie i wygodnie przewieźć chorych. Do transportu więźniów z aresztu, którzy nie mogli zostać bezpiecznie wypuszczeni, przydzielono policyjne samochody patrolowe oraz kilka wielkich wojskowych ciężarówek ze Zbrojowni. Zarówno oni, jak i chorzy, mieli pozostać do następnego dnia, aby zapewnić właściwe warunki dla ich przyjęcia.

Do magazynów ruszyły całe gromady ciężarówek, z pośpiesznie sporządzonymi listami żywności i innych niezbędnych zapasów, jakie musieli zabrać ze sobą.

– W razie potrzeby, możemy później wysłać z powrotem do Middletown konwój ciężarówek, po kolejne zapasy – powiedział Kennistonowi McLain. – Ale tych rzeczy, będziemy tam, potrzebować od razu.

Okręg Pierwszy i Drugi, miały zostać przewiezione na początku, a to znaczyło, że Carol i jej ciotka powinny zostać ewakuowane w pierwszym dniu. Kennistonowi udało się urwać na chwilę, aby się z nimi zobaczyć.

Dobrze, że tam poszedł. Pani Adams siedziała zapłakana w salonie, a Carol sama zmagała się z materacami, kocami i walizkami, w zgorzkniałym nastroju i z kamienną twarzą, której Kenniston nie mógł tak do końca rozgryźć. Został dłużej niż powinien, pomagając im się pakować i próbując gorliwie przeniknąć zaciśnięte usta i zimne milczenie Carol.

– Wiem, że to trudne, tak zostawić własny dom – powiedział. – Ale to jest tak samo trudne dla wszystkich innych. A tam, przede wszystkim, będziemy mieli zapewnione schronienie i ciepło, dzięki któremu uda nam się pozostać przy życiu.

– Schronienie i ciepło? – ironicznie zapytała Carol. Przebiegła wzrokiem dookoła, po wykrochmalonych białych zasłonach, błyszczących meblach, wiszących na ścianach obrazach i drobnych figurkach porcelanowych, porozstawianych z taką czułością i pieczołowitością. Potem gorzko dodała: – Mieliśmy je przecież. Mieliśmy je przez całe pokolenia, dopóki nie rozpoczęliśmy tego całego postępu naukowego.

– Przyznaję, to punkt dla ciebie – ciężko odparł Kenniston, – ale teraz jest już za późno, żeby dyskutować na ten temat.

– Tak – powtórzyła, – za późno. – Nagle zaczęła płakać, powolnym, pełnym bólu szlochem, zupełnie odmiennym od kwilenia pani Adams. – Och, Ken, mój dom i te wszystkie rzeczy, które tak kocham…

Miał wystarczająco dużo rozumu, żeby zdawać sobie sprawę, że nie płacze z żalu za szkłem, czy porcelaną, tylko za stylem życia, który przeminął i prawdopodobnie nigdy już nie wróci. Bardzo mu jej było żal, uczucie to niemal stłumiło narastającą irytację w stosunku do kobiecej mentalności, niezdolnej do stawienia czoła poświęceniom, tak niezbędnym w obecnej sytuacji.

– Nie będzie aż tak źle – powiedział uspokajająco. – W dodatku, jutro to ja będę prowadził pierwszą grupę ewakuowanych, a więc przez cały czas będę blisko ciebie.

Następnego poranka, o godzinie dziewiątej, Kenniston wyszedł z McLainem z ratusza, żeby ocenić postępy poczynione w przygotowaniach. Pod zimnym czerwonym okiem Słońca, Middletown, wrzało gorączkową aktywnością, koncertującą się przede wszystkim w okręgach Pierwszym i Drugim.

Pośpiesznie ładowano samochody, układając na ich dachach i zderzakach wysokie stosy bagaży. Zwoływano wszystkie dzieci, łapano i wiązano na smyczach szczekające i warczące psy, a rodziny zbierały się razem w nerwowym pośpiechu. Ryk silników wypełnił zimowe powietrze. Silniki wielkich ciężarówek huczących w drodze do i z magazynów, silniki samochodów policyjnych uganiających się we wszystkie strony z wyciem syren, klekocące silniki starych samochodów, przywróconych w potrzebie ze stanu agonalnego, do życia.

Ludzie na ulicach, ludzie spieszący zewsząd z tobołkami, dziećmi i psami, wyglądali bardziej na oszołomionych niż wystraszonych. Niektórzy z nich śmiali się głośno, udawana wesołość mieszała się ze zdenerwowaniem. Tylko kilka kobiet szlochało.

McLain i Kenniston jechali jeepem do centrum miasteczka, na Square. Było to kawałek drogi w kierunku śródmieścia, od okręgu Pierwszego Middletown.

– Okręg Pierwszy i Drugi wyruszą w takim właśnie porządku – powiedział Kennistonowi McLain. – Jest pan odpowiedzialny za Pierwszy, ponieważ zna pan drogę.

Policja i Gwardia Narodowa, już uformowała szyk samochodów na South Jefferson Street. Kadilaki, buicki, fordy i nawet antyczne hupmobile. Autobusy miejskie i szkolne

załadowane były tymi, którzy nie mieli własnych środków transportu, a na ich dachach piętrzyły się wysokie sterty rzeczy. Obok krążyli z rykiem, policjanci na motocyklach.

McLain wydał kilka szybkich rozkazów.

– Odpiąć kosze od tych motocykli! Nie poradzą sobie z nimi w terenie, na miękkiej ziemi!

– Jak tylko się pojawią, porozdzielać warsztatowe lawety i pojazdy holownicze. Rozdzielić je równo między okręgi, tak by mogły pociągnąć każdy z samochodów, który wysiądzie!

A do zaniepokojonego oficera Gwardii Narodowej:

– Nie! Po co u diabła, wzięliście tę waszą broń polową? Zostawić ją w Zbrojowni i zamiast niej zabrać łóżka polowe, koce i wyposażenie obozowe!

Potem McLain wziął samochód, wskoczył do środka i krzyknął do Kennistona:

– Niech pan ich pogoni, żeby byli gotowi do wyruszenia przed południem! Sygnałem do wyjazdu będzie gwizd syreny z Młyna.

I odjechał w pośpiechu, zmierzając do punktu zbiorczego dla drugiego okręgu. Kenniston został otoczony przez tłum policjantów, żołnierzy, radnych i urzędników, z których każdy natarczywie domagał się rozkazów.

– Co zrobimy z tymi samochodami? Połowa z nich jest tak przeładowana, że nigdzie nie uda im się dojechać!

Kenniston sam już to zauważył. Przyjeżdżające samochody, były wyładowane nie tylko pościelą, ubraniami i innymi niezbędnymi rzeczami, ale odbiornikami radiowymi, instrumentami muzycznymi, rodzinnymi portretami oprawionymi w potężne ramy, konikami na kiju, zabawkami i całą stertą różnych innych klamotów.

– Przejść się wzdłuż nich, i wywalić część z tych rupieci! – rozkazał. – Uformować te wszystkie samochody na całej długości South Jefferson. Ustawiać je tylko najwyżej po dwa obok siebie, ponieważ niektóre z tych ulic na South Side są bardzo wąskie.

Kiedy pocił się nad porządkowaniem zbierających się samochodów, jednocześnie wypatrywał niebieskiego coupe Carol. Kiedy się pojawiła, jechała z pełnym samozaparciem, podczas gdy jej ciotka z przerażeniem wpatrywała się w cały ten korek. Przeprowadził ją tak blisko czoła formującej się kolumny, jak tylko się dało, a potem pośpieszył z powrotem na Square.

Dowódcy oddziałów szybko meldowali o sytuacji na wyznaczonych im ulicach:

– Z Adams Street wszyscy zabrani! Z Perry Street wszyscy zabrani! Z Lincoln Avenue…

Ale również:

– Nie mamy jeszcze wszystkich z North Street, panie Kenniston! Niektórzy z mieszkających tam starszych ludzi, po prostu nie chcą jechać!

Kenniston zaklął głośno, wskoczył z powrotem do jeepa i pojechał naokoło na North Street. Była to ulica zniszczonych, starych domów z cegieł, jedynie dwie przecznice od Main Street. Pierwszą osobą, którą spotkał, była ponuro wyglądająca, opatulona w szal stara kobieta, stojąca ze złożonymi rękoma, na ganku przed swoim domem.

– Nie mam zamiaru opuścić mojego domu – warknęła do Kennistona, zanim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć. – Mieszkałam w nim przez całe moje życie, a przede mną moja matka. Nie opuszczę go teraz. – Kpiąco pociągnęła nosem. – Też mi pomysł, żeby zabierać całe miasto i uciekać, tylko z tego powodu, ze zrobiło się trochę zimniej!

Kenniston ze zdumieniem zobaczył w oknie domu, wyglądającą na niego ze środka, małą sześcioletnia dziewczynkę.

– Czy to pani wnuczka? – spytał. – Proszę posłuchać. Za kilka dni będzie już martwa. Zamrożona na kamień, martwa. Chyba że natychmiast weźmie ją pani stąd, razem z ciepłymi ubraniami i kocami.

Opatulona w szal, stara kobieta z zaskoczeniem w niego się wpatrywała. Potem zapytała zaskakująco posępnym głosem:

– Gdzie powinnam się udać?

Pośpieszył dalej wzdłuż ulicy. Dwóch ludzi z oddziału, wynosiło na ulicę, zjadliwego starszego mężczyznę, w wózku na kółkach. Starzec złośliwie bił ich, swoją trzcinką.

– Przeklęte głupoty – głośno przeklinał.

Wsadzali wszystkich do oczekujących autobusów i pospiesznie ładowali ich bagaże. Potem Kenniston pogonił z powrotem na Square. Zegarek wskazywał jedenastą dziesięć, a on zdawał sobie sprawę, że ciągle są daleko od gotowości.

Na Square, pod dużym platanem, wychudzony wysoki człowiek, z płonącymi oczyma, wymachiwał biblią i wrzeszczał do nikogo:

– Koniec świata… kara za grzechy…

Kiedy dotarł na South Jefferson, podbiegł do niego Lauber, dyspozytor ciężarówek, którego McLain zrobił osobą odpowiedzialną za karawanę Pierwszego okręgu, podporządkowując go Kennistonowi.

– Ci ludzie po prostu powariowali! – wysapał. – Niektórzy chcieli od razu ruszać, a przecież nawet nie znają drogi!

Kenniston zobaczył, że kilka przecznic na południe, policjanci ustawili barykadę, blokującą ulicę, zrobioną z dwu wielkich ciężarówek. W jej kierunku napływały kolejne samochody, ryczały silniki, kierowcy krzyczeli, klaksony trąbiły, wspólnym ogłuszającym chórem.

Panika! Zdawał sobie sprawę, że wisi w powietrzu. Zarówno on sam, jak i wszyscy jego współpracownicy, wiedzieli, że jej wybuch jest realnym zagrożeniem, od czasu kiedy burmistrz ogłosił swój komunikat. Musieli jednak zaryzykować, ponieważ jedynie prawdziwe niebezpieczeństwo, mogło zmusić ludzi do opuszczenia swoich domów. Ale jeśli sytuacja wymknie im się z rąk…

Jechał wzdłuż rzędu pojazdów, krzycząc:

– Formować się! Formować się w kolumnę! Jeśli ktoś zakorkuje ulicę, zostawimy go tutaj!

Nikt nawet nie był w stanie go usłyszeć. Limuzyny, ciężarówki, różnego rodzaju starocie, napierały jeden na drugiego, stukając się zderzakami, popychając i cofając, a potem znowu pchając się do przodu. A przy tym, przez cały czas, klaksony samochodowe, nawet na krótką chwilę nie przerywały swojej wrzaskliwej kakofonii.

Kenniston, teraz już cały mokry od potu, pomimo mroźnego chłodu powietrza, modlił się tylko o to, żeby wzbierająca panika, nie wybuchła gwałtownie i nie zamieniła się w przemoc. Na przedzie falującej ryczącej masy, znalazł burmistrza Garrisa. Jednak blada twarz burmistrza, wskazywała, że on również zaraził się paniką.

– Czy nie powinniśmy już ruszać? – krzyknął do Kennistona, poprzez zgiełk klaksonów i silników. – Wszyscy tutaj chyba są gotowi do drogi!

– To McLain zarządza ruchem pojazdów i musimy trzymać się jego rozkazów! – odkrzyknął z powrotem.

– Ale jeśli ci ludzie się wyrwą… – zaczął burmistrz. Nagle przerwał. Przez ryczące klaksony i huczące silniki, przedarł się nowy dźwięk. Odległe łkanie banshee, krzyk z daleka, narastający aż do poziomu ochrypłego, gigantycznego wycia. Klaksony aut, wrzaski i wyzwiska ze środka samochodów, w jednej chwili zupełnie ucichły. Tylko odgłos pracy silników nadal tworzył tło dla tego niekończącego się płaczu, łkającego nad Middletown, jakby w requiem.

– To gwizd syreny z Młyna! – krzyknął Lauber. – To sygnał!

Kenniston ruszył jeepem pełnym gazem naprzód.

– Okej, niech te ciężarówki ruszają! Ale trzymać ludzi w rzędzie, hamować ich! Żadnego gnania do przodu na oślep!

Duże ciężarówki, które barykadowały drogę, zaczęły warczeć i huczeć, a następnie ruszyły, zjeżdżając z drogi, ociężale jak słonie. Jeep Kennistona jako pierwszy wyskoczył do przodu. Ale niemal jednocześnie samochody w tyle kolumny zaczęły się tłoczyć, usiłując je objechać.

– Niech te ciężarówki jadą na przedzie, po trzy obok siebie! – krzyknął do Laubera. – To nie pozwoli na objechanie ich dookoła!

Najpierw przejechali całą Jefferson Street, a potem wzdłuż zamulonego koryta nie istniejącej już rzeki, mijając stare zadbane domy, których drzwi starannie zamknięto a klucze dobrze schowano. Za nimi znajdował się plac zabaw, już teraz wyglądający jak opuszczony, tak jakby wiedział, że dzieci odjeżdżają, aby nigdy już tu nie wrócić.

Dalej ruszyli Home Street, następnie obok milczących młynów, minęli szyldy piwiarni na South Street, z których, z okna na piętrze, jakiś pijany człowiek pokrzykiwał coś w ich stronę, wymachując trzymaną w ręce butelką. Wkrótce mijali już ostatnie rzędy otoczonych brązowym pustkowiem domów, których małe ogródki tak dzielnie rzucały mu wyzwanie, ale teraz rosnące w nich kwiaty zostały zniszczone przez mróz.

Kenniston zobaczył znajdującą się przed nimi wyraźną linię podziału, granicę między przeszłością, a tym co teraz było Ziemią. Dotarli do niej, a potem ją przejechali…

Za tą linią, otoczyły ich pagórkowate brunatno-żółte równiny, jałowe i monotonne, rozciągające się pod wielkim, otoczonym przez płomieniste rzęsy, czerwonym okiem Słońca. Kiedy zaczęli się wspinać na łagodne zbocze, prowadzące ku wierzchołkom linii wzgórz, ponuro wył wokół nich zimny wiatr. Za jego jeepem z rykiem i warkotem silników toczyły się ciężarówki, gruchoty, autobusy, lśniące limuzyny.

Kenniston spojrzał do tyłu, w dół zbocza, Drugi okręg właśnie również wyruszył z miasta. Teraz jechał więc na czele ogromnej karawany pojazdów, bez końca wypełzającej z Middletown. Karawany ciągnącej z Ziemi, która na zawsze już odeszła, w to trudne do przewidzenia jutro.

Rozdział 7: Pod kopułą

Wjechali na szczyt linii wzgórz i po raz pierwszy wszyscy ujrzeli miasto pod kopułą. Lśniło bladym światłem, w oddali, za bezludną równiną. Kenniston niemal namacalnie wyczuł falę szoku i wątpliwości, jaka przebiegła przez głowy wszystkich ludzi, po raz pierwszy spoglądających na cel ich wędrówki. Rysowała się wyraźnie na wszystkich otaczających go twarzach, pełnych napięcia i straszliwie bladych, nawet pomimo czerwonego światła umierającego Słońca.

Również on, widział je przecież dopiero po raz drugi, i czuł w duszy pewien wewnętrzny opór. Jego umysł nadal wypełniały swojskie i dobrze znane obrazy, dźwięki i zapachy starego miasta, które właśnie opuścili. Dlatego to obce, mroczne i martwe miasto pod kopułą, wydawało mu się absolutnie niemożliwe do zaakceptowania, jako ewentualne miejsce schronienia. Zdławił jednak w sobie to uczucie, wcisnął je głęboko na samo dno duszy, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Mogli tylko jechać dalej, albo umrzeć.

– Jedziemy dalej! – krzyknął, dając sygnał klaksonem jeepa, aby przyciągnąć uwagę do wydanego polecenia, i przekonywującym gestem wskazując do przodu. – Jedziemy dalej!

Udało mu się. Po krótkiej chwili wahania, zmusił ich do przetoczenia się przez grzbiet wzgórza i zaczęli, w gęstych chmurach kurzu i pyłu, częściowo zjeżdżać częściowo ześlizgiwać się w dół, po jego przeciwległym zboczu.

Zerknął na burmistrza Garrisa, tępym wzrokiem wpatrującego się przed siebie. Jego pulchna twarz była blada i wyraźnie wstrząśnięta. Zastanawiał się również, co pomyślała sobie Carol, przyglądając się samotnej lśniącej bańce na tym ponurym pustkowiu.

Niekończąca się karawana, okryta całunem w kurzu, była już prawie w połowie drogi w dół zbocza, kiedy Kenniston usłyszał wściekły dźwięk klaksonów, i obejrzał się do tyłu. Stary, rozklekotany sedan, stanął na samym środku wąskiego szlaku dla ciężarówek, po tym jak zaklinował się w płytkim wykrocie. Kolejne samochody, próbowały objechać go dookoła, zakopując się w miękkiej ziemi, zawadzając swoimi nisko zawieszonymi ramami o nierówności terenu i w nieunikniony sposób grzęznąc. Cała kolumna za nimi, została zablokowana.

Kenniston krzyknął do Laubera, aby czoło karawany jechało dalej, w kierunku odległej kopuły, a potem zawrócił jeepa, ruszając wzdłuż kolumny pojazdów. Wokół sedana odpowiedzialnego za całe to zamieszanie, zebrała się już spora grupa ludzi. Kenniston pośpiesznie do nich podjechał.

– Co, do diabła, tutaj się dzieje? – zażądał odpowiedzi. – Czyj to samochód?

Zwrócił się do niego, jakiś sterany życiem człowiek w średnim wieku, z na wpół wystraszoną, na wpół przepraszającą miną:

– Mój… To mój samochód. Nazywam się John Borzak. – Gestem wskazał na tylne siedzenie starego sedana. – Moja żona, właśnie urodziła tam w środku dziecko.

Po chwili namysłu dodał:

– Moje piąte.

– O, Jezu. Tego tylko nam jeszcze potrzeba! – zajęczał Kenniston. Borzak wyglądał na coraz bardziej winnego. Patrzył na niego takim smutnym wzrokiem, że Kenniston nie mógł już wytrzymać i ryknął śmiechem. Nagle, wszyscy dookoła zaczęli głośno rechotać, z ulgą odreagowując napięcie nerwowe.

Wysłał natychmiast ludzi po lekarza i ambulans jadący nieco z tyłu w całej kawalkadzie, a w międzyczasie chętni pomocnicy, ostrożnie wyciągnęli starego sedana z wykrotu, i odepchnęli nieco na bok.

Spiętrzona fala pojazdów, ponownie zaczęła się toczyć. Ale podczas tej wymuszonej przerwy, minuty oczekiwania spędzone na wpatrywaniu się w otaczający ich ponury krajobraz, okazały się być zbyt długie, dla niektórych uczestników karawany. Kenniston zobaczył samochody, na razie na szczęście tylko kilka, wyjeżdżające z kolumny, biorące zakręt i wspinające się z powrotem po zboczu, aby wrócić do Middletown.

Czegoś takiego obawiał się chyba najbardziej. Ludzie, a zwłaszcza ci ludzie, pochodzący z dwudziestowiecznego miasteczka na Środkowym Zachodzie, są w stanie znieść kontakt z nieznanym jedynie do pewnej określonej granicy. Musiał ich powstrzymać, w przeciwnym razie panika rozprzestrzeni się jak ogień, któremu nikt nie będzie mógł stawić czoła. Ruszył za nimi jeepem, i korzystając z przewagi napędu na cztery koła, szybko ich wyprzedził i zablokował drogę powrotną. Stanął w jeepie pokrzykując na nich i pokazując gestem do przodu.

Jeden z mężczyzn, o bladej jak kartka papieru, ale tak sękatej twarzy, że wyglądał jak stary cieśla, przeklinał głośno Kennistona, pchany całą siłą swojego lęku.

– Nie damy się wywieźć z miasta, żeby umrzeć na tej przeklętej pustyni! Wracamy do domu!

– Nawet się nie dostaniecie w pobliże domu! – ostrzegł Kenniston. – Wyznaczono specjalne grupy ludzi pilnujących, żeby nikt nie wrócił do Middletown! Wbijcie sobie do tych waszych kapuścianych łbów, że to miejsce jest śmiertelną pułapką!

– Och, Hugh, może lepiej będzie jeśli pojedziemy dalej? – pisnęła bezkształtna kobieca postać, siedząca obok mężczyzny.

– Do diabła tam, pojedziemy! Jestem wolnym Amerykaninem, a tutaj nie będzie żadnej cholernej dyktatury!

W odpowiedzi na to, Kenniston rzucił jedyny argument, jaki znalazł w głowie, mogący zawrócić tych ludzi, którzy cofnęli się przed śmiertelną grozą pustyni:

– Jeżeli zawrócicie, i jeżeli nawet uda wam się dostać do Middletown, a potem zostać w mieście, to wkrótce pozostaniecie tam zupełnie sami! Wy, i może jeszcze kilku wam podobnych — zupełnie samiuteńcy, tutaj na końcu świata, tylko z nocą i zimnem!

To w końcu do nich dotarło, zastępując ich obawy jeszcze większą grozą, grozą samotności w tym pustym świecie. Człowiek o sękatej twarzy, wyglądał na chorego ze strachu i przez chwilę miotał się schwytany w pułapkę, ale w końcu zawrócił i wraz z innymi samochodami, które za nim pojechały, dołączył do kolumny jak zagonione owce.

Nadjechały również samochody z ludźmi z oddziału Kennistona, ale już nie były potrzebne. Powiedział do nich:

– Uważnie obserwować kolumnę! Nie pozwolić, żeby ktokolwiek jeszcze próbował zawracać. Bez wyjątku!

Przebił się jeepem z powrotem na czoło kolumny, dławiąc się kurzem i spalinami samochodów, walcząc z całych sił z kierownicą, niemal ogłuszony przez nieustanny ryk silników.

Na przedzie karawany, przynajmniej nie musiał łykać kurzu, i mógł patrzeć naprzód, na odległe miasto. Nadal było tylko lśniącą małą bańką na horyzoncie, jedynie jasnym punktem zagubionym i zatopionym w niezmierzonym ogromie brunatno żółtego pustkowia, rozciągającego się, któż to wie jak daleko? Czy dookoła całego świata, pokrywając łoża wyschniętych oceanów i miejsca w których znajdowały się nieistniejące już miasta? Czy dno Atlantyku wyglądało podobnie jak tu, albo Nowy Jork lub Paryż? Czy tak wyglądały bieguny?

Musi zapomnieć o takich sprawach i skupić swoją uwagę na znajdującym się przed nimi mieście, na problemie doprowadzenia do niego tych tysięcy ludzi, ponieważ jeśli tego nie zrobi, groza tego całego umierającego świata, zwali się na niego jak lawina, przyciskając go do ziemi, i nie będzie miał już sił by z nią walczyć. Cały świat nie może przecież, wyglądać tak samo jak tutaj. Muszą gdzieś jeszcze istnieć jakieś zielone doliny, w których mieszkają ludzie, ale teraz nie ma czasu aby o tym rozmyślać, trafili już bowiem na drogę wiodącą do portalu, a kopuła ostatniego schronienia ludzi, wznosiła się przed nimi pod niebiosa.

Zobaczył, że ludziom Hubble'a, udało się zamknąć portal. To była oczywiście pierwsza rzecz jaką zrobili, żeby nie wpuszczać powiewu zimnych wiatrów oraz w celu zachowania każdej odrobiny ciepła, jaka była jeszcze w środku. Teraz otwierał się szeroko, aby wpuścić ich pod kopułę, a ze środka wyskoczył jakiś uśmiechnięty mężczyzna wymachujący bronią. Szybko podbiegł do nich i uczepił się boku jeepa.

– Jedziemy prosto wzdłuż tej alei, a potem skręcimy. Pokażę wam. Tak, mamy przygotowaną całą sekcję miasta. Nie, nie zauważyliśmy nawet śladu żadnej żywej istoty. Wydaje się, że nie ma tu nawet myszy. – Przerwał na chwilę. – Diabelnie cieszę się, że już was tu widzę, ludzie! W tym miejscu panuje taka cholerna cisza, że naprawdę można się wystraszyć.

Rząd wysokich, białych wieżowców, obserwował ich uważnie, przyglądając się długiej, długiej kolumnie zakurzonych samochodów, ciężarówek i autobusów, ciągnącej po opustoszałych alejach. Hałas silników, znacznie wzmocniony poprzez odbite od ścian echa, powtarzany był słabo również przez samą kopułę, tak że szokująca głośność tego dźwięku, przyprawiała Kennistona o dreszcze.

Nie licząc tego mechanicznego warkotu, pomiędzy mieszkańcami Middletown, zapanowała jakaś osobliwa cisza. Z okien niemal wszystkich samochodów, wzdłuż całej kolumny, wystawały głowy ludzi, obserwujących, spoglądających, podziwiających wysokość budynków, których wierzchołków nie byli w stanie zobaczyć, przyglądających się kształtom i kolorom, zupełnie obcym i niepodobnym do tego co wszyscy znali, nasłuchujących dźwięków pustki. Kenniston rozumiał co czują. To wszystko było zbyt duże i zbyt dziwne. Nawet rdzenny nowojorczyk czułby się nieswojo pomiędzy tymi potężnymi wieżowcami, a dla ludzi z Middletown, przywykłych do niewielkich pokrytych ciemnoszarym łupkiem domów i przysadzistych budynków z wyblakłej cegły, były one przytłaczające i obezwładniające, wzbudzając w nich dodatkowo jeszcze irracjonalny lęk, zupełnym opuszczeniem i pustką.

Czoło karawany dotarło do kwartału miasta odgrodzonego sznurami, które na chwilę zostały odciągnięte w bok, żeby mogły wjechać samochody.

Wysłany przodem oddział Hubble'a, był gotowy. Bez ich pracy, przydzielenie zaimprowizowanych kwater niemal siedemnastu tysiącom ludzi, byłoby w zasadzie niemożliwe. Nawet przy ich udziale, był to pełen rozmaitych przepychanek chaos, przebiegający jednak, co dziwne, bez specjalnego hałasu. Mężczyźni i kobiety, poruszali się w czymś w rodzaju lekkiego oszołomienia, rzucając na wszystkie strony nieufne spojrzenia, na pył i cienie, przyglądając się ślepym oknom oraz wysokim dziwnym pomieszczeniom, obawiając się podnieść głos. Stopniowo dźwięk silników samochodów zaczął zamierać i ulice utonęły w upiornej ciszy. Cisza ta była tak ogromna, że nawet szuranie tysięcy stóp, mamrotanie tysięcy głosów, oraz odgłosy pracy nad rozładowaniem ciężarówek i samochodów, nie były w stanie jej zakłócić, i niemal się w niej gubiły. Nawet psy były wystraszone.

Kenniston złożył raport Hubble'owi, a potem wyruszył na poszukiwania Carol. Od czasu do czasu, ludzie nadal siedzieli w swoich samochodach, odmawiając opuszczenia tego ostatniego fragmentu znanej im rzeczywistości, a gdzieś dalej przeszedł obok kobiety, która kucała w pyle ulicy i płakała z rękoma pełnymi koców. Coś z tego powszechnego uczucia desperacji, udzieliło się również Kennistonowi. To wszystko nie szło za dobrze, to w ogóle

nie szło dobrze, i zaczął obawiać się rozmowy z Carol. Wlókł się jednak dalej, dopóki jej nie znalazł.

Była w dużym, wysoko sklepionym pomieszczeniu na poziomie ulicy, ponuro cuchnącym kurzem i upływem wieków. Wysokie okna, wpuszczały do środka tyle światła, ile tylko mogły, ale i tak panował tu półmrok. W pokoju było dwadzieścia kobiet w różnym wieku, kłębiących się z walizkami i stosami pościeli, wymieniających niewyraźne żale i słowa skargi, zmagających się ze zrolowanymi materacami. Carol i jej ciotka należały do tej dwudziestki.

Charakterystyczne było, że starały się unikać ciemnych kątów, dopóki to tylko było możliwe. Pani Adams opadła zmęczona na swoje zaimprowizowane posłanie, a Carol robiła co mogła, aby zaprowadzić jakiś porządek w ich skąpym dobytku.

– Czy u ciebie wszystko w porządku? – spytał z niepokojem, a ona potakująco kiwnęła głową.

Pani Adams załkała z kłębu koców na podłodze:

– Czemu nas tu sprowadzili, do tego strasznego miejsca? Dlaczego nie pozwolili nam zostać w domu? – Carol uciszyła ją, tak jak zrobiłaby to z płaczliwym dzieckiem.

Dwie pociągające nosami dziewczyny, o twarzach szarych myszek, podeszły, aby zadać Kennistonowi kilka pytań. Za nimi, niska, gruba kobieta w średnim wieku, przestępowała z nogi na nogę, chodząc wzdłuż ścian i trzaskając głośno drzwiami, za które zaglądała.

– Gdzie są łazienki – dopytywała się wojowniczo.

Kenniston zabrał Carol do wyjścia i stanęli tuż pod drzwiami, gdzie, być może nie było specjalnie więcej prywatności niż w środku, ale przynajmniej nie byli otoczeni przez innych. Powiedział do niej:

– Wiem, że teraz jest tu prymitywnie jak diabli, ale tak będzie jedynie przez krótki czas. To znaczy, chciałem powiedzieć, że to wspólne koczowanie rychło się skończy. Mieszkań starczy tutaj z pewnością dla wszystkich, i będziesz mogła wybrać sobie miejsce jakie tylko ci się spodoba, wszystko do twoich usług. Mogę przywieźć ze starego domu, co tylko będziesz chciała, twoje książki, rzeczy, nawet meble…

Przerwała mu w pół słowa:

– Nie chcę, żeby stamtąd niczego ruszano. Chcę mieć pewność, że wszystko jest w nim dokładnie tak, jak to zostawiłam, tak bym mogła chociaż sobie wyobrażać jak tam jest, i że może… – Pokręciła przecząco głową, a potem kontynuowała: – Ken, kiedy tu przyjechaliśmy stary pan Peters z naszej ulicy, dostał kolejny wylew. Zabrali go na noszach. On umierał, widziałam jego twarz. Patrzył w górę na te okropne budynki, taki zbity z tropu i przestraszony. Próbował to wszystko zrozumieć, ale nie był w stanie. – Cała aż się wzdrygnęła.

– Umieranie generalnie nie jest dobrą rzeczą, niezależnie od tego gdzie się to robi – odparł. – Ale my przecież jesteśmy młodzi i silni, i nie mamy zamiaru jeszcze umierać.

Zanim ją zostawił, dorzucił jeszcze:

– Podczas marszu tutaj, urodziło się dziecko. Myśl o dzieciach, Carol, zamiast o starych ludziach.

Odszedł przygnębiony i zmartwiony. Carol stała się tak bardzo inna, i nie wydawało mu się, by powodem tej zmiany było tylko zmęczenie. Być może jej korzenie zbyt głęboko wrosły, nie w samo Middletown jako takie, ale w reprezentowany przez nie pewien styl życia i sposób myślenia. No cóż, teraz ten styl życia legł na zawsze w gruzach, a ona, podobnie jak i wszyscy pozostali, musieli się do tego przystosować.

Kenniston minął dwie długie przecznice, zatopiony w swoich troskach i rozmyślaniach, zanim uświadomił sobie, że na ulicach powiało jakąś zmianą. Próbował zorientować się, co to było. Więcej ludzi przeniosło się już do budynków, mniej ciągle siedziało w samochodach, ale to nie było to. Dookoła czuło się coś… Ulice nagle obudziły się do życia. To dzieci to

sprawiły. Początkowo były onieśmielone przez dziwny wygląd tego miejsca, panującą tu ciszę, oraz zachowanie starszych. Powoli jednak zaczęło świtać im w głowach, że przed nimi leżało całe wielkie miasto, gotowe do tego do tego by je wziąć w swoje ręce. Miały do dyspozycji wspaniałe puste budynki, pełne nieodkrytych jeszcze tajemnic i skarbów, nowe ulice, nowe ścieżki do wytyczenia, cale to dziewicze terytorium, czekające tylko na to by je eksplorować. Zaczęły to robić, te co bardziej niespokojne duchy, dwójkami, trójkami, pociągając za sobą innych. I teraz te wyniosłe korytarze, dźwięczały od krzyków i bieganiny, małe postaci mknęły w tą i z powrotem po chodnikach, zacienione zaułki tętniły ruchem, wrzaskami i piskami, oraz towarzyszącymi im głosami rodzicielskiego gniewu. Jeden z urwisów o potężnych płucach, odkrył, że może wywoływać echa. Inny upojony przez wielkie białe przestrzenie niczym nie skażonych ścian, stał z kawałkiem ołówka w ręce, bazgrząc coraz to bardziej rosnące litery. Kenniston pomyślał, „Pozbawione szacunku małe bękarty!". Ale mimowolnie przyśpieszył kroku, i zupełnie niespodziewanie poczuł pewność, że w końcu to wszystko jakoś się ułoży. Rasa ludzka była twarda.

Kolejne dowody na to, miał już po dwóch następnych dniach. Wielkie fale migracji, spływały z zakurzonych wzgórz poprzez portal, hałaśliwy korowód tysięcy kół i silników, niezliczonych twarzy i czujnie spoglądających oczu. Dla tych którzy przybyli drugiego dnia, a potem trzeciego, wszystko to było już dużo łatwiejsze, niż dla tych, którzy przybyli jako pierwsi. Siedemnaście tysięcy pionierów złamało przekleństwo pustki i ciszy. Miejskie kuchnie, działające na wszystko, poczynając od ropy i benzyny, wypełniły powietrze przytulnym, przypominającym dom, słodkim zapachem kawy. Było gorące jedzenie i podekscytowane poszukiwanie przyjaciół, porównywanie i wymiana wrażeń. Niestrudzone gospodynie domowe złapały za miotły i zagoniły swoich mężów do mycia zakurzonych okien i grzmocenia niezdyscyplinowanych dzieci. A wzdłuż ulic i alei gromadziły się całe rzędy samochodów, plymouthów, szewroletów, fordów i kadilaków, zupełnie nie pasujących do tego sennego miasta starszej Ziemi.

Trzeciego dnia przywieziono chorych i umieszczono ich w budynku, który został przekształcony w szpital. Sprowadzono również więźniów z aresztu i zamknięto ich w innym budynku. Wielka budowla na centralnym placu, stała się ratuszem. A podczas tej trzeciej nocy, w Middletown, nie pozostało już nawet żywej duszy. Wszyscy byli tutaj, znajdując schronienie pod wielką kopułą obcego miasta.

– Nazwiemy to miejsce Nowym Middletown – ogłosił burmistrz Garris. – Dzięki temu będziemy się tu czuli bardziej jak w domu.

Tej nocy Kenniston spacerował z Carol, jedną z ciemnych głównych ulic miasta pod kopułą. Jedynie spoza drzwi i wysokich okien oświetlały ją nieco płomienie świec i lamp. Z wewnątrz jednego z domów, spoza jakichś ciemnych drzwi, zapłakało dziecko, ale pośpiesznie zostało uciszone. Psy szczekając rzucały wyzwanie jakimś obcym duchom. Skądś dobiegł ich metaliczny głos gramofonu:

„*Nie mogę dać ci niczego, poza miłością, baby*!" Kennistonowi wydawało się, że rzędy wysokich białych budynków, spoglądały w dół oczami okien, zadziwionymi, zaskoczonymi. W tym mieście pod migoczącą odbitym światłem gwiazd kopułą, cisza królowała przez długi, bardzo długi czas. Cisza, i powolna huśtawka czerwonego zimnego Słońca i odległych gwiazd.

Czy miasta mogą pamiętać, zastanawiał się Kenniston? Czy na przykład to miasto pamiętało dawne lata, swoich budowniczych, zakochanych ludzi, którzy spacerowali jego ulicami, czy też dzieci, znające wszystkie jego zaułki i zakamarki? Czy było zadowolone, z tego, że ponownie pojawili się w nim ludzie, czy tez żałowało lat ciszy i spokoju?

Carol wzdrygnęła się lekko i zapięła swoje palto.

– Robi się zimniej.

Kenniston kiwnął głową.

– Ale zimno nie jest takie ostre, najwyżej jak w listopadową noc w naszym czasie. Możemy to wytrzymać.

Spojrzała na niego, jej oczy wydawały się zupełnie ciemne, na tle bladego, zamglonego owalu jej twarzy.

– Ale jak będziemy tu żyć, Ken? To znaczy, kiedy skończy się żywność zabrana z magazynów z Middletown?

On i Hubble zdawali sobie sprawę, że to pytanie kiedyś padnie, i miał na nie gotową odpowiedź. Nie była może ona doskonała, ale jedyna jaką zdołali wymyślić.

– Tu w mieście, nieco dalej są wielkie zbiorniki hydroponiczne, Carol. Ludzie hodowali w niech dla siebie żywność. W Middletown jest całe mnóstwo nasion.

– Ale woda…

– Mamy całe mnóstwo wody – odpowiedział jej natychmiast. – Olbrzymie zbiorniki podziemne, które musza pobierać ją z głębokich warstw wodonośnych. Hubble ją przebadał i jest absolutnie bezpieczna.

Szli dalej, dochodząc na skraj placu. Akurat właśnie wschodził Księżyc, ten niewiarygodnie wielki Księżyc, w kolorze miedzi, znajdujący się dużo bliżej Ziemi niż wiele lat temu. Jego miedziane światło przenikało przez znajdującą się nad miastem kopułę. Chłód jeszcze się nieco pogłębił.

Na Kennistona zwaliła się cała, długa przeszłość martwej Ziemi. Miliony lat, tryliony istnień, pełnych bólu, nadziei, walki, i wszystko to po co? Żeby tak się to wszystko skończyło?

Carol również to poczuła i przytuliła się mocniej do niego.

– Ken, czy oni naprawdę wszyscy są martwi? Cała rasa ludzka, poza nami?

Na to pytanie, on i Hubble również mieli przygotowaną odpowiedź, odpowiedź którą mogli udzielić każdemu.

– Nie ma żadnego powodu, żeby przyjmować takie założenia. Mogą istnieć jeszcze inne miasta, które nadal są zamieszkane. Jeśli tak jest, to rychle się z nimi skontaktujemy.

Pokręciła z powątpiewaniem głową.

– To tylko słowa, Ken. Nawet ty sam w nie chyba nie wierzysz. – Odsunęła się od niego. – Jesteśmy sami – powiedziała. – Wszystko co mieliśmy odeszło, nasz świat, nasze całe życie, i zostaliśmy zupełnie sami.

Otoczył ją ręką. Chciałby coś powiedzieć, aby ją pocieszyć, ale stała cała zesztywniała i lekko drżąca, i nagle powiedziała:

– Ken, są chwile, kiedy nie mogę nic poradzić na to, że cię nienawidzę.

Puścił ją, kompletnie wstrząśnięty, i ciągle zbyt zdumiony by wybuchnąć gniewem. W końcu powiedział:

– Carol, jesteś przepełniona goryczą i rozpaczą…

Jej głos był cichy i ponury, słowa z jej ust płynęły tak szybko, jakby dłużej już nie mogła ich powstrzymywać.

– Czy jestem? Być może. Ale nic nie mogę poradzić na to, że pamiętam, że gdybyście ty i ludzie tobie podobni, nie przybyli do Middletown z tym waszym tajnym laboratorium, pięćdziesiąt tysięcy ludzi nie musiałoby cierpieć z tego powodu. To wy sprowadziliście na nas to wszystko …

W końcu teraz zaczął rozumieć, to wszystko co zaległo między nimi, co spowodowało napięcie w zachowaniu Carol, te wszystkie nieprzyjazne chwile milczenia, całe to jej ślepe oburzenie, które skupiło się na nim.

Przez chwilę poczuł wściekłość i oburzenie, bardziej chyba z tego powodu, że to co powiedziała Carol uderzyło w jego czułe miejsce. Stanął, niemal przeszywając ją wzrokiem, wtedy jednak poczuł jak gniew z niego spływa. Objął ją ramionami i powiedział:

– Carol, to wszystko nie ma sensu, i ty sama o tym dobrze wiesz! Jesteś rozgoryczona, ponieważ musiałaś porzucić swój dom, swój sposób życia, i usiłujesz uczynić mnie kozłem ofiarnym, odpowiedzialnym za wszystkie nieszczęścia tego świata. Nie możesz tego robić! Potrzebujemy się nawzajem, teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek, i nie powinniśmy pozwolić, żeby siebie utracić.

Wpatrywała się w niego nieustępliwie, potem jednak zaczęła szlochać i zapłakana wtuliła się w niego.

– Och Ken, nie pozwól mi robić z siebie głupca! Jestem taka zaplątana, nie wiem już nawet co mam sądzić o myślach, które mnie nachodzą.

– Wszyscy czujemy się podobnie – powiedział. – Ale w końcu wszystko będzie dobrze. Zapomnij o tym, Carol.

Kiedy jednak ściskał ją tak i uspokajał, spojrzał w górę obok jej głowy, na obce budowle i oblicze tego obcego Księżyca, i zdał sobie sprawę, że Carol nigdy nie zdoła mu tego tak do końca zapomnieć, że taka głęboka uraza nie może zniknąć tak łatwo oraz że będzie musiał z nią walczyć. A nie będzie to walka łatwa, ponieważ w jej słowach kryło się żądło prawdy, prawdy tylko częściowej, ale takiej której on sam nigdy nie śmiał stawić czoła.

Rozdział 8: Middletown wzywa!

Po obudzeniu się, Kenniston leżał przez pewien czas pod kocem, rozglądając się wokoło po wielkim pokoju, z tym samym wrażeniem nierealności, jakiego doznawał teraz każdego poranka.

Pokój był naprawdę duży, z pełnymi wdzięku, wygiętymi w łuk ścianami i sufitem z plastiku w kolorze kości słoniowej, o lekkiej teksturze. Nie był jednak aż tak duży na jaki wyglądał, ponieważ budowniczowie miasta potrafili zręcznie wkomponować w niego śmiało wystającą antresolę, pozwalającą nadać dwóm piętrom wrażenie przestrzenności i wyniosłości jednego.

Spojrzał w górę, na wysoko położone, zakurzone okna, i zastanawiał się, do czego mogło kiedyś służyć to pomieszczenie. Znajdowało się ono w dużym budynku przy głównym placu, ponieważ burmistrz Garris nalegał, aby cały zespół laboratorium został zakwaterowany w pobliżu ratusza. Ewidentnie widać było, że był to budynek publiczny, ale poza kilkoma masywnymi stołami, był całkowicie pusty, tak że nie znaleźli w nim żadnej wskazówki co do jego poprzedniej funkcji.

Rozejrzał się dookoła po pozostałych kolegach, leżących w rzędzie materaców. Hubble ciągle spokojnie spał. Podobnie jak Beitz, lekko jęcząc i pochrapując w głębokim śnie. Crisci natomiast leżał z szeroko otwartymi oczyma, bez najmniejszego ruchu, wpatrując się w górę, ze wzrokiem utkwionym w sufit.

Kenniston coś sobie przypomniał, z nagłym ukłuciem bólu, coś o czym zupełnie nie pamiętał w całym tym pośpiechu i pogoni zdarzeń. Podszedł do Crisciego i szepnął:

– Przepraszam Louis, dopiero teraz pomyślałem o twojej dziewczynie.

– Dlaczego niby miałbyś o tym pamiętać? – cichy głos Crisciego, był zupełnie bezbarwny. – Jak niby mógłbyś, biorąc pod uwagę to wszystko co się wydarzyło. – Kontynuował dalej, równie pozbawionym barwy głosem. – Poza tym, to wszystko skończyło się już bardzo dawno temu. Teraz, ona nie żyje już od milionów lat.

Kenniston stał przez chwilę koło niego, szukając w głowie czegoś, co mógłby powiedzieć, przypominając sobie ochocze tyrady Crisciego, na temat dziewczyny, którą miał zamiar poślubić, dziewczyny która mieszkała kilkadziesiąt mil od Middletown. Nie mógł jednak znaleźć żadnych słów, które można by teraz powiedzieć. Tragedia Crisciego, nie była wśród tych ludzi czymś wyjątkowym, matka której syn wyjechał do Kalifornii, żona, której mąż był w podróży w interesach, rodziny, przyjaciele, rozdzieleni na zawsze przez olbrzymie morze czasu. Ponownie poczuł wielką ulgę, że Carol była tutaj razem z nim i wzmocnioną determinację, by wspierać ją przeciw wszelkim przeciwnościom.

Kiedy inni zaczęli wstawać, Kenniston zapalił porannego papierosa. Nagle przerwał i powiedział:

– Właśnie przyszło mi do głowy…

Hubble uśmiechnął się do niego.

– Tak, wiem. Właśnie pomyślałeś o tytoniu. Ty i wielu ludzi wkrótce będziecie musieli nauczyć się dawać sobie radę bez niego.

Kiedy wyszli do najbliższej miejskiej kuchni, żeby dostać śniadanie. Hubble opowiedział mu trochę o tym, co się dzieje.

– McLain wraca do Middletown, żeby przywieźć silniki benzynowe i pompy. Musimy w końcu uruchomić miejski system cyrkulacji wody, a przebadanie i zrozumienie sposobu

zasilania jego pomp, może zająć nam sporo czasu. Wydaje się, że są to jakiegoś typu silniki atomowe, ale nie jestem tego pewien.

– Co z racjonowaniem żywności?

– Cała żywność i wszystkie lekarstwa przechodzą do strzeżonych magazynów. Talony reglamentacyjne zostaną wydrukowane jako pierwsze. Korzystanie z samochodów jest oczywiście zabronione. Na razie możliwości poruszania się wszystkich zostają ograniczone do własnego okręgu zamieszkania, aby zapobiec przypadkom szabrownictwa. Już zorganizowaliśmy odpowiednie ekipy ludzi, którzy mają przebadać miasto.

Kenniston pokiwał głową. Zanim zaczął mówić, wyciągnął ostatniego, nagle tak cennego papierosa.

– To wszystko jest oczywiście niezbędne. Ale głównym problemem, Hubble, będzie morale. – Mówiąc dalej, pomyślał o Carol. – Nie wierzę, żeby mieszkańcy znieśli to wszystko, jeśli się dowiedzą, że są ostatnimi żyjącymi ludźmi.

Hubble wyglądał na zatroskanego.

– Wiem. Ale gdzieś jeszcze musieli przeżyć jacyś ludzie. To miasto nie zostało porzucone z powodu jakiejś nagłej katastrofy. Być może przenieśli się tylko na nowe, lepsze miejsce.

– W Middletown, przez radio, nie odbieraliśmy z zewnątrz nawet żadnego szeptu – przypomniał Kenniston.

– Rzeczywiście nic. Ale wydaje mi się, że teraz może się używać czegoś innego niż nasz system radiowy. Chciałbym żebyś właśnie tym zajął się dzisiaj rano, Ken. Wczoraj w nocy, Beitz, w budynku niedaleko stąd, znalazł jakiś system komunikacji. To wielka aparatura, która jak mu się wydaje, służyła do komunikacji telewizyjnej. To bardziej pasuje do twojej działki, niż naszej.

Kenniston poczuł gwałtowny przypływ zainteresowania, zainteresowania inżyniera, którego nawet koniec świata nie zdołał zabić do końca.

– Chciałbym na to rzucić okiem.

Kiedy tak szli przez zimny, czerwony poranek, Kenniston z zaskoczeniem stwierdził, że to obce miasta pod kopułą, przybrało już nieoczekiwanie normalny i codzienny wygląd.

W kuchniach miejskich, gromadziły się całe rodziny, w atmosferze wyprawy na piknik. Po najbliżej położonej ulicy biegała z głośnym wrzaskiem niewielka banda dzieciaków, a razem z nimi gonił, szaleńczo ujadając, mały kudłaty pies. Łysy, czerwony na twarzy mężczyzna, w portkach i podkoszulku, pykał ze swojej fajki i z umiarkowaną ciekawością spoglądał wzdłuż potężnej ulicy. Dwie pulchne kobiety pokrzykiwały coś do siebie nawzajem z sąsiednich drzwi. Jedna z nich trzymała za kurtkę wyrywającego się chłopca.

– …i powiedzieli mi, że pani Biler czuje się już dużo lepiej, ale jej mąż jest nadal bardzo słaby…

– Istoty ludzkie – powiedział Hubble, – potrafią się przystosować niemal do wszystkiego. Dzięki za to Bogu.

– Ale co w przypadku, jeśli okażą się ostatni? Do tego nie zdołają się już przystosować z całą pewnością.

Hubble pokręcił przecząco głową.

– Nie. Obawiam się, że nie.

Po śniadaniu Beitz zaprowadził ich do dużego kwadratowego budynku, stojącego dwie przecznice od placu. Wewnątrz znajdowała się duża, ocieniona sala, w której stał rząd urządzeń, w formie wysokich sześciennych brył. Widać było w oczywisty sposób, że są to urządzenia telewizyjne. Każde miało kwadratowy ekran, siatkę mikrofonu, a nad nią panel z przełącznikami różnego rodzaju regulatorów, tarczami wskaźników, i innymi trudniejszymi do zidentyfikowania elementami.

Kenniston znalazł na boku jednego z nich panel do obsługi, i otworzył go. Krótkie sprawdzenie plątaniny urządzeń w środku aparatu, zniechęciło go kompletnie.

– Tak, to były urządzenia do komunikacji telewizyjnej. Ale zasady na jakich opiera się ich działanie, są po prostu zdumiewające. Oni nie wykorzystywali nawet lamp elektronowych, bez wątpienia wyszli już poza tę technologię.

– Czy byłbyś w stanie uruchomić któreś z tych urządzeń, tak by mogło nadawać?

Kenniston pokręcił przecząco głową.

– System video, jest absolutnie poza moim zasięgiem. Jest zupełnie odmienny od naszych prymitywnych aparatów telewizyjnych.

Hubble zapytał więc z kolei:

– Czy wobec tego możliwe byłoby użycie tylko systemu audio? Wykorzystanie jednego z nich jako prostego nadajnika radiowego dźwięku?

Kenniston zawahał się.

– To być może dałoby się zrobić. Byłoby to w dużej mierze szukanie po omacku. Ale widzę tu pewne znajome elementy konstrukcyjne. – Zastanawiał się przez kilka chwil, a potem powiedział: – Przewody zasilające dochodzą z zewnątrz. Czy gdzieś tu w okolicy jest coś, co wygląda jak stacja energetyczna?

Stary Beitz przytaknął.

– Tylko przecznicę stąd. Jakiegoś rodzaju wielkie, osłonięte turbiny atomowe, podłączone do generatorów.

– Możemy spędzić całe lata próbując nauczyć się jak obsługiwać ich maszyny atomowe – powiedział Kenniston.

– Może uda nam się do tych generatorów podłączyć silniki benzynowe – zasugerował Hubble. – To dałoby wystarczająco dużo energii do wypróbowania jednego z tych nadajników.

Kenniston spojrzał na niego.

– Aby nawiązać łączność z innymi ludźmi, którzy pozostali nadal na Ziemi?

– Tak. Jeżeli nadal jacyś przetrwali, to nie słyszą naszych wezwań radiowych. A to jest przecież ich własny system komunikacyjny. Muszą go usłyszeć.

W końcu Kenniston powiedział:

– No, dobrze. Daj mi tylko energię, a spróbuję to zrobić.

Przez kilka kolejnych dni, Kenniston tak silnie zaangażował się w pokonanie postawionego przed nim fascynującego problemu technicznego, że niemal nie zauważał tego jak mieszkańcy Middletown zaadaptowali się do Nowego Middletown. Słyszał jedynie nieustannie huczące pod kopułą ciężarówki, w miarę jak McLain posuwał naprzód sprawę przewozu zapasów ze starego, teraz opustoszałego miasteczka, poprzez oddzielającą ich od niego linię wzgórz.

Przywiezione zostały silniki benzynowe potrzebne nie tylko do pompowania wody z wielkich rezerwuarów, ale również do uruchomienia jednego z generatorów w stacji energetycznej. Kiedy już miał energię, Kenniston rozpoczął eksperymenty. Rozumiejąc daremność próby zgłębienia zasad działania dziwacznych nadajników super-radiowych, starał się po prostu wydedukować zwykłą metodę sposobu ich obsługi.

Ciężarówki przywoziły również i inne rzeczy, nowe dostawy żywności, ubrań mebli, wyposażenia szpitalnego, książek. McLain zaczął przebąkiwać o organizacji ekspedycji samochodowej, w celu zbadania otaczających ich terenów. A w międzyczasie zespoły już wcześniej stworzone dla eksploracji samego Nowego Middletown, przeszukiwały wszystkie domy mieszkalne i budynki. Już miały na koncie dwa zaskakujące odkrycia.

Hubble oderwał Kennistona od jego pracy, aby rzucił okiem na jedno z nich. Poprowadził go na dół, poprzez łańcuch leżących pod miastem korytarzy i katakumb.

– Czy wiesz, że tutaj, w Nowym Middletown, temperatura jest o kilka stopni wyższa, niż mogłoby dać zwykłe magazynowanie energii cieplnej ze Słońca? – powiedział Hubble. – Znaleźliśmy olbrzymie przewody cieplne, które zdawały się przenosić cieplejsze powietrze, w górę, do miasta. Wysłałem więc na dół ludzi, by prześledzili bieg tych przewodów, aż do ich źródła.

Kenniston poczuł nagłą ekscytację.

– Źródło? Wielka sztuczna ciepłownia?

– Nie, to nie to – odparł Hubble. – Ale już tu jesteśmy. Sam rzuć na to okiem.

Nagle wyszli na ogrodzoną galerię, w wielkiej podziemnej komnacie. Wąska galeria, znajdowała się na krawędzi bezdennej dziury, olbrzymiego okrągłego szybu, opadającego w nieprzeniknioną ciemność. Kenniston wpatrywał się zaintrygowany w jego gardziel. Zauważył, że z dziury prowadziły w górę wielkie przewody cieplne, rozchodzące się dalej we wszystkich kierunkach.

– To cieplejsze powietrze wydostaje się z tego szybu. – Powiedział Hubble, kiwając głową w kierunku dziury. Potem dodał jeszcze: – Wiem, że to zabrzmi nieprawdopodobnie, i zgodnie z naszą wiedzą techniczną wydaje się niemożliwe. Uważam jednak, że ten szyb ciągnie się w dół wiele, wiele mil, Uważam, że prowadzi w dół aż do jądra Ziemi.

– Ale jądro Ziemi jest niesamowicie gorące! – sprzeciwił się Kenniston.

– Było gorące, miliony lat temu – poprawił go Hubble. – A w miarę, jak robiło się coraz chłodniej, jak powierzchnia stawała się zimna, zbudowano to pokryte kopułą miasto, a być może jeszcze wiele innych podobnych do tego, i wykopano olbrzymi szyb aby transportować ciepło z jądra. Ale jądro Ziemi z biegiem lat stało się jeszcze chłodniejsze, niemal zupełnie zimne. Obecnie może ono dostarczyć jedynie bardzo nieznacznych ilości ciepła, pozwalających tylko w niewielkim stopniu ogrzać miasto.

– To jest więc powód, dla którego nie mogli już tu dalej żyć. Bardzo silnie uzależnili się od ciepła z wnętrza Ziemi, które się wyczerpało – powiedział Kenniston, nieco pozbawiony nadziei.

Drugie odkrycie poczynił Jennings, młody sprzedawca samochodów, który dowodził jedną z grup eksploracyjnych. Zaintrygowany, przyniósł o nim wieści do naukowców, a Kenniston udał się razem z Beitzem i Cristim, aby je sprawdzić.

Była to po prostu wielka, półokrągła sala posiedzeń, znajdująca się w jednym z większych budynków, z kilkuset siedzeniami na kilku poziomach.

– Pomieszczenie jakiejś rady, albo może sala wykładowa – powiedział Beitz. – Ale co w tym jest takiego niezwykłego?

– Proszę popatrzeć na te siedzenia na drugim poziomie – powiedział Jennings. Wtedy zorientowali się o co mu chodziło. Siedzenia na tym balkonie, nie były zwykłymi metalowymi krzesłami, tak jak pozostałe. Były odmienne, różniły się od krzeseł oraz różniły się między sobą. Część z nich w ogóle z trudem można było uznać za siedzenia. W jednym rzędzie były bardzo obszerne, płaskie i niskie, z szerokimi oparciami, zakrzywiającymi się nieco do wewnątrz. Siedzenia w innym rzędzie były z kolei bardzo wąskie i w ogóle nie miały oparć. Jeszcze inne wyglądały nieco jak łukowate, rozparte krzesła, ale ich krzywizna była niesamowicie głęboka.

– Jeżeli to są fotele – powiedział Jennings, – to nie są one przeznaczone do tego by siedziały w nich zwykłe istoty ludzkie.

Kenniston i inni, spoglądali po sobie zaskoczeni. Przed oczyma stanęła mu groteskowa wizja tej sali wypełnionej przez widownię. Widownię częściowo ludzką, a częściowo jaką? Czy w ostatnich wiekach, ludzkość zmuszona była dzielić Ziemię z innymi rasami, które nie były ludzkie?

– Wszyscy wyciągamy bardzo pochopne wnioski – głos Beitza złamał zaklęcie. – To być może w ogóle nie były siedzenia. – Ale kiedy wychodzili, polecił Jenningsowi: – Lepiej o tym nie mówić ludziom. To mogłoby ich zaniepokoić.

Informacje o tym co znalazły inne zespoły eksploracyjne zostały w ogólnych zarysach przedstawione przez Hubble'a, w krótkiej przemowie na wielkim zebraniu mieszkańców Middletown, przeprowadzonym na placu, w niedzielne popołudnie.

Tego ranka prowadzona była posługa kościelna, msze bez dzwonów, organów czy szkła witraży, ale odbywające się w wyniosłych, cienistych pomieszczeniach o powadze katedry. Po nich nastąpiło pierwsze spotkanie mieszkańców Nowego Middletown. Dookoła zamontowane zostały głośniki, tak by wszyscy zebrani na wielkim placu, mogli wszystko dokładnie usłyszeć, i przemówił do nich burmistrz Garris, wyglądający dużo starzej, pokorny burmistrz Garris. Nieco się zacinając, zachęcał wszystkich do wytrwania i dodawał im energii.

Powiedział im, że system racjonowania działa dobrze. Nie było niebezpieczeństwa głodu, ponieważ wkrótce miały ruszyć farmy hydroponiczne. Jeśli będzie zachodziła taka potrzeba, będą mogli przeżyć w Nowym Middletown dowolnie długo.

– Doktor Hubble – dodał, – powie wam o tym, co zostało znalezione w Nowym Middletown przez ekipy eksploracyjne.

Hubble mówił krótko. przede wszystkim podkreślił, że pierwotni mieszkańcy Nowego Middletown, ewidentnie pozostawili je umyślnie i celowo.

– Zabrali wszystkie swoje rzeczy osobiste, książki, odzież, mniejsze urządzenia, instrumenty i meble. Pozostawili jedynie rzeczy zbyt wielkie i ciężkie do tego, aby można je było łatwo przetransportować. Dotyczy to również pewnych maszyn, o których uważamy, że są zasilane energią atomową. Zanim jednak podjęte zostaną próby ich uruchomienia, muszą one zostać z największą uwagą przebadane. Jesteśmy pewni, że z czasem, badania uczynią możliwym wykorzystanie wszelkiego tego typu sprzętu.

Burmistrz Garris wstał, aby skwapliwie dorzucić:

– No i należy pamiętać, że jedno z urządzeń jest już teraz gotowe do działania! Pan Kenniston zdołał uruchomić jeden ze znalezionych tu nadajników radiowych, i dzięki temu będziemy mogli teraz rozpocząć próby nawiązania kontaktu z innymi ludźmi żyjącymi na Ziemi.

Ze strony zebranych na placu mieszkańców Middletown podniósł się olbrzymi okrzyk radości. Natychmiast po zamknięciu zebrania, Kenniston został otoczony przez tłumy podekscytowanych ludzi, wypytujących go o wszelkiego rodzaju szczegóły. Tak, będzie mógł natychmiast rozpocząć nadawanie wezwań.

Kiedy na moment pozostał sam z Hubblem, był dużo bardziej zatroskany.

– Garris nie powinien tego ogłaszać! Ci ludzie teraz są śmiertelnie pewni, że wkrótce nawiążemy łączność z innymi zamieszkałymi miastami!

Hubble również wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Oni wszyscy są tak pewni, że są tu inni ludzie, i że to tylko kwestia nawiązania z nimi kontaktu…

Kenniston spojrzał na niego z uwagą.

– Czy naprawdę wierzysz, że ktoś tu jeszcze jest poza nami? Zaczynam w to poważnie wątpić, Hubble. Jeżeli nie byli w stanie przeżyć w tym mieście, to nie zdołali tego zrobić również nigdzie indziej.

– Być może – z niepokojem przyznał Hubble. – Ale nie możemy być niczego pewni. Musimy próbować, ciągle i usilnie próbować.

Kenniston już poprzedniej nocy uruchomił nadajnik, używając go jedynie przez dziesięć minut w ciągu każdej godziny, aby oszczędzać benzynę, tak bardzo jak to tylko było możliwe.

– Tu wzywa Middletown! – mówił do mikrofonu. – Tu wzywa Middletown!

Nie było sensu dodawać czegokolwiek więcej. Nie mieli jeszcze działającego odbiornika, pozwalającego usłyszeć ewentualną odpowiedź. Mogli tylko nadawać, aby ogłaszać wszystkim swoją obecność tutaj, i czekać z nadzieją, że na umierającej Ziemi pozostał jeszcze ktoś, kto usłyszy ich wezwania i przybędzie im z pomocą.

Kiedy nadawał, pod drzwiami gromadziły się tłumy ludzi przyglądających się z nadzieją. Czekali tam przez całą noc, kiedy Beitz przejął jego funkcję, a potem cały dzień, i następny i następny. Byli zupełnie milczący, ale nadzieja w ich twarzach, powodowała, ze Kenniston czuł się chory. Kiedy minął kolejny dzień, i jeszcze jeden, czuł wręcz szyderstwo tych słów, które nieustannie powtarzał: „Tu wzywa Middletown!"

Wzywa, ale kogo? Umierającą Ziemię, pozbawioną ludzkiego życia, zimną i suchą kulę, która już dawno temu pozbyła się ludzkości? Pomimo tego, musiał wysyłać to dalej, krzyk człowieka zagubionego pośród wieków i szukającego swojego gatunku, krzyk, którego na Ziemi, jak czuł, nie mogły już usłyszeć żadne uszy. „Tu wzywa Middletown… wzywa…".

Rozdział 9: Z wielkiej ciszy

Żadnej odpowiedzi.

Mijały tygodnie, podczas gdy Kenniston i Beitz nadawali i nadawali, a z ciszy umierającej Ziemi nie dochodziła żadna odpowiedź. Co godzinę powtarzali słowa, które stały się już dla nich zupełnie pozbawione sensu. A pomiędzy wezwaniami, manipulowali nerwowo dziwnymi odbiornikami, których nie potrafili dostroić. Nie było zupełnie żadnego efektu.

Kenniston zaczął obawiać się chwil, kiedy musiał wychodzić z budynku i przeciskać się przez mały tłumek, ciągle pełnych nadziei mieszkańców Middletown, którzy zawsze zbierali się na zewnątrz.

– Nie, jeszcze nic – musiał mówić, przez cały czas starając się wyglądać przekonywująco. – Ale być może już wkrótce…

– A być może nigdy – zrezygnowanym tonem powiedziała mu Carol, kiedy byli sami. – Gdyby ktokolwiek odebrał nasze wezwanie, to w ciągu tygodni, podczas których je nadajmy, już by do nas bez trudu dotarł z dowolnego punktu na Ziemi.

– Mogą po prostu nie mieć samolotów – zauważył.

– Jeśli dysponują złożonymi odbiornikami radiowymi, pozwalającymi odebrać nasze wezwania, to chyba powinni mieć również samoloty?

Jej logika była niepodważalna. Przez moment Kennistona zatkało. Potem poprosił:

– Proszę cię, nie rozmawiaj o tym z nikim innym, Carol. Wszyscy ci ludzie… wydaje mi się, że tylko nadzieja odnalezienia innych ludzi, pozwala im dalej normalnie funkcjonować. Dzięki temu nie czują się tacy zagubieni. – Ciężko westchnął. – Ciągle wywołujemy. To wszystko co możemy zrobić. A może McLain i Crisci znajdą kogoś w okolicy. Wkrótce powinni wrócić do miasta.

McLainowi udało się w końcu zorganizować swoją ekspedycję samochodową, aby zbadać otaczające ich tereny. Przygotowania do niej zajęły całe tygodnie, przede wszystkim rozstawienie ciężarówek cystern z Middletown, w uważnie dobranych punktach, pokrywających planowane trasy jakimi miała podążać ekspedycja. Miały one służyć za podręczne składy paliwa. Dwa tygodnie temu mała karawana jeepów i półciężarówek wyruszyła w drogę, i teraz właśnie zbliżał się termin jej powrotu.

A w czasie, kiedy ekspedycja przeszukiwała zakurzone pustkowia, kiedy Kenniston i Beitz raz za razem wygłaszali swoje, pozostające bez odpowiedzi, wezwania, w Nowym Middletown praca, życie i śmierć toczyły się dalej.

Przy współudziale Hubble'a opracowano harmonogram niezbędnych prac. Przygotowane zostały zbiorniki hydroponiczne. Całe miasto musiało zostać oczyszczone, z naniesionego przez wiatry pyłu. Zapasy przywiezione ze starego Middletown musiały zostać zinwentaryzowane.

Rada złożona z wybranych urzędników, przydzielała ludziom pracę do wykonania. Każdy człowiek miał swoje zadanie, swój rozkład godzin pracy, oraz wypłacaną w kuponach reglamentacyjnych pensję. Uruchomiono ponownie szkoły. Ponownie działały sądy i w mieście panowało prawo, chociaż wszyscy, poza ciężkimi przestępcami, zostali zwolnieni warunkowo.

Każdego dnia rodziły się w Nowym Middletown dzieci. Liczba zgonów początkowo była bardzo wysoka, większość ofiar stanowili starsi ludzie, którzy nie byli w stanie wytrzymać

szoku odcięcia od korzeni. Poza kopułą pieczołowicie ogrodzono spłacheć ziemi, który służył jako cmentarz.

Ale pod tą całą krzątaniną i gorączkową aktywnością, kryło się miasto oczekiwania. Miasto ze straszliwą żarliwością czekające na najmniejszą choćby odpowiedź, na wezwania wysyłane co godzinę, w tę milczącą ciszę.

Kenniston czuł coraz większą bezradność. Nie był w stanie nawet do końca zrozumieć budowy nadajników, których używał. W ciągu minionych tygodni jeden z nich rozebrał na części, ale nie zdołał przeniknąć tajemnicy działania obwodów wykorzystanych do jego budowy. Jednego był pewien, że używane przez nadajnik częstotliwości fal radiowych, wykraczały dalece poza spektrum elektromagnetyczne znane nauce dwudziestego wieku. Części z których został on skonstruowany były jednak zupełną niewiadomą. Opisy nadrukowane na aparacie nie były w stanie mu pomóc. Były sporządzone w tym samym zupełnie nieznanym języku, co reszta znajdujących się w mieście inskrypcji. Mógł jedynie ciągle wysyłać dalej w nieznane, tę pełną nadziei, ale wątpliwej wartości, wiadomość:

– Tu wzywa Middletown!

W końcu wyprawa eksploracyjna McLaina wróciła. Carol przybiegła z tą wiadomością do Kennistona. Razem poszli do portalu, przy którym zebrały się już tysiące oczekujących z niepokojem mieszkańców Middletown.

– Nie było im łatwo – powiedział Kenniston, kiedy jeepy i półciężarówki przetoczyły się przez portal i zaczęły się zatrzymywać. McLain, Crisci i pozostali byli nieogoleni, pokryci kurzem i wyglądali na kompletnie wyczerpanych. Niektórzy siedzieli w swoich fotelach całkiem obwiśli ze zmęczenia.

W odpowiedzi na natarczywe pytania, zahuczał głos McLaina.

– Opowiemy wam o wszystkim później! Teraz jesteśmy kompletnie porozbijani.

Przerwał mu zmęczony głos Crisciego.

– Dlaczego nie powiedzieć im tego teraz? I tak będą musieli się wszystkiego dowiedzieć. – Stanął przed zdziwionym tłumem i powiedział: – Znaleźliśmy miasto, dwieście mil na zachód stąd. Miasto pokryte kopułą, tak samo jak Nowe Middletown, i niemal tej samej wielkości.

Bertram Garris zadał pytanie, które tkwiło w umyśle każdego z obecnych.

– No i? W tamtym mieście byli ludzie?

Crisci odpowiedział delikatnie.

– Nie. Nie było tam zupełnie nikogo. Ani żywej duszy. Było zupełnie wymarłe, i to wymarłe od długiego czasu.

McLain dodał:

– Tak, to prawda. Niegdzie nie widzieliśmy nawet śladu życia, poza kilkoma niewielkimi zwierzętami na równinach.

Carol zwróciła pobladłą twarz w kierunku Kennistona.

– A więc nie ma nikogo innego? Jesteśmy ostatnimi ludźmi?

Na tłum opadła niezdrowa cisza. Ludzie spoglądali na siebie nawzajem w kompletnym odrętwieniu. I wtedy Bertram Garris okazał nieoczekiwanie zdolności przywódcze, o które nikt go wcześniej nie podejrzewał. Stanął na jednej z półciężarówek i powiedział wesoło:

– No cóż, ludzie, nie ma sensu aby te wieści nas kompletnie zdołowały! Grupa McLaina pokonała jedynie kilkaset mil, a Ziemia to całkiem spore miejsce. Pamiętajcie, że wezwania radiowe pana Kennistona wysyłane są co godzinę. – Zarechotał z wylewną serdecznością. – Ciężko pracowaliśmy i teraz potrzebujemy nieco rozrywki. A więc dzisiaj wieczorem urządzimy sobie wielkie spotkanie na placu. Miejskie przyjęcie! Powiedzcie wszystkim, żeby koniecznie przyszli!

Tłum mieszkańców Middletown nieco poweselał. A kiedy odchodzili, Kenniston widział, ze większość z nich, ponownie wyglądała na uspokojonych. Powiedział Garrisowi:

– To był dobry pomysł, żeby zająć ich czymś innym.

Burmistrz wyglądał na zadowolonego.

– Pewnie. Są po prostu tylko trochę za bardzo niecierpliwi. Nie rozumieją tego, że odpowiedź na nasze wezwania, może zająć innym ludziom nieco czasu.

Kenniston zrozumiał, że ufność Garrisa nie jest tylko pozą. Wbrew druzgocącym nowym rewelacjom, burmistrz ciągle wierzył, że gdzieś na świecie przetrwali jeszcze jacyś inni ludzie.

Ale Hubble po usłyszeniu nowin miał bardzo ponurą minę.

– Kolejne wymarłe miasto? To rozwiewa wszystkie wątpliwości jakie miałem. Ziemia musi być bezludna i pozbawiona życia.

– Czy mam dalej wysyłać wezwania radiowe?

Hubble zawahał się lekko.

– Tak, Ken, przynajmniej na razie. Nie chcemy popsuć tego ich dzisiejszego wieczornego przyjęcia.

Miejskie przyjęcie na placu, tej nocy miało się odbywać, co było niezwykłym luksusem, przy oświetleniu elektrycznym. Lampy zasilane były z przenośnego generatora. Na podeście grała orkiestra swingowa, a sznurami wydzielono wielką przestrzeń do tańca. Ponieważ Beitz oferował się, że zostanie w pracy, więc Kenniston razem z Carol, przeciskali się przez tłum zebrany na placu. Niemal wszyscy go teraz znali i witali się z nim, ale zauważył znaczącą różnicę w ich pozdrowieniach. Teraz już nikt się nie dopytywał, czy jest jakaś odpowiedź na jego wezwania.

– Powoli się poddają i rezygnują ze swoich nadziei – powiedział do Carol. – Obawiają się, że na planecie nie ma już żadnych innych ludzi i nie chcą o tym myśleć.

Przyjęcie szło całkiem nieźle, aż do chwili kiedy burmistrz Garris popełnił poważny błąd. Przez cały wieczór chodził wesoły wśród tłumu, przyjacielsko poklepując wszystkich po plecach, podziwiając dzieci, wymieniając poufałe pozdrowienia, w oczywisty sposób ciesząc się z tego nawrotu do tradycyjnej sztuki prowadzenia polityki. Zarumieniony i szczęśliwy wszedł na podium dla orkiestry i przemówił przez głośnik do zebranych ludzi.

– Chodźcie ludzie, pośpiewajmy sobie trochę razem. Poprowadzę was moim sławnym tenorem. Co powiecie na „Let Me Call You Sweetheart"?

Wszyscy śmiali się głośno i kiedy orkiestra rozpoczęła melodię a pulchny burmistrz zaczął wesoło wymachiwać rękoma jak dyrygent, ochoczo zaśpiewali. Stare piosenki, których Ziemia nie słyszała od milionów lat, odbijały się echem od wysokich białych budynków i wielkiej migoczącej kopuły, wiszącej nad ich głowami.

Ale kiedy już śpiewali, kiedy śpiewali „Banks of the Wabash" i „Old Kentucky Home", z głosów i twarzy zaczęła znikać wesołość. Kenniston zobaczył, jak na obliczach tysięcy zebranych na placu ludzi, pojawia się dręcząca tęsknota, a w oczach Carol wilgotna mgiełka.

Fala głosów nieco opadła. Śpiewający zaczęli się wahać. I wtedy, jedna ze stojących w tłumie kobiet upadła na ziemię z histerycznym płaczem.

Śpiew i muzyka ucichły, i nic już nie zagłuszało udręczonych szlochów kobiety, którą na próżno usiłował pocieszyć jakiś mężczyzna. Kenniston słyszał jak wykrzykuje:

– To wszystko już na zawsze odeszło, nasz cały świat i mieszkający na nim ludzie! Jesteśmy tylko my, zupełnie samotni na tej wymarłej planecie!

– Ludzie, nie upadajmy na duchu! – prosił burmistrz, ale było już na to za późno. Czar prysł nieodwracalnie. Mieszkańcy Middletown zostali w końcu skonfrontowani ze straszliwym widmem swojej samotności.

Przyjęcie było skończone. Tłum rozchodził się w milczeniu, nikt z nikim nie zamienił nawet słowa. Wszyscy ludzie w ciszy wracali do swoich domów, zatopieni w myślach. Kenniston próbował znaleźć jakieś słowa pocieszenia dla Carol, kiedy ją zostawiał przed domem, ale nie był w stanie niczego wymyślić. Dla nikogo nie było żadnej pociechy, nie w

tej sytuacji. Wszyscy musieli stawić czoła, tej dręczącej pewności, że są ostatnimi ludźmi na Ziemi.

Szedł powoli z powrotem, poprzez milczące opustoszałe ulice, aby zmienić Beitza. Księżyc już wzeszedł, i nad pustym placem jego miedziane światło przebijało poprzez wielką kopułę. Wtedy nagle stanął i odwrócił się, ponieważ usłyszał męski głos i dźwięk ścigających go biegnących kroków.

– Hej! Hej, Panie Kenniston!

Rozpoznał Buda Martina, który w starym Middletown miał warsztat samochodowy. Szczupła, młoda twarz Buda, była w najwyższym stopniu rozemocjonowana, a słowa wypadały mu z ust tak szybko, że wydawały się być niemal zupełnie niespójne.

– Panie Kenniston, wydaje mi się, że właśnie zobaczyłem lecący nad kopułą samolot, tam wysoko w górze! Tyle że to bardziej wygląda jak wielki okręt podwodny, niż jak samolot! Ale widziałem go z całą pewnością! Wiem, że widziałem!

Kenniston pomyślał, że w zasadzie można było się tego spodziewać. Należy oczekiwać, że w swojej reakcji na to potężne rozczarowanie, wielu mieszkańców Middletown może teraz „widzieć” innych ludzi, którzy byli wyczekiwani tak długo i żarliwie.

Powiedział uspokajająco:

– Niczego nie słyszałem, Bud.

– Ja również nie słyszałem. Leciał cicho i szybko, wysoko nad nami. Złapałem go tylko kątem oka.

Kenniston razem z nim popatrzył w górę. Wpatrywali się tak przez kilka chwil, ale rozświetlone światłem księżyca niebo było zimne i puste. Opuścił w końcu wzrok.

– To musiał być jakiś cień chmury, Bud. Nie widać tam zupełnie niczego.

Martin głośno zaklął, a potem gwałtownie powiedział:

– Niech pan posłucha, panie Kenniston. Nie jestem histeryczną babą. Z całą pewnością coś widziałem.

To spowodowało u Kennistona chwilę refleksji. Na moment, jego serce ożywiło się. Czy to było możliwe…? Ponownie zaczął wpatrywać się w niebo, tym razem przez długie minuty. Nadal pozostawało puste, ale drgnięcie ekscytacji w jego sercu nadal trwało.

Powiedział gwałtownie:

– Dobrze, chodźmy do Hubble’a. Proszę jednak nie mówić o tym nikomu innemu. Wzbudzenie fałszywych nadziei, mogłoby mieć teraz fatalne skutki.

Hubble siedział razem z McLainem i Criscim w oświetlonym świecami pokoju, słuchając ich relacji z wyprawy do znalezionego przez nich drugiego wymarłego miasta. Usłyszał gorącą opowieść Buda Martina, a potem popatrzył na Kennistona.

– Nie wiedziałem niczego – stwierdził Kenniston. – Ale przez kopułę trudno w ogóle cokolwiek zobaczyć, chyba żeby coś było wprost nad głową.

Hubble podniósł się z krzesła.

– Być może będziemy mieli lepszy widok z zewnątrz. Weźcie swoje kurtki i idziemy.

Cała piątka, grubo opatulona, poszła przez milczącymi ulicami do portalu, a potem wyszła przez niego na mroźną noc na zewnątrz kopuły. Odeszli ze sto jardów od portalu, idąc wzdłuż pokrytej nawiewanym piachem drogi, a następnie stanęli i zaczęli badać wzrokiem niebo. Zimno było przerażająco intensywne. Olbrzymi Księżyc świecił ostrym, oślepiającym miedzianym blaskiem, który jasno obmywał wynurzającą się z piasków kopułę Nowego Middletown.

Kenniston zamiótł wzrokiem jasne łańcuchy gwiazd. Stare gwiazdozbiory zostały bardzo mocno zmienione przez upływające wieki, ale kilka z nich ciągle mgliście potrafił rozpoznać. Czas poważnie zniekształcił wskazującą północ Małą Niedźwiedzicę, powykrzywiał i pomieszał układ gwiazd tworzący Lirę. Pojedyncze gwiazdy nadal płonęły z trudnym do

pomylenia splendorem, błękitno-biały jaskrawy znacznik Wegi, ciemna, przydymiona czerwona wspaniałość Antaresa, bijące w oczy złoto Altaira.

– Ludzie teraz będą widzieli całe mnóstwo najróżniejszych rzeczy – sceptycznie powiedział McLain. – Moglibyśmy również…

– Posłuchaj tylko – ostro rzucił Hubble, trzymając rękę w górze.

Początkowo Kenniston słyszał jedynie szum mroźnego wiatru. Chwilę później, wychwycił jednak słabiutki dudniący dźwięk, który stopniowo wzmagał się, opadał, a potem ponownie wzmagał.

– To dochodzi od północy – nagle powiedział Crisci. – I zakosami wraca w naszym kierunku.

Cała piątka nagle zesztywniała, wpatrując się z napięciem w gwiaździste niebo i starając się utrzymać w ryzach swoje emocje, zbyt silne aby wyrazić je w spokojnej rozmowie. Dudnienie stało się bardziej wyraźne.

– To nie jest silnik samolotu! – zawołał McLain.

Zdecydowanie nie był, Kenniston zdawał sobie sprawę. Nie był to dźwięk ani warczącego staccato silników tłokowych, ani wycia odrzutowca, lecz głęboki buczący bas, który wydawał się wypełniać całe niebo. Uświadomił sobie, że serce wali mu jak oszalałe.

Crisci krzyknął i wyrzucił w górę rękę. Niemal natychmiast zobaczyli wskazywany cel, wydłużony czarny olbrzymi obiekt, gwałtownie odcinający się na tle gwiazd.

Bud Martin wrzasnął:

– Uwaga idzie w dół, prosto na nas!

W mgnieniu oka obiekt w górze, stał się gigantyczną ciemną masą pędzącą w dół, prosto na nich, wyłaniającą się z nieba jak chmura burzowa. Pobiegli z powrotem do portalu, ślizgając się na luźno leżącym piasku.

– Patrzcie – krzyczał Cristi. – Patrzcie na to!

Dobiegali do portalu i odwracali się. Kenniston zorientował się że olbrzymia prędkość opadania czarnego gościa, była tylko złudzeniem spowodowanym przez jego wielkość. Bowiem w czasie kiedy biegli, obiekt, czymkolwiek by on nie był, bucząc jak milion pszczół, siadał powoli na równym terenie, o pół mili od Nowego Middletown. Piach szaleńczo wzbijał się w górę, ukrywając chwilowo wielkość gigantycznego pojazdu, ale potem rozwiał się na wszystkie strony, odsłaniając go spoczywającego na równinie.

Kenniston natychmiast zauważył, że był to statek. Opis Buda Martina był całkiem dokładny. Obiekt wyglądał jak gigantyczna pozbawiona kiosku łódź podwodna, która spadła z nieba i wylądowała na pobliskiej równinie.

Głęboki buczący bas z wolna ucichł. Pojazd leżał tam w świetle księżyca, wielki, ciemny, milczący. Wpatrywali się w niego, nie mogąc oderwać wzroku.

– Czy to statek z innej planety? – wyszeptał Kenniston. – Statek kosmiczny?

– Tak, nie ma chyba innej możliwości. Ale nie było widać odrzutu rakiet. Musi używać napędu jakiegoś innego rodzaju.

– Dlaczego teraz, kiedy już wylądowali, nie wychodzą na zewnątrz?

– Dla czego w ogóle tutaj przylecieli? I kto to, u licha jest?

Olbrzymia zagadka na zewnątrz, dumała w milczeniu bez żadnych zmian. Potem Kenniston usłyszał nawoływanie głosów, rosnący zgiełk w znajdującym się za nimi mieście. Inni również zobaczyli lądowanie i roznieśli wieści. Gwar głosów i tupot nóg stawał się coraz głośniejszy. W kierunku portalu zaczynał napływać strumień tysięcy szalenie podekscytowanych mieszkańców Nowego Middletown.

W ich kierunku biegła puszysta postać burmistrza Garrisa.

– Czy naprawdę przylecieli? Czy przylecieli inni ludzie?

Głos Hubble’a warknął rozkazująco:

– Proszę odsunąć ludzi do tyłu! Jeszcze nie powinni wychodzić na zewnątrz. Coś przyleciało, ale nie wiemy co to jest. Dopóki się nie dowiemy, musimy być bardzo ostrożni!

Przez głowę Kennistona błyskawicznie przeleciało wspomnienie wielkiej sali obrad, którą znalazł Jennings, zawierającej specjalny sektor dziwnych siedzeń, z których nie mógłby korzystać żaden normalnie zbudowany człowiek. Poczuł jak wzdłuż nerwów wędruje mu uczucie chłodu. Jakiego rodzaju istoty mogły znajdować się w tym spoczywającym na zewnątrz monstrualnym obiekcie?

Głos Garrisa zabrzmiał jakby lekko przerażony:

– Dlaczego… dlaczego… Nigdy bym nie pomyślał, że jeśli przybędą tu ludzie, to mogą okazać się wrogami.

Zaczął krzyczeć do policjantów i żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy zdążyli już znaleźć się w pobliżu:

– Odsunąć stąd tych ludzi! I przygotować broń!

Wkrótce zmuszono tłum do odsunięcia się z powrotem, do przyległych ulic. A znaczna liczba uzbrojonych policjantów i żołnierzy, czekała razem z Hubblem, Kennistonem i pozostałymi, zaraz za portalem. Burmistrz, szczękając z zimna zębami, powiedział:

– Czy nie powinniśmy do nich wyjść, tam na zewnątrz?

Hubble pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie wolno nam niczego zakładać. Będziemy czekać.

Czekali więc, trzęsąc się na zimnym wietrze, a podczas tego niekończącego się oczekiwania, w umyśle Kennistona szalała burza setek pytań. Ten wielki statek z kosmosu, skąd mógł przylecieć na tę umierającą Ziemię? Z sąsiednich planet? Skądś dalej, z gwiazd? Dlaczego przylecieli? I co teraz działo się tam w środku? Czyje oczy ich obserwowały?

Czekali. Całe nowe Middletown czekało i obserwowało, jak Księżyc dostojnie wędruje sobie przez zenit, obracają się gwiazdy i pogłębia się zimno. Nic się nie działo. Monstrualny metalowy pojazd leżał ciemny i milczący.

W końcu, gwiazdy zaczęły blednąć. Po wschodnim niebie zaczęło wspinać się ponure szare światło. Kennistonowi, zacierającemu na wpół odmrożone dłonie, potężny statek na równinie zaczął wydawać się czymś nierealnym i pochodzącym ze snu.

McLain zaklął głośno.

– Jeżeli oni w końcu nie pofatygują się do nas, to równie dobrze możemy wyjść na zewnątrz i pójść do nich.

– Czekaj – powiedział Hubble.

– Ale czekamy już tak od ładnych paru godzin i…

– Czekaj – powtórzył Hubble. – Właśnie do nas idą.

Kenniston również to zobaczył. Nisko, na burcie odległego, sterczącego nad ziemią kadłuba, pojawił się ciemny właz. Wyłoniły się z niego jakieś postaci, mgliście i niewyraźnie widoczne w świetle poranka. Powoli ruszyły w kierunku Nowego Middletown.

Rozdział 10: Z gwiazd

Kenniston obserwował ich jak podchodzą, cztery niewyraźne postaci, powoli zmierzające poprzez świt w stronę Nowego Middletown. Jego serce waliło jak oszalałe, a w ustach kompletnie zaschło z napięcia i jakiejś osobliwej obawy.

Być może spowodował to sposób w jaki tutaj przybyli, ich dziwne wyczekiwanie, tajemniczy ogrom tego nieznanego statku, i ta długa, ostrożna cisza. Zrozumiał, że oni również musieli mieć mnóstwo wątpliwości.

Sylwetki trzech pierwszych zbliżających się postaci, stopniowo stawały się coraz wyraźniejsze, i coraz bardziej podobne do ludzi ubranych w grube spodnie i kurtki, chroniące przed ostrym zimnem. Czwarty członek grupy jakby wlókł się z trudem, w pewnej odległości za nimi, i nadal był tylko krępym kształtem, skrywanym w kłębach niesionego wiatrem kurzu.

Burmistrz Garris powiedział ze zdumieniem:

– Oni wyglądają niemal tak jak my. Wydaje się, że pomimo wszystko, ludzie nie zmienili się tak bardzo w ciągu miliarda lat.

Kenniston kiwnął głową. Z jakiegoś jednak powodu supeł skręcający jego żołądek nie chciał się rozwiązać. W tym niewiarygodnym spotkaniu dwu epok było coś przemożnego i przytłaczającego.

Popatrzył na pozostałych. Na wszystkich twarzach widoczne było napięcie i nerwowość. Panujące wokół uczucie podniecenia, przeradzało się niemal w histerię. Opieszała krępa postać z tyłu, nadal pozostawała zamglona, ale Kenniston widział już wyraźnie, że wśród znajdującej się z przodu trójki, było tylko dwóch mężczyzn. Trzecim przybyszem była błękitnooka kobieta, wysoka i smukła, o włosach koloru bladego złota, ciasno upiętych wokół głowy. Jej widok uderzył Kennistona. Widział już w życiu wiele piękniejszych kobiet, ale rzadko można spotkać taką, która nosiłaby się z podobną gracją i godnością, i która spoglądałaby na świat takim bezpośrednim i inteligentnym spojrzeniem. Niemal natychmiast poczuł się dziwnie urażony, jedynie z tego powodu, że jej widok uświadomił mu boleśnie, jakimi szerokimi horyzontami wiedzy i doświadczenia dysponowała, dalece przekraczającymi jego obecne możliwości. A jednak jej usta były przyjazne, usta wyrażające siłę, ale gotowe do uśmiechu.

Młodszy z dwu mężczyzn był barczysty, kanciasty i mocno zbudowany, miał brązowe włosy i jedną z tych szczerych, jowialnych twarzy, które wyglądały jakby były wyciosane z kamienia. Podobnie jak kobieta, wydawał się zachowywać czujną i ostrożną rezerwę.

Drugi z mężczyzn był szczuplutki, chaotyczny i bardzo ludzki. Nie miał w sobie nic z chłodnej rezerwy swoich towarzyszy. Był wyraźnie podekscytowany, i nie wahał się tego okazywać, rzucając ciekawskie spojrzenia na mieszkańców Middletown. Kenniston natychmiast poczuł w stosunku do niego cieplejsze uczucia.

Kiedy kobieta i dwóch mężczyzn zatrzymali się przed nimi, na pewien czas zapanowała niepewna cisza. Przybysze przypatrywali się mieszkańcom Middletown, a mieszkańcy Middletown przypatrywali się im. Potem kobieta powiedziała coś do swoich towarzyszy, w pośpiesznym, nieznanym języku. Młodszy mężczyzna w milczeniu kiwnął przytakująco głową, a szczupły i pełen entuzjazmu człowiek odpowiedział potokiem słów.

Burmistrz Garris niepewnie wystąpił naprzód, jakby ucieleśnienie mieszaniny pompatyczności i skromności.

– Ja… – powiedział i zaciął się. Wypowiedziane słówko uleciało gdzieś, uniesione przez wiatr, i nie mógł znaleźć w głowie niczego, co mogłoby je zastąpić. Kobieta o blond włosach, spoglądała na niego jasnym spojrzeniem, skupiona i lekko rozbawiona.

Szczupły człowieczek zrobił kilka kroków w ich kierunku. Bardzo uważnie formułując słowa, powiedział:

– Tu wzywa Middletown. – I ponownie: – Wzywa Middletown.

Kenniston niemal podskoczył, z powodu olbrzymiego zdumienia. Przez chwilę ulga i zrozumienie, niemal go powaliły na kolana, a w uszach ponownie zadźwięczał mu jego własny zmęczony głos, powtarzający w kółko te trzy pozbawione nadziei, błagalne słowa, wysyłane w ciszę, która ani nie słuchała, ani nie odpowiadała.

A jednak słuchała. I skądś odpowiedziała. *Skąd? Z innej planety, innej gwiazdy? Z pewnością znikąd na Ziemi. Ten wielki statek, byłby grubą przesadą, żeby odbyć tak prostą i krótką podróż.*

Nagle usłyszał, jak burmistrz Garris wydaje z siebie jakieś dziwne piśnięcie, zduszony krzyk. Ciasno stojącą grupę ludzi obiegła fala szoku, słyszalna w głębokim oddechu niemal wszystkich zebranych mężczyzn. Błąkające się myśli Kennistona, wróciły do punktu wyjścia.

Czwarty członek grupy właśnie podszedł i dołączył pozostałej trójki przybyszy. I sam Kenniston poczuł przerażenie, kiedy go zobaczył.

Czwarty z przybyszów nie był człowiekiem. Humanoidem, tak, ale nie człowiekiem.

Był wysoki, miał niesamowicie silne i masywne ciało, którego grube ramiona kończyły się czymś w rodzaju ciężkich łap. Ubrany był niemal wyłącznie w swoje własne, gęste i kudłate futro, uzupełnione jedynie przez niewielkie części garderoby, podobne do uprzęży. Głowę miał spłaszczoną, z wystającym do przodu jak u zwierzęcia pyskiem, i okrągłymi, zakończonymi czubkami, czujnymi uszami. Oczy… Te oczy były chyba czymś najbardziej szokującym w całym jego wyglądzie. Pochwyciły wzrok Kennistona, wielkie, ciemne i pełne błyskotliwej, świdrującej inteligencji. Oczy dobroduszne, ciekawskie, uśmiechnięte…

Burmistrz cofnął się krok w tył. Jego twarz była zupełnie biała. Piskliwie wyskrzeczał:

– Przecież, to nie jest człowiek!

Futrzak wyglądał na zaintrygowanego tym jego wybuchem. rzucił spojrzenie kobiecie i obu mężczyznom. Wszyscy przyglądali się Garrisowi, marszcząc brwi, jak gdyby nie będąc w stanie zrozumieć jego strachu.

Istota zrobiła krok lub dwa w kierunku Garrisa, rozpościerając swoje podobne do łap ręce. Powiedziała kilka słów wolnym, huczącym głosem i uśmiechnęła się, pokazując rząd olbrzymich zębów, błyszczących w świetle poranka jak ostre szabliska.

Garris wrzasnął rozpaczliwie. Kenniston zauważył panikę na twarzach innych ludzi, zobaczył unoszącą się w górę broń.

– Zaczekajcie! – krzyknął i rzucił się do przodu, odpychając burmistrza na bok. – Na miłość Boską, zaczekajcie, wy głupcy!

Stanął naprzeciw nich, w takiej pozycji, że jego ciało osłaniało obcego. Sam również żywił mieszane uczucia, w stosunku do tego stworzenia, które było z jednej strony podobne do zwierzęcia, a z drugiej do człowieka. Ale futrzak tak na niego popatrzył i uśmiechnął się, że…

– Nie strzelać – krzyknął. – To jest istota inteligentna, to jeden z nich!

– Niech pan się odsunie, Kenniston! – krzyknął burmistrz, piskliwym głosem, przepełnionym paniką. – Bydlę wygląda na niebezpieczne!

Broń, naprzeciw której stał, nagle została skierowana w bok, z dala od niego. Odwrócił się i zobaczył że czwórka przybyszy odsunęła się kilka kroków na bok. I nagle, cała zabawa się skończyła. Kobieta szybkim gestem podniosła rękę w górę. Od strony stojącego na równinie statku, wystrzelił błysk białego światła. Uderzył jak wąż wszystkich mieszkańców Middletown, zebranych przy portalu. Uderzył i błyskawicznie zniknął.

Kenniston również znajdował się na jego drodze. Każdym nerwem swojego ciała poczuł obezwładniający szok. Był to trwający tylko ułamek sekundy ból, a potem odrętwiały paraliż spowodowany porażeniem elektrycznym. Zobaczył, że Garris, Hubble i inni również zataczają się, z białymi i wstrząśniętymi twarzami. Broń wypadła z pozbawionych czucia palców ludzi.

Wtedy futrzak przyczłapał do Kennistona. Ponownie jego oczy się uśmiechały. Wydał kilka uspokajających, huczących dźwięków, i jego wielkie podobne do łap ręce nacisnęły kark Kennistona z doskonałą znajomością rzeczy. Paraliż jego nerwów zaczął z wolna ustępować.

Brązowowłosy młody człowiek zrobił kilka kroków do przodu i podniósł jeden z leżących pistoletów. Kiedy mu się przyglądał, w jego oczach pojawiło się zdziwienie i niedowierzanie. Powiedział coś do innych ostrym głosem. Wszyscy oglądali broń kilka razy. Potem zaintrygowani i zaskoczeni przypatrywali się Kennistonowi i innym mieszkańcom Middletown, którzy zdawali się wracać do normalnego stanu.

– Oni mają promienie śmierci lub cos podobnego! – wydyszał Bertram Garris. – Mogą nas tu wszystkich pozabijać!

Hubble przerwał mu gwałtownie:

– Niech pan się lepiej zamknie! Robi pan z siebie dupę wołową. Ta broń, to były tylko niegroźne dla życia środki obrony, a pan sam zmusił ich do jej użycia.

Kobieta zawołała z podnieceniem do futrzaka:

– Gorr Holl!

Zapewne to było jego imię i nazwisko. Gorr Holl dołączył do pozostałej trójki. On również, kiedy zobaczył broń, zaczął wydawać z siebie odgłosy zdziwienia.

Kenniston rozmawiał z Hubblem, ignorując Garrisa i oszołomionych policjantów.

– Wydaje mi się, że właśnie zaczęli się domyślać, skąd się tu wzięliśmy.

Podniecenie czwórki przybyszów, było ewidentne. Kenniston zauważył, że to właśnie kobieta otrząsnęła się z niego jako pierwsza. Szybko coś powiedziała do mrugającego z podekscytowaniem oczyma, szczupłego człowieka, tego który tak udanie powtarzał „Tu wzywa Middletown!”. Ponieważ zwracając się do niego, kilkukrotnie użyła tych samych słów, Kenniston wywnioskował, że mężczyzna nazywa się Piers Eglin. To właśnie Piers Eglin wyglądał na najbardziej zszokowanego z całej czwórki. Jak również na najbardziej ucieszonego całą tą sytuacją.

Podszedł z powrotem do Kennistona. Niemal pożerał go tymi swoimi mrugającymi oczyma.

– Middletown – powiedział. A potem, po krótkiej chwili: – Przyjaciele.

Kenniston chwycił się tego.

– Przyjaciele? A więc mówisz po angielsku?

Słowo „angielsku” przyprawiło Piersa Elgina o nowy paroksyzm podniecenia. Zaczął coś terkotać do innych, ale kobieta szybko mu przerwała. Wrócił z powrotem do Kennistona.

– Język… angielski – niemal wydyszał. – Ty … mówisz … językiem … angielskim.

Kenniston po prostu kiwnął potakująco głową.

W mrugających oczach Piersa Elgina pojawił się cień obawy, kiedy zapytał:

– Kto… Nie! – Zaczął od początku. – Skąd… wy… przybyliście?

– Z przeszłości – odpowiedział Kenniston. Mówiąc to odczuł cały nierealny charakter tej sytuacji. – Z odległej przeszłości.

– Jak odległej?

Kenniston zdawał sobie sprawę, że system dat stosowany w dwudziestym wieku, mógł po tych wszystkich minionych epokach, niewiele znaczyć. Myślał przez chwilę nad odpowiedzią. Potem wyjaśnił:

– Z bardzo odległej przeszłości. W naszych czasach po raz pierwszy uwolniono energię atomową.

– Z tak odległej? – z oszołomieniem wyszeptał Piers Eglin. – Ale jak? *Jak*?

Kenniston tylko bezradnie wzruszył ramionami.

– Nad naszym miastem miała miejsce eksplozja atomowa. Potem my i całe miasto znaleźliśmy się w tym wieku. To już wszystko.

Szczupły człowiek gorączkowo przetłumaczył jego słowa pozostałym przybyszom. Kobieta okazała głębokie zainteresowanie. Ale to Gorr Holl, futrzak, poczynił swoim huczącym głosem najdłuższy komentarz.

Piers Eglin odwrócił się z powrotem w stronę Kennistona, ale Kenniston uprzedził jego kolejne entuzjastyczne pytania, swoim własnym:

– A skąd *wy* przylecieliście?

Szczupły człowiek wskazał ręka w górę, na rozjaśnione wschodem słońca niebo.

– Z… – wyglądało na to, że próbuje przypomnieć sobie antyczna nazwę. Potem dodał: – … z Wegi.

Tym razem to na Kennistona przyszła kolej na zawahanie.

– Ale jesteście Ziemianami! – Wskazał na futrzaną postać Gorra Holla. – A co z nim?

Ponownie Piers Eglin zdawał się przeszukiwać swoją pamięć, szukając odpowiedniej nazwy. W końcu powiedział:

– Capella. Gorr Holl pochodzi z Capelli.

Zapanowała cisza, podczas której czwórka przybyszów spoglądała na mieszkańców Middletown. Umysł Kennistona przypominał w tej chwili, chaotyczny wir, z którego wynikała tylko jedna oczywista rzecz. Znajdujące się w pokrytym kopułą mieście urządzenia radiowo-telewizyjne, rzeczywiście dalece przekraczały jego zdolności pojmowania. Ten system radiowy, stworzony został do działania w odległościach *międzygwiezdnych*. To właśnie tam skierowane zostały ich wezwania, i stamtąd również przyszła odpowiedź… z Wegi, z Capelli, z gwiazd.

– Ale przecież mówisz naszym dawnym językiem! – krzyknął z niedowierzaniem do Eglina.

Piers Eglin wyjaśnił, co chwila się zacinając:

– Jestem… historykiem, specjalizującym się w przed-atomowej cywilizacji ziemskiej. Nauczyłem się waszego języka ze starych zapisów. Właśnie dlatego poprosiłem o to bym mógł towarzyszyć tej wyprawie na Ziemię.

Kobieta przerwała mu. Zatrzęsła się nieco i powiedziała coś swoim cichym, szybkim głosem. Piers Eglin przetłumaczył jej słowa:

– Nazywa się Varn Allan. Jest administratorem tego… tego sektora. To… – wskazując przy tym ręką na młodszego człowieka o brązowych włosach, – …jest Norden Lund, młodszy administrator. – Przypomnienie sobie odpowiednich słów, przychodziło mu z dużym trudem, a jeszcze trudniej ich właściwa wymowa. Dodał jeszcze: – Varn Allan pytała, czy my… my możemy rozmawiać wewnątrz miasta, gdzie nie jest tak bardzo zimno.

Kenniston domyślał się, że grupą przybyszy dowodziła kobieta. Nie był tym specjalnie zaskoczony. Widoczna w jej twarzy i całej postawie siła woli oraz autorytet, były wręcz uderzające.

Burmistrz Garris, który sam również zdążył już na wpół zamarznąć, był wręcz szczęśliwy, mogąc zgodzić się na tę propozycję. Odwrócił się w kierunku portalu, za którym z najwyższym trudem udawało się utrzymać całą kilkudziesięciotysięczną ludność Middletown. Masa zebranych twarzy, widoczna była przez szkło kopuły, jako wielka, rozmazana biała plama.

– Zróbcie dla nas przejście! – rozkazał Garris, swoim najbardziej władczym tonem. Wskazał gestem na spoconych żołnierzy Gwardii Narodowej i policjantów, którzy z

najwyższym trudem utrzymywali kordon. – Oczyścić przejście, zaraz wchodzimy. – Podniósł głos, mówiąc do zebranych dookoła ludzi. – Cofnijcie się wszyscy, słyszycie? Wszystko w porządku, nareszcie przybyli do nas inni ludzie, a teraz chcą wejść i zobaczyć nasze miasto. A więc, pozwólcie im przejść, pozwólcie im przejść…!

Tłum z olbrzymią niechęcią, rozstąpił się nieco, tworząc wąskie przejście, które potem zostało poszerzone dzięki wysiłkom policjantów i gwardzistów. Kiedy prowadził za sobą ludzi z gwiazd, godność burmistrza nieco cierpiała z powodu strachu jaki ciągle czuł. Powodował on, że starał się pośpiesznie posuwać do przodu, jednocześnie rzucając za siebie nerwowe spojrzenia na potężną postać Gorra Holla. Przez cały jednak czas, jako przywódca, musiał swoim rodakom prezentować spokojny i jowialny wyraz twarzy, pokrzykując w ich kierunku, że nie ma się czego obawiać, że wszystko jest w porządku, i prosząc ich o to żeby się cofnęli i nie napierali na kordon.

Pierwszą osobą, która podążała za Garrisem i przeszła przez portal, była Varn Allan. Zawahała się jednak na chwilę, kiedy po raz pierwszy stanęła oko w oko z przepychającym się energicznie tłumem, który z tysięcy gardeł wydał z siebie dziki ryk radości, wstrząsający kopułą miasta. Idący za nią Norden Lund, skrzywił się i lekko pokręcił głową, tak jak zwykle reaguje się na złe maniery dzieci. Wtedy jednak Varn Allan uśmiechnęła się do ludzi i ruszyła dalej, podczas gdy brzegi tłumu zakołysały się i wygięły do wewnątrz, do wtóru klątw żołnierzy, a jakiś lekkoduch zagwizdał z podziwem na widok wysokiej, zgrabnej kobiety o złotych włosach. Wszyscy zaczęli wykrzykiwać w jej kierunku pytania, jednocześnie tysiącami głosów, i na wpół histeryczne pozdrowienia ludzi, którzy czekali tak długo, że stracili już całą nadzieję, a potem nagle zobaczyli jak ona się spełnia. Kenniston modlił się jedynie, aby nie wpadli na żadne głupie pomysły, takie jak poniesienie jej i Nordena Lunda na ramionach.

Wszedł do środka, tuż obok Gorra Holla. Ludzie jeszcze go do tej pory nie widzieli, poza niewyraźną ciemną postacią za ścianą z zakrzywionego szkła. Kiedy go zobaczyli, ich głosy w jednym momencie ucichły jak ucięte nożem, a po chwili podniosły się znowu w rosnącej nucie niedowierzania i niepokoju. Kobiety, które przepychały się i drapały paznokciami, aby dostać się do pierwszego rzędu, teraz próbowały przecisnąć się do tyłu, aby uciec z drogi niebezpieczeństwu, i brzegi tłumu ostro szarpnęły się na boki. Kenniston podszedł blisko do wielkiego, pokrytego futrem Capellanina, kładąc rękę na jednym z jego potężnych ramion, aby pokazać tłumowi, że nie ma czego się bać. A ludzie gapili się na to i gapili.

– Co to jest, do diabła? Zwierzak domowy?

– Spójrzcie, to ma na sobie ubranie! Nie mówcie mi tylko, że to jeden z nich!

– Weźcie to daleko ode mnie! Spójrzcie, to szczerzy zęby…

Kenniston usiłował wykrzykiwać jakieś wyjaśnienia. Grube, ciemne futro pod jego dłonią, było gorące i obce, a on sam obawiał się Gorra Holla niemal równie mocno jak pozostali zebrani. Wtedy nagle, prosto na ich drogę, z tłumu wyskoczyła mała dziewczynka. Jej oczy jaśniały z dziecięcą radością, podbiegła w kierunku olbrzymiej futrzanej postaci Gorra Holla.

– Miiisiooo! – radośnie wrzasnęła. – Miiisiooo! – I złapała jego nogę dookoła swoimi małymi rączkami.

Holl Gorr wydał z siebie huczący śmiech. Sięgnął w dół swoją wielką łapą i poklepał ją po głowie. Widząc to, inne dzieci ruszyły ze wszystkich stron, wyrywając się z rąk swoich pełnych obaw matek, i z entuzjazmem obległy wielkiego Capellanina, tak że jedynie z najwyższym trudem mógł posuwać się naprzód. Małą dziewczynkę, która przybiegła pierwsza, podniósł i posadził sobie na ramieniu, tak że jechała teraz na nim, trzymając się jego wielkich uszu. Widok ten sprawił że, niemożliwe było, aby ktokolwiek jeszcze mógł się go bać. Napięcie w tłumie opadło, wszyscy uśmiechali się do siebie nawzajem i cieszyli.

– To z pewnością musi być ich domowy zwierzak! Hej, jak wam się to wszystko podoba? Idzie na dwóch nogach, całkiem jak człowiek! Sprytna bestia, nieprawda? Można by niemal pomyśleć, że próbował coś powiedzieć!

Piers Eglin, który musiał zrozumieć przynajmniej część z tego wszystkiego, spojrzał tylko w bok na Gorra Holla, ale nie zaproponował mu tłumaczenia.

Tłum stał się płynną masą, przemieszczającą się stopniowo wzdłuż alei, podążając za obcymi. Pomoc, nadzieja i wspólnota w końcu przybyły do Nowego Middletown, i naprawdę wspaniale było widzieć tę ulgę i radość w twarzach ludzi. Kenniston obserwował jednak raczej twarze błękitnookiej kobiety i Nordena Lunda, widząc jak ich wyraz zmienia się od niedowierzania do zaskoczonej akceptacji.

Piers Eglin wręcz wychodził sam z siebie. Niepomiernie oczarowało go futro jednej z kobiet, zupełnie zwykłe, tanie futro, ale uszyte ze zwierząt takiego gatunku, który, jak uświadomił sobie Kenniston, musiał wyginąć już przed milionami lat. Tkaniny i skóry były w oczach Eglina trudnymi do wyobrażenia skarbami. Mówił coś nieustannie i gorączkowo do swoich towarzyszy, wskazując na te wszystkie cuda, okazjonalnie przechodząc na swój pełen wysiłku angielski, aby zadać jakieś pytanie Kennistonowi. A już kiedy zobaczył samochód, stał się modelowym przykładem połączenia histerii z podnieceniem.

Samochód stał się zresztą obiektem zainteresowania wszystkich przybyszów. Varn Allan i Norden Lund przystanęli, aby mu się dokładnie przyjrzeć, a dołączył do niech nawet Gorr Holl, delikatnie uwalniając się od ciężaru jadących na nim dzieci. Bystre oko futrzaka widocznie natychmiast się domyśliło, gdzie ukryta jest jednostka napędowa, i zaczął dawać Kennistonowi znaki, że chciałby zajrzeć do środka. Kenniston podszedł i podniósł maskę. Natychmiast cała czwórka pochyliła się nad samochodem, aby przyjrzeć się silnikowi, a tłum zebranych mieszkańców Middletown śmiał się w głos, widząc wielkiego, oswojonego zwierzaka domowego, naśladującego swoich panów. Ludzie z gwiazd, rozmawiali w swoim pośpiesznym, nieznanym języku, a Norden Lund wskazał na zespół napędowy, z takim samym na wpół kpiącym zdziwieniem, jakie człowiek z czasów Kennistona mógłby poczuć w stosunku do wozu zaprzężonego w woły. Gorr Holl powiedział coś Piersowi Eglinowi, i mały człowieczek zwrócił się do Kennistona:

– Taki piękny i taki prymitywny – szepnął i zacisnął ręce. – Oni pytają, czy możesz to… możesz to… – Nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa, ale Kenniston zrozumiał o co mu chodzi. Kluczyki były w stacyjce samochodu. Wsiadł i uruchomił silnik. Gorr Holl był wręcz zafascynowany. Przez pewien czas trwała nad tym dyskusja, a potem skończyły się ostatnie krople paliwa w baku i silnik samochodu zgasł. Gwiezdni ludzie popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i ruszyli w dalszą drogę.

Burmistrz Garris wrócił już do swojej najlepszej formy. Duma i podniecenie, pozwoliły mu otrząsnąć się ze strachu przed Gorrem Hollem. Pokazywał przybyszom z gwiazd środki przy pomocy których uczyniono Nowe Middletown ponownie zdatnym do zamieszkania, bez końca gadał o władzach miasta, znajdujących się w nim szkołach i sądach, dystrybucji pożywienia. Kenniston nie był co prawda pewien, jak wiele z tego dotarło do przybyszów, poprzez kulawe tłumaczenie Piersa Eglina. Rosła w nim jednak jakaś, nie do końca mająca racjonalne podstawy, uraza.

Spowodowana była tym, że zarówno on, jak i wszyscy mieszkańcy Middletown, podzielali dumę Garrisa. Mieli za sobą trudny okres, ale wzięli to obce miasto i przy pomocy pracy własnych rąk i swojej pomysłowości, doprowadzili je do stanu funkcjonalności, do tego że stało się ono całkiem przyzwoitym miejscem do zamieszkania. I najzwyczajniej w świecie byli z tego dumni. Tymczasem przybysze przyglądali się tym wszystkim rzeczom, z których byli tacy dumni, pompom benzynowym, zaimprowizowanemu systemowi dostarczania wody, drogocennym światłom elektrycznym, których uruchomienie kosztowało tyle pracy, i

wyraźnie byli przerażeni topornością i prymitywizmem tych rozwiązań. Nie musieli nawet wcale tego mówić. Było to po prostu widać z ich twarzy.

Niebawem zatrzymali się i przez jakiś czas naradzali się miedzy sobą. Najwyraźniej podjęli jakąś decyzję, ponieważ Piers Eglin odwrócił się i przemówił.

– Widzieliśmy już wystarczająco dużo, jak na pierwszy raz – powiedział. – Później… – i w tym momencie aż zatrząsł się z ochoty, a jego oczy zaświeciły się jak u wilka, – później chcielibyśmy zobaczyć *stare* miasto, które jak mówicie, nadal stoi. Teraz jednak, jak powiedziała Varn Allan, wrócimy na statek, żeby złożyć raport Centrum Rządowemu, na temat tego co znaleźliśmy.

– Słuchaj! – nagląco powiedział Kenniston. – Potrzebujemy pomocy. Potrzebujemy energii, ponieważ nasze zapasy paliwa kurczą się coraz bardziej.

Hubble, który przez całą wizytę obcych, trzymał się w pobliżu, skinął głową i dodał:

– Gdybyście mogli uruchomić część ze znajdujących się tutaj generatorów atomowych…

Piers Eglin natychmiast odwrócił się w tył, aby skonsultować się z Varn Allan, która popatrzyła na Kennistona i Hubble'a i przyzwalająco skinęła głową. Piers Eglin natychmiast więc przekazał:

– Oczywiście. Powiedziała, że dopóki tutaj jesteście, powinniście się urządzić tak wygodnie, jak to tylko możliwe. Załoga *Thanis* wam w tym pomoże. Będą pracowali pod kierownictwem Gorra Holla, który jest szefem naszych techników atomowych.

Burmistrz chwycił głęboki oddech.

– To futrzaste bydlę, jest inżynierem?!

Piers Eglin odchrząknął lekko.

– Wśród załogi będą również… inni. Mogą wydawać się wam bardzo dziwni. Ale oni wszyscy są przyjaciółmi. Lepiej uprzedźcie o tym swoich rodaków.

Garris przełknął ślinę i powiedział z niepokojem.

– Zajmę się tym.

– Ja będę służył jako… tak, tłumacz. Ale teraz mam wiele rzeczy do zrobienia. Niedługo wrócę, z załogą i niezbędnymi… hmmm… rzeczami.

Gwiezdni ludzie potem odeszli, wracając podobnie jak przybyli, przez portal, a następnie przez zapyloną równinę. Kiedy odchodzili, burmistrz Garris przekazał tłumnie zebranym ludziom dobre nowiny — energia, więcej wody, więcej świateł, a być może nawet ogrzewanie. Potężne wiwaty zaskoczyły szczyty milczących wieżowców, a kopuła zadrżała po tym krzyku radości. Hubble jednak zwrócił uwagę Kennistona na słowa przybysza:

– Co on miał na myśli mówiąc „*dopóki tutaj jesteście*"?

Kenniston pokręcił głową. W nim również wzbierały wątpliwości, niemal ponure przeczucia, które nie opierały się na niczym konkretnym, z tego co zostało powiedziane albo zostało zrobione, ale po prostu na uświadomieniu sobie otchłani, jaka dzieliła cywilizację starego Middletown od cywilizacji ludzkiej, która wyszła między gwiazdy tak odległe, i zrobiła to już tak dawno temu, że Ziemia została niemal zapomniana.

Zastanawiał się jak te dwie niewiarygodnie i zasadniczo odmienne kultury będą się rozumiały nawzajem. Stał przez dłuższą chwilę, rozmyślając i obserwując rozchodzący się tłum, i nawet myśl że już niedługo potężne generatory będą szumieć ponownie, nie zdołała rozproszyć jego troski.

Rozdział 11: Rewelacja

Załoga *Thanis* dotarła do Nowego Middletown, jeszcze tego samego popołudnia. Kenniston, Carol i tysiące pozostałych mieszkańców miasta, obserwowali ich przybycie.

Pojawiło się ich może ze czterdziestu — dziarskich, inteligentnych, pracowitych ludzi o krzepkich rękach, nie różniących się specjalnie od innych marynarzy, jakich widział w życiu Kenniston, chyba tylko tym, że ich morzem były niezmierzone głębie przestrzeni kosmicznej, a ich twarze były przyciemnione przez promienie obcych słońc. Przyszli przez niesione wiatrem obłoki pyłu tej planety, która wydała ich na świat, a którą potem porzucili. Wśród nich byli również inni, o których wspominał im Piers Eglin, dzieci obcych gwiazd.

Kenniston już wcześniej wyjaśniał sprawę tych obcych Carol, która widziała z daleka jedynie czubki futrzastych uszu Gorra Holla i podobnie jak i inni sądziła, że był on tylko jakimś szczególnym rodzajem domowego zwierzaka. Nie wydawało mu się, żeby naprawdę go zrozumiała, a przynajmniej nie bardziej, niż mieszkańcy Nowego Middletown zrozumieli podobne wyjaśnienia, przekazane im przez burmistrza.

– Z Wegi – powiedziała cicho Carol, lekko zadrżała, spoglądając w kierunku przyćmionego nieba, na którym gwiazdy widoczne były nawet przy świetle dziennym. – Oni nie mogą być tacy sami jak my, Ken. Żadna istota ludzka nie mogłaby wywędrować do gwiazd i ciągle pozostać taka jak my.

Kenniston był zaskoczony, słysząc swoje własne myśli, powtarzane przez nią na głos, ale powiedział uspokajająco:

– Nie mogli przecież się zbyt mocno zmienić. A ci inni, humanoidy, mogą wyglądać trochę dziwnie, ale przecież są naszymi przyjaciółmi.

Właśnie to powiedział swoim rodakom burmistrz Garris.

– Jacy by ci przybysze nie byli i do czego by nie byli podobni, muszą być przez nas dobrze traktowani. A na każdego, kto będzie sprawiał im jakiekolwiek kłopoty, już czekają cele więzienne. Czy wszyscy to dobrze zrozumieli? To nie ważne jak oni wyglądają, macie w stosunku do nich zachowywać się tak jakby byli ludźmi!

Jednak słuchanie o takich rzeczach to jedna sprawa, a ujrzenie tego na własne oczy to zupełnie inna. Teraz więc palce Carol zacisnęły się kurczowo na ręce Kennistona, a jej ciało wtuliło się mocno, chowając za niego. Tłum zebranych ludzi, którzy przyszli aby oglądać to drugie wejście niewiarygodnego, w ich domowe pielesze, gapił się tylko, szeptał i niespokojnie falował.

Jeden z tych obcych był wielki i mocno zbudowany, szedł powolnie przesuwając swoje potężne nogi. Jego pomarszczona szara skóra wisiała w ciężkich fałdach. Twarz miał szeroką, płaską i pozbawioną wyrazu, a jego mądre, małe oczka, spoglądały z bystrym zrozumieniem na gapiący się, milczący tłum.

Dwóch spośród nich, było szczupłych i ciemnych, poruszali się jak spiskowcy odziani w czarne płaszcze. Ich wąskie głowy pozbawione były zupełnie włosów, a spojrzenie mieli żywe, i pełne zwariowanego humoru. Kenniston uświadomił sobie wstrząśnięty, że te niby płaszcze, które nosili, były tak naprawdę skrzydłami, złożonymi i owiniętymi ściśle wokół ich ciał.

Kolejny dla odmiany, miał ten specyficzny śliski wdzięk, sugerujący trudną do określenia siłę i szybkość. Cechowała go chłodna i dumna postawa. Wyglądał nawet przystojnie, z tą swoją grzywą śnieżnobiałego futra, odrzuconą w tył z czoła. Niepokoić mogło tylko lekkie

muśniecie bezwzględności w szeroko rozstawionych kościach policzkowych i prostych, uśmiechniętych ustach.

Tych czterech i Gorr Holl. Podobni do ludzi, ale nie ludzie, dzieci odległych światów, spacerujące z niewymuszonym spokojem po powierzchni starej Ziemi.

– Oni są straszni – wyszeptała Carol, cofając się lekko. – Bezbożni! Jak możesz nawet stać w ich pobliżu?

Kenniston zwalczył w sobie podobną reakcję. Mieszkańcy Middletown gapili się z otwartymi ustami, mruczeli i cofnęli się od obcych, częściowo z powodu pełzającego lęku przed nienaturalnym, częściowo z powodu czystego rasizmu. Trudno było im nawet zaakceptować fakt, że takie nieludzkie istoty mogą w ogóle istnieć. Jeszcze trudniej więc było im przyjąć ich, jako równych sobie. Zwierzęta, były zwierzętami, a ludzie ludźmi, i nie było żadnej przestrzeni pośrodku…

Ale nie dla dzieci z Middletown. Zignorowały kompletnie opalonych ludzi kosmosu, i tłumnie skupiły się wokół humanoidów. Nie miały żadnych uprzedzeń swoich rodziców. To były stworzenia prosto z bajek, które pojawiły się tutaj zupełnie żywe, i dzieci natychmiast je pokochały.

Piers Eglin podszedł do Kennistona, który powiedział do niego:

– Hubble otworzył już główne pomieszczenie generatorów. Czeka tam na nas. Zaprowadzę was do niego.

Eglin ciężko westchnął.

– Dziękuję – powiedział. Wyglądał na skrajnie nieszczęśliwego. Kenniston pożegnał się pośpiesznie z Carol i ruszył obok małego historyka.

– Co się stało? – zapytał go.

– Chodzi o moje rozkazy – odparł Piers Eglin. – Jestem tutaj, żeby tłumaczyć, i nauczyć kilku z was naszego języka. – Pokręcił ponuro głową. – To zajmie wiele dni, a tymczasem to wasze stare miasto… Powinienem być tam przez każdą chwilę.

Kenniston uśmiechnął się lekko.

– Spróbuję nauczyć się jak najszybciej – obiecał.

Pokazał im drogę do miejsca, gdzie, koło budynku generatorów, czekał na nich Hubble. Idąc, słyszał za sobą dziwne kroki stworzeń, które nie były ludźmi. Wydawało mu się niemal niewiarygodne, że będzie musiał pracować obok tych niesamowitych istot, które powodowały u niego zimny dreszcz, zawsze kiedy tylko się do nich zbliżył. Z pewnością przecież nie mogły zachowywać się tak samo jak ludzie!

Weszli do budynku, do ogromnego pomieszczenia, wypełnionymi wielkimi zakurzonymi kształtami opancerzonych mechanizmów, w których ani on ani Hubble nie byli w stanie nawet rozpoznać, gdzie jest przód, a gdzie tył. Starszy naukowiec dołączył do nich, spoglądając z ukosa na humanoidów. Kenniston powiedział:

– Przypuszczaliśmy, że to są właśnie główne generatory – powiedział to do Piersa Eglina, ponieważ Eglin musiał to przetłumaczyć, ale stał twarzą w twarz z Gorrem Hollem i pozostałą czwórką obcych, którzy byli obok niego. – Jeśli rzeczywiście uda się je naprawić i uruchomić, będziemy…

Jego głos powoli zamierał mu w gardle. Pięć par obcych oczu, wpatrywało się w niego z uwagą, pięć obcych ciał oddychało i poruszało, a grzebień z białej sierści tego dumnego, unosił się w górę, sprawiając takie zwierzęce wrażenie, że Kennistonowi wydało się niemożliwe, aby mógł on dalej aspirować do miana człowieka. Wątpliwości, niedowierzanie i cień najzwyklejszej obawy pojawiły się na jego twarzy. Piers Eglin lekko zmarszczył brwi, ale zaczął tłumaczyć.

Z szybkością godną nietoperza, mknącego wieczorem w powietrzu, jeden ze szczupłych, ciemnych bliźniaków chlasnął rozwiniętymi szeroko skrzydłami, skoczył lekko w kierunku Kennistona, wydając z gardła okrzyk, który zabrzmiał bardzo podobnie do:

– Buuu…!

Kenniston rzucił się do tyłu, wyskakując niemal ze skóry z zaskoczenia. A szczupły obcy prawie złożył się wpół ze śmiechu, który natychmiast powtórzony został echem przez pozostałych. Nawet duża szara istota także lekko się uśmiechnęła. Wszyscy spoglądali na Kennistona i śmiali się, nawet Hubble, który natychmiast chwycił dowcip, zaczął ryczeć ze śmiechu. Po tym wszystkim Kennistonowi nie pozostało nic innego, jak tylko przyłączyć się do nich. Przy tym, należało mu się. Doskonale wiedzieli, co do nich czuł i szczupły obcy odpłacił mu tą samą monetą, tyle że z dużym poczuciem humoru i bez złośliwości.

I jakoś tak, kiedy tak wyśmiali się już razem do końca, całe wiszące w powietrzu napięcie opadło. Śmiech jest przecież tak ludzką sprawą. Kenniston wymamrotał coś przepraszająco, a Gorr Holl klepnął go rubasznie w ramię, przy okazji niemal posyłając go twarzą na podłogę.

Kiedy jednak zbliżyli się do zakurzonych generatorów, Gorr Holl nagle zmienił się z powłóczącego nogami, dobrodusznego stworzenia, w wysoce efektywnego inżyniera. Przerzucił kilka ukrytych zatrzasków, i zanim nawet Kenniston zdołał zobaczyć jak to zrobił, zdjął panel chroniący jeden olbrzymich mechanizmów. Z torby przypiętej do swojej uprzęży wyciągnął płaską latarkę kieszonkową, którą przyświecał sobie, kiedy wsadził swój kudłaty uparty łeb do środka maszyny. Z wnętrza generatora dobiegały jego basowe huczące komentarze. W końcu Gorr Holl wyciągnął głowę z maszyny i zaczął mówić coś z wyraźnym niesmakiem. Eglin tłumaczył jego słowa:

– Mówi, że ta stara instalacja jest fatalnym stanie i na dodatek jest źle zaprojektowana. Mówi, że chciałby dorwać w swoje ręce technika, który zrobił taką fuszerkę, jak ta.

Kenniston ponownie się roześmiał. Wielki futrzasty Capellanin brzmiał jak bratnia dusza każdego mechanika, wykonującego jakiekolwiek naprawy na starej Ziemi. Podczas gdy Gorr Holl sprawdzał pozostałe generatory, Piers Eglin przypiął się do Hubble'a i Kennistona, zalewając ich potokiem pytań o ich własne odległe czasy. W końcu udało im się przerwać mu i zadać własne pytanie, które kołatało w ich głowach już od jakiegoś czasu, ale wcześniej nie mieli możliwości o to zapytać.

– Dlaczego Ziemia jest obecnie niezamieszkała? Co się stało ze wszystkimi żyjącymi tu ludźmi.

Piers Eglin odpowiedział:

– Już dawno temu, ludzie z Ziemi przenieśli się na inne planety. Tylko niewielka część z nich, na którąś z planet tego systemu — zewnętrzne były zbyt zimne, a pokryta wodą Wenus miała zbyt małą powierzchnię lądów. Większość udała się na planety krążące wokół innych gwiazd, rozpraszając się po całej galaktyce.

– Ale z pewnością część z nich wolała zostać na Ziemi? – zapytał Kenniston.

Eglin wzruszył ramionami.

– I tak zrobili, dopóki zimno nie wzmogło się tak bardzo, że nawet w tych pokrytych kopułami miastach życie stało się zbyt ciężkie. Wtedy odeszli ostatni z nich, udając się na planety cieplejszych słońc.

Kenniston powiedział:

– W naszych czasach, nie dotarliśmy jeszcze nawet do Księżyca. – Czuł się przez to wszystko nieco oszołomiony. „*…na planety krążące wokół innych gwiazd, rozpraszając się po całej galaktyce…*".

Gorr Holl w końcu do nich powrócił, i huczał przez dłuższy czas. Eglin tłumaczył:

– Wydaje mu się, że powinno im się udać uruchomić te generatory. Ale zajmie to sporo czasu, i będzie do tego potrzebował pewnych materiałów — miedzi, magnezu i nieco platyny…

Uważnie słuchali, a potem Hubble skinął głową i powiedział:

– Wszystko to możemy dla was znaleźć w starym Middletown.

– Stare miasto? – z entuzjazmem wykrzyknął Piers Eglin. – Muszę tam z wami pojechać! Dalej, natychmiast jedźmy!

Mały historyk, był cały rozgorączkowany możliwością zobaczenia starego miasta. Wiercił się niespokojnie, aż do chwili kiedy on, Hubble i Kenniston nie wyruszyli w jeepie poprzez zimne brunatne pustkowie.

– Zobaczę na własne oczy miasto z epoki przed-atomowej! – aż tryskał radością.

To było dziwne, ponownie zobaczyć stare Middletown, stojące w takim milczeniu pośrodku pustkowia. Domy wyglądały tak samo, jak wtedy kiedy je widzieli ostatnio, drzwi były pozamykane, puste huśtawki na gankach kołysały się na zimnym wietrze. Na ulicach pojawiła się gruba warstwa naniesionego pyłu. Drzewa były gołe, a ostatnie najmniejsze źdźbło trawy już umarło.

Kenniston widział, że oczy Hubble'a pokryły się wilgotną mgiełką, a jego własne serce ścisnęło się ze strasznym bólem i tęsknotą. Wolałby tu nie przyjeżdżać. Tam, w tym drugim mieście, w całym zaabsorbowaniu wysiłkiem wkładanym w to aby przeżyć, można było prawie zapomnieć, że kiedyś wcześniej istniało jakieś inne życie.

Prowadził jeepa poprzez te wymarłe ulice, a pamięć narzucała mu obrazy utraconego lata, dziewczyn w jasnych sukienkach, ciężkich od kwiatów drzew surmii, piskliwych sprzeczek strzyżyków, świateł i dźwięku ludzkich głosów w senne ciepłe wieczory.

Piers Eglin wręcz oniemiały ze szczęścia, zanurzony w wyśnionym raju historyka, spacerował po ulicach, zaglądając do sklepów i domów.

– To musi zostać zachowane – szepnął Eglin. – To jest zbyt cenne. Każę im zbudować kopułę i to wszystko opieczętować — te napisy, artefakty, te piękne skrawki papieru!

Nagle przerwał mu Hubble:

– Ktoś tutaj jest, tam dalej z przodu.

Kenniston zobaczył mały pojazd w kształcie pocisku, który stał na zewnątrz ich starego laboratorium. Z budynku wyszli Norden Lund i Varn Allan.

Kobieta zaczęła rozmawiać z Eglinem, który przetłumaczył jej słowa.

– Zbierają dane do przygotowywanego przez nią sprawozdania dla Centrum Rządowego.

Kiedy błękitne oczy kobiety spoczęły na panoramie brudnych młynów, wysoko wznoszących się silosów, poczerniałych od niegdysiejszych dymów, pordzewiałych torów bocznic kolejowych, szarych małych domków, stojących wzdłuż wąskich ulic, Kenniston zauważył na jej twarzy wyraźny wstręt. Odebrał to jako osobistą obrazę, i zapytał na wpół wyzywającym tonem:

– Spytaj ją, jak jej się podoba nasze małe miasteczko?

Eglin zrobił to, a Varn Allan udzieliła jakiejś wyraźnie ciętej odpowiedzi. Malutki historyk wyglądał na bardzo skrępowanego, kiedy Kenniston poprosił go o jej przetłumaczenie.

– Varn Allan powiedziała, że to nie do pomyślenia, że ludzie mogli mieszkać w takim żałosnym i obskurnym miejscu.

Lund roześmiał się głośno. Kenniston aż poczerwieniał, i przez chwilę wręcz nienawidził tej kobiety, za jej chłodne, wyniosłe poczucie wyższości. Patrzyła na stare Middletown, tak jak on mógłby spoglądać na obleśną norę małp.

Hubble zauważył wyraz jego twarzy, i położył mu rękę na ramieniu.

– Chodźmy, Ken. Mamy mnóstwo pracy do zrobienia.

Wszedł za starszym mężczyzną do laboratorium, a Piers Eglin podążył w jego ślady. Powiedział do Hubble'a ze złością:

– Czemu u diabła dali władzę tej zimnej blond lali?

Hubble odparł ze spokojem:

– Pewnie dlatego, że kompetentnie wykonuje swoją pracę. Nie mów mi tylko, że cierpisz z powodu urażonej tej staromodnej męskiej próżności.

Piers Eglin musiał zrozumieć o czym mówili, ponieważ zachichotał:

– To wcale nie jest znowu takie staromodne uczucie. Nordenowi Lundowi nie za bardzo podoba się fakt, że jest podwładnym dziewczyny.

Kiedy wyszli już z budynku, z materiałami zamówionymi przez Gorra Holla, Varn Allan i Lund już sobie pojechali.

Po powrocie do Nowego Middletown, stwierdzili, że Gorr Holl i jego ludzie zabrali się już ostro do pracy nad demontażem generatorów. Wyrykując rozkazy, grzmiąc z głębi piersi basowymi capellańskimi przekleństwami i atakując każdy generator, tak jakby był on jego osobistym wrogiem, Gorr Holl zmusił swoich twardorękich kosmicznych wilków morskich do dokonania cudów wysiłku.

Podczas kilku kolejnych dni, w wirze interesującej inżynierskiej pracy, Kenniston zapomniał już o jakimkolwiek uczuciu obcości. Pracował do upadłego, jedząc i śpiąc z tymi obcoświatowcami z innych gwiazd, przez cale długie dnie i noce, zaczynając również ze zdumiewającą szybkością chwytać język. Piers Eglin aż się palił, do tego żeby mu pomagać, a kiedy Kenniston odkrył, ze podstawowa struktura językowa, była taka sama jak jego ojczystego angielskiego, rzeczy poszły dużo łatwiej.

Pewnego dnia uświadomił sobie, że u boku humanoidów pracuje mu się w tak naturalny sposób, jak gdyby robił to od zawsze. Już nie wydało mu się dziwne, że Magro, przystojny Spikanin z białym futrem, był ekspertem od elektroniki, którego lekka i nieomylna ręka, wprawiała go w prawdziwe osłupienie.

Bracia Ban i Bal, byli mistrzami w mechanice. Kenniston zazdrościł im wręcz ich zręczności pracy ze zużytymi częściami, szybkiej łatwości z jaką ich żylaste ciała wzlatywały nietoperzowato między górnymi poziomami olbrzymich maszyn, tam gdzie człowiekowi trudno byłoby się dostać.

I Lal'lor, stary, szary obżartuch o masywnym ciele, który mało mówił, ale swoimi maleńkimi mądrymi oczkami bardzo wiele widział, posiadał zadziwiający geniusz matematyczny. Kenniston odkrył to, kiedy Lal'lor poszedł z nim i Piersem Eglinem obejrzeć wielki szyb cieplny, który zdawał się prowadzić do wnętrza Ziemi.

Historyk ze zrozumieniem pokiwał głową, patrząc na olbrzymi szyb i prowadzące z niego przewody cieplne. Powiedział, że schodzą one do samego środka jądra Ziemi.

– To była wspaniała robota. Ten szyb i inne do niego podobne, w takich pokrytych kopułami miastach, pozwoliły na utrzymanie na Ziemi ludności, przez całe wieki dłużej, niż w przypadku gdyby ich nie było. Obecnie jednak, w jądrze Ziemi nie ma już ciepła, które można by dalej pozyskiwać. – Westchnął ciężko. – Taki kres czeka wszystkie planety, wcześniej czy później. Nawet po tym jak przygasną ich słońca, mogą jeszcze trochę przeżyć, dopóki ich wnętrze zapewnia im ciepło. Ale kiedy kończy się wewnętrzne ciepło planety, musi zostać opuszczona przez mieszkańców.

Lal'lor przemówił swoim gardłowym, ochrypłym głosem:

– Ale Jon Arnol, jak sam wiesz, twierdzi, że martwa zimna planeta, może zostać ożywiona. a jego wyliczenia wydają się być niepodważalne.

I masywny szary Miranin, ponieważ jak się dowiedział Kenniston, właśnie ta gwiazda go zrodziła, przytoczył oszałamiającą tak serię równań, że Kenniston nawet nie próbował jej prześledzić.

Piers Eglin, z jakiegoś powodu, wyglądał na dziwnie zakłopotanego. Kiedy pośpiesznie udzielał odpowiedzi, wydawał się unikać spojrzenia marynarza.

– Jon Arnold jest entuzjastą, fantastycznym teoretykiem. Wiesz przecież co się stało, kiedy wypróbował swoją metodę w praktyce.

Kiedy tylko Kenniston był już w stanie porozumieć się w nowym języku, Piers Eglin uznał swój obowiązek za wykonany, i odjechał do starego Middletown, aby radośnie trząść się i zamarzać na kamień, wśród archaicznych skarbów, których pełno było na każdym kroku.

Pozostawiony sam z przybyszami z innych gwiazd, Kenniston stwierdził, że coraz bardziej zapomina o odmienności czasu, kultury i rasy, pracując z nimi wspólnie nad ponownym wtłoczeniem życia w krwioobieg miasta.

System obiegu wody w Nowym Middletown, znów został przywrócony do pełnej sprawności, i luksus otwierania kurka i oglądania jak w nieograniczonych ilościach bije z kranu woda, był naprawdę cudowną rzeczą. Wiele z olbrzymich generatorów atomowych, obecnie już działało, umożliwiając uruchomienie wspaniałego dodatkowego systemu grzewczego, który podniósł temperaturę powietrza wewnątrz kopuły o kilka stopni w górę. A Gorr Holl i Magro pracowali ciężko nad ostatnim z cudów.

Nadeszła w końcu noc, kiedy wielki Capellanin zawołał Kennistona do jednego z głównych pomieszczeń w których znajdowały się generatory. Był tam Magro i wielu marynarzy z załogi statku, całych wypapranych kurzem i smarem, ale ze szczęśliwymi uśmiechami na ustach, ludzi którzy właśnie zobaczyli koniec swojej ciężkiej pracy. Gorr Holl wskazał ręka na okno.

– Stań tam – powiedział do Kennistona, – i patrz.

Kenniston wyglądał na zewnątrz, na ciemne miasto. Nie było widać księżyca i wieżowce stały okryte płaszczem cienia, a czarne kaniony ulic w dole, ponakłuwane były tylko to tu, to tam, słabymi płomykami świec i blaskiem kilku lamp elektrycznych, świecących wokół ratusza. Gorr Holl przeszedł za nim przez pomieszczenie, do wielkiego panelu z urządzeniami sterującymi, zajmującego połowę wysokości ściany. Chrząknął z lekką niepewnością. Potem rozległo się kliknięcie, trzask załączanego głównego przełącznika i nagle ponad pogrążonym w mroku miastem pod kopułą, rozbłysła jaskrawa feeria świateł.

Pogrążone w cieniu wieżowce pojaśniały, pokrywając się błyszczącą poświatą. Ulice stały się rzekami białego światła, miękkiego i jasnego, a ponad tym wszystkim pojawiło się nowe nocne niebo, niezwykła luminescencja kopuły, która jak olbrzymia misa ukształtowana została z promieni Księżyca i wielokolorowych chmur, wieńcząc jaśniejące wieże swoją własną chwałą. Po długim okresie ciemności i cieni, wydawało się to takie dziwne i takie piękne, ze Kenniston stał bez ruchu, podziwiając ten cud światła, i dopiero później uświadomił sobie, że w jego oczach pojawiły się łzy. Śpiące miasto obudziło się do życia. Ludzie wylali się z domów na jasne ulice i dźwięk ich głosów stawał się coraz głośniejszy, przeradzając się w końcu w jeden długi okrzyk radości. Kenniston odwrócił się do Gorra Holla, Magro i pozostałych. Chciał im coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W końcu roześmiał się, a oni śmiali się razem z nim. Potem wyszli wszyscy razem na ulice.

Niemal natychmiast natknęli się na burmistrza Garrisa, biegnącego do nich przez całą drogę od ratusza. Razem z nim był Hubble, większość ludzi ze starego laboratorium, i tłum mieszkańców Middletown. Z tego co próbowali powiedzieć, nie dało się wywnioskować niczego sensownego, ale w końcu ludzie wzięli na ramiona Gorra Holla, Magro i pozostałych marynarzy i ponieśli ich w tryumfalnej procesji wokół placu, wznosząc ogłuszające okrzyki radości i owacje. Ten dar światła ludzie docenili bardziej niż wodę, bardziej niż ciepło. I tej nocy zaakceptowali humanoidów jako swoich braci.

Nieco później w ratuszu zebrała się zdyszana i rozradowana grupa — Gorr Holl, Magro, Kenniston, Hubble i burmistrz. Bertram Garris potrząsał potężną łapą wielkiego Capellanina i promieniał w kierunku Magro, próbując wyrazić swoje podziękowania za wszystko, co zrobili dla miasta oni sami oraz pozostali. Gorr Holl słuchał tego wszystkiego, z uśmiechem.

– Co on mówi? – zapytał Kennistona, który zajmował teraz stanowisko tłumacza.

Kenniston roześmiał się.

– Chciałby wiedzieć, co może zrobić, aby okazać ci swoje uznanie, coś w stylu oddania ci władzy w mieście, swojej córki za żonę, albo kilku miarek swojej krwi. A poważnie mówiąc, wszyscy jesteśmy wam wszystkim naprawdę ogromnie wdzięczni. Twoi podwładni

ponownie przywrócili to miasto do życia i… cóż, czy jest coś, co moglibyśmy zrobić, aby to wam okazać?

Gorr Holl zastanawiał się przez chwilę. Rzucił spojrzenie Magro, który z powagą skinął głową. Gorr Holl powiedział:

– No dobrze, ponieważ *my* jesteśmy prymitywami, więc *moglibyśmy* wypić drinka!

Hubble, który podchwycił powierzchowną znajomość języka, zaczął się głośno śmiać. Kenniston przetłumaczył te słowa burmistrzowi, który natychmiast ogłosił stan nagłego wypadku medycznego i pośpieszył do biurka, żeby wyciągnąć z niego butelki, ze swojego osobistego zapasiku. Było to radosne świętowanie, i Kenniston ze zdziwieniem stwierdził, że bardzo mu brakuje Bala, Bana i szarego Lal'lora, którzy dzień czy dwa wcześniej wrócili już na pokład statku wraz z częścią załogi.

Do głowy napłynęły mu smutne myśli, i powiedział:

– Przypuszczam, że teraz, kiedy robota została już zakończona, wkrótce będziecie nas musieli opuścić?

Magro wzruszył swoimi gibkimi ramionami.

– To będzie zależało od wielu rzeczy. – Leniwie popatrzył na Gorra Holla.

Gorr Holl do tej pory miał już nieco w czubie — nie za bardzo, ale na tyle by mieć dobry humor i trochę głośno się zachowywać. Również burmistrz był już w bardzo dobrym nastroju i z afektacją poklepywał Capellanina po jego potężnym pokrytym futrem ramieniu.

– Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał – mówił żarliwie Garris, – że jest mi bardzo przykro, i bardzo cię przepraszam, za tę moją głupią pomyłkę, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem. Wszystkim nam jest bardzo przykro, kiedy widzimy jak wiele dla nas zrobiliście.

– Słuchaj, nie zrobiliśmy znowu tak wiele – odparł Gorr Holl, kiedy Kenniston mu to przetłumaczył. – Ale światła i te wszystkie inne rzeczy, pomogą wam tu wygodniej spędzić czas, kiedy będziecie czekać.

Kenniston popatrzył na niego z uwagą.

– Co rozumiesz przez te słowa — kiedy będziecie czekać?

– Oczywiście, kiedy będziecie czekać na waszą ewakuację – odparł Gorr.

Zapanowała krótka cisza. Kenniston czuł, jak ogarnia go dziwne napięcie, i nagle zrozumiał, że czegoś takiego właśnie podświadomie oczekiwał, ponieważ przez cały czas czuł, że coś nie jest do końca w porządku.

Ostrożnie zapytał:

– Gorr, nie wiemy o co chodzi. Co to za gadanie o ewakuacji?

Ogromny Capellanin gapił się na niego z zaskoczeniem w swoich wielkich oczach i podobnej do niedźwiedziej twarzy. W tej samej jednak chwili Kenniston poczuł, ze zdumienie to było w pełni udawane, a w ten niby przypadkowy i niezamierzony sposób Gorr Holl rzucił im jakąś bombę i teraz obserwował ich reakcję.

– Czy Piers wam niczego nie powiedział? – zapytał Gorr Holl. – Nie, przypuszczam, że miał instrukcje, aby niczego nie mówić. Oni myślą, że wasi rodacy są emocjonalnymi prymitywami, takimi jak Magro czy ja, i im mniej czasu będziecie mieli, aby o tym rozmyślać, tym lepiej.

Kenniston ponownie powtórzył z napięciem:

– Co miałeś na myśli mówiąc o ewakuacji?

Capellanin zmierzył go wzrokiem.

– To znaczy po prostu, że na rozkaz Gubernatorów, wszyscy wasi rodacy zostaną ewakuowani z Ziemi na któryś z innych gwiezdnych światów.

Rozdział 12: Kryzys

Trzech ludzi z Ziemi gapiło się na olbrzymiego Capellanina, i przez długą, naprawdę długą chwilę, żaden z nich nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Gorr Holl wydawał się być bardzo zaabsorbowany trzymaną w ręku szklaneczką. Magro obserwował ich jasnymi kocimi oczyma. Oblewały ich strumienie jaskrawego światła, w których trzech mężczyzn wyglądało jak trzy kamienne posągi.

W końcu Bertram Garris odzyskał zdolność mówienia. Jednak tylko na tyle, by w kółko powtarzać słowa Gorra Holla, tak jak je przetłumaczył Kenniston. Wypowiadał je, ale w nie nie wierzył.

– Ewakuacja? – Powiedział. I jeszcze raz: – Ewakuacja?

– Na inny gwiezdny świat – powoli potwierdził Kenniston. Wykrzywił usta, nachylił się w stronę Gorra Holla i wykrzyknął: – Co oni sobie myślą, że my się na to zgodzimy?

Gorr Holl popatrzył dookoła po ich twarzach i powiedział z żalem:

– Wydaje mi się, że powiedziałem zbyt dużo. – Jego żal był mniej więcej tak samo przekonywujący, jak wcześniejsze zaskoczenie.

Burmistrz Garris zaczął się trząść. Narastała w nim furia, prawdziwa furia, która nie miała innego ujścia, niż tylko słowa. Płonącym z wściekłości wzrokiem wpatrywał się w Magro i Gorra Holla.

– Oni wiedzieli to od początku, ta kobieta i pozostali – wycedził. – Przybyli tutaj, udając naszych przyjaciół, i przez cały ten czas, za naszymi plecami… – Gniew i obawa przyprawiły go niemal o apopleksję, zwłaszcza że przyszły niemal natychmiast po chwilach radości. Jego głos poszedł o oktawę w górę. – Niech im pan powie, Kenniston, niech pan im powie ode mnie, że jeśli sobie myślą, że damy się tak łatwo wyrzucić z Ziemi do jakiegoś… jakiegoś… – tu zająknął się, z czystego niepodobieństwa tego, co próbował powiedzieć, – … jakiegoś cholernego, pieprzonego miejsca, gdzieś tam w górze… to cóż, chyba im kompletnie odbiło!

Hubble powiedział do Kennistona:

– Spytaj ich, czy to jest coś, co naprawdę ci Gubernatorzy mogą zrobić? To znaczy, chodzi mi o przenoszenie całych populacji z jednej planety na drugą?

Gorr Holl kiwnął na to potwierdzająco głową.

– Och, tak. Jeśli tylko życie na którejś z planet staje się nieuzasadnione ekonomicznie, albo margines przetrwania staje się zbyt mały, Gubernatorzy ewakuują ludzi na lepszą planetę. Jest ich wiele, dobrych ciepłych urodzajnych planet, które są zupełnie niezamieszkałe albo prawie takie są. Tak zrobiono w przypadku części mojej własnej rasy, przenosząc ich z Capelli Pięć na Aldebarana.

– I również mojej – dodał Magro. – To było dawno temu. Nasi Starzy Ludzie wygłaszali dokładnie te same słowa, które właśnie wypowiedział wasz burmistrz. Ale zostali przeniesieni.

Kenniston zaczął krzyczeć z gniewu:

– I ludzie pozwolili na to, żeby im to zrobić? Nawet się temu nie opierali?

Gorr Holl odparł:

– Ludzie… to jest chciałem powiedzieć Ziemianie, mają za sobą miliony lat cywilizacji. Przyzwyczajeni są do pokojowych rządów, przyzwyczajeni są do posłuszeństwa, i przemieszczali się z planety na planetę niemal od zawsze, od kiedy opuścili Ziemię całe wieki temu. Tak więc jedna planeta nie znaczy dla nich dużo więcej niż inna. Ale prymitywne ludy

humanoidalne, cywilizowane dużo później, takie jak mój, czy Magro, nie są już takie rozsądne. Panowało wśród nich naprawdę spore oburzenie w związku z tymi sprawami ewakuacyjnymi. Tak prawdę mówiąc, to nienawidzą tego … dokładnie tak samo, jak wy.

– Hej! – ostro przerwał mu Hubble. – A pan gdzie znowu idzie!

Mówił o burmistrzu, który nagle ruszył w kierunku drzwi. Chwycił Garrisa za płaszcz i pociągnął go do tyłu. Burmistrz z ponurą miną, zaczął się wyrywać próbując się uwolnić.

– Idę, żeby im o wszystkim powiedzieć – odparł, wskazując głową w stronę z której dochodziły odgłosy zabawy, wzniecane przez tłum mieszkańców Middletown zebranych na placu. – Przenieść nas z Ziemi? O, nie! Będziemy mieli coś do powiedzenia na ten temat!

– I co niby ma pan zamiar zrobić? – warknął Hubble. – Wywołać zamieszki? Niech pan nie będzie głupcem, to nie jest sposób, na rozwiązanie tej całej sytuacji. Nie, o tym musimy rozmawiać z tą zimną jak lód blondynką i z tym jej kumplem Lundem. – Potrząsnął Garrisem. – Niech pan się zastanowi, mówię panu! Działając nierozważnie, pogorszymy tylko sytuację nas wszystkich!

Garris przestał się wyrywać. Spojrzał na Hubble'a, następnie na Kennistona, i z powrotem na Hubble'a.

– W porządku – powiedział w końcu. – Będziemy z nimi rozmawiać. Ale niech lepiej wbiją sobie do głowy, ze nie mają do czynienia z jakimś stadem pokornych i posłusznych owieczek. – Wrócił z powrotem do pokoju. – Rozkazywać nam, żebyśmy opuścili naszą własną planetę…! Niech pan zabierze stąd te dwa dziwolągi, Kenniston. Miałem rację od samego początku. Nie możemy im ufać, to są…

– Och, niech pan już lepiej się zamknie – przerwał mu niecierpliwie Kenniston. – Gorr i Magro nie stanowią prawa. Mieli po prostu na tyle przyzwoitości, aby nas uczciwie uprzedzić o sprawach, o których inaczej nawet byśmy się nie dowiedzieli, zanim by nie było za późno. – Domyślał się, że było w tym coś więcej, ale nie miał czasu i był za bardzo zdenerwowany, aby teraz doszukiwać się głębszych motywów. Zwrócił się do Gorra oraz do Spikanina.

– Słuchajcie – powiedział do nich. – Widzieliście jak zareagował burmistrz. No cóż, mogę was zapewnić, że wszyscy nasi ludzie zareagują mniej więcej w ten sam sposób, tylko na większą skalę. Powiedzcie o tym Varn Allan, i powiedzcie jej, że lepiej będzie jeśli tutaj przybędzie i porozmawia z nami na temat tej całej ewakuacji, zanim to wszystko nie zajdzie za daleko. Przekażcie jej, że nie lubimy, jeśli sprawy dotyczące nas usiłuje załatwić się za naszymi plecami. Powiedzcie jej… – Powstrzymał się z trudem, zaskoczony własną furią. – Nie, wydaje mi się, że tego nie możecie jej powiedzieć – dokończył, a Gorr Holl uśmiechnął się.

– Mówiąc między nami prymitywami, zrozumiałem co chciałeś powiedzieć.

– No i dobrze. Aha, Gorr… ty, Magro i inni lepiej trzymajcie się z dala od miasta. Kiedy ta sprawa się wyda, nie będę w stanie nikomu zagwarantować bezpieczeństwa.

– Och – powiedział Gorr Holl i uśmiechnął się tak szeroko, że zabłysły nawet jego tylne zęby, – my będziemy zupełnie bezpieczni, ponieważ będziemy mieli zakaz opuszczania naszych kwater na statku. My, czy też dokładniej rzecz biorąc, ja, zrobiliśmy bardzo złą rzecz. Wyszliśmy przed szereg i nabałaganiliśmy politykom.

Cała trójka, humanoidzi i człowiek, popatrzyli na siebie nawzajem, i zrozumieli się bez słowa. Kenniston położył rękę na porośniętym futrem ramieniu Gorra Holla i uścisnął jego żelazne mięśnie. Magro dodał jeszcze:

– Jeszcze jedna sprawa, Kenniston. Jeśli będziecie mieli tu kłopoty, a wydaje mi się, że w powietrzu coś nimi bardzo mocno pachnie, uważaj na Lunda. Varn Allan, być może jest nieco zbyt pewna siebie i zadufana, ale jest uczciwa. Lund… no cóż, chce posady Varn, i z radością podetnie komuś gardło, żeby tylko ją zdobyć.

– Tak, to prawda – powiedział Gorr Holl. – Pamiętaj o tym, Kenniston.

– Będę pamiętał. I… dzięki.

Wyszli, aby zanieść na statek wiadomość o wyzwaniu. Kenniston obserwował jak odchodzą. Burmistrz również im się przyglądał, i obaj słuchali owacji jakie towarzyszyły obcym przez całą drogę do portalu.

– Przepraszam, że nazwałem ich dziwadłami – nagle odezwał się burmistrz. – Mój Boże, oni są dużo bardziej podobni do nas, niż ci *ludzie* na tym statku.

Hubble pokiwał głową.

– Ich poziom rozwoju jest bliższy naszemu. Nie stracili jeszcze swoich starych, rdzennych korzeni. Nasza własna rasa, odeszła już od nas bardzo daleko. Cały wzorzec ich myślenia, jest krańcowo odmienny od naszego. My… no cóż, staliśmy się już obcymi dla swojego własnego gatunku.

Dochodzące z zewnątrz owacje i odgłosy radości mieszkańców Middletown, miały teraz dla Kennistona ironicznie gorzki posmak. Gdyby wiedzieli, jaką przyszłość dla nich planowano…

Wskazując głową na burmistrza, zwrócił się na boku do Hubble'a:

– Czy będziesz miał na niego oko i nie pozwolisz mu rozpowiedzieć tego wszystkim? wydaje się, że masz na niego większy wpływ niż ktokolwiek inny.

Hubble odparł:

– Będę. Idź się trochę przespać, Ken. Miałeś ostatnio naprawdę dużo ciężkiej harówki, a ta kobieta, Allan, i Lund prawdopodobnie nie pojawią się wcześniej niż rankiem.

Kenniston spał, ale ani dużo ani dobrze. Pomimo wyczerpania, przez pozostałą część nocy, w głowie dzwoniły mu ciągle, jak dzwony pogrzebowe, słowa Gorra Holla: „*…ewakuowani … ewakuowani … na inny gwiezdny świat…*". Nieustannie nachodziły go myśli o tych wszystkich mieszkających w Middletown ludziach, którzy ze szczęściem myśleli, że ich kłopoty już się skończyły, i o Carol — szczególnie o Carol. Przede wszystkim jednak rozmyślał o Varn Allan, której powoli zaczynał nienawidzić. No i bał się.

Nie trzeba było mieć jakiejś specjalnie bogatej wyobraźni, aby dojrzeć to, czego nie był w stanie uchwycić ograniczony umysł burmistrza — gigantyczną i potężną machinę rządową, kierującą tym wszechświatem przyszłości, machinę, której ten wielki statek międzygwiezdny i jego załoga, byli jedynie symbolem. Nie wydawało się możliwe, aby garstka ludzi na umierającej planecie, była w stanie przeciwstawiać się temu rządowi przez dłuższy czas.

W końcu z niespokojnego snu wyrwał go Hubble, przychodzący z wieścią, że przybyli Varn Allan i Lund, oraz że burmistrz zwołał posiedzenie Rady Miasta.

– Potrzebujemy cię, żebyś tłumaczył, Ken – powiedział. – Mówisz ich językiem lepiej niż ktokolwiek inny spośród nas, a ta sprawa jest zbyt ważna, żeby pozwolić sobie nawet na minimalną szansę na jakieś nieporozumienie.

Żaden z nich nie mówił wiele, po drodze do wysokiego wieżowca, pełniącego teraz funkcję ratusza. Kenniston widział, że Hubble był równie zatroskany i zaniepokojony jak i on.

Tłum, który zebrał się na placu, ciągle był w dobrym nastroju, i ludzie przyszli tu aby pozdrowić dobrych przyjaciół, którzy tak bardzo im pomogli. Wewnątrz ratusza, dookoła masywnego metalowego stołu, zasiadła Rada Middletown. Burmistrz, handlarz węglem Borchard, właściciel hurtowni Morerti, i kilku innych radnych, spoglądali na przybyłych z Wegi mężczyznę i kobietę, siedzących u końca stołu, którzy byli Administratorami sporego sektora kosmosu, ze wszystkimi znajdującymi się w nim planetami i ich mieszkańcami.

Kiedy Kenniston wszedł na salę, burmistrz Garris utkwił w nim wzrok. Wyglądał, jakby spał nawet jeszcze gorzej niż on, a jego nastrój nie zmienił się ani trochę, od czasu wydarzeń poprzedniej nocy.

– Niech pan ją zapyta, Kenniston – powiedział. Niech pan ją zapyta, czy ta historia o ewakuacji jest prawdziwa.

Przekazał jej pytanie.

Varn Allan potwierdziła głową.

– Tak, to całkowita prawda. Bardzo mi przykro, że Gorr Holl wyjawił to przedwcześnie i bez żadnego przygotowania. Wydaje się, że bardzo was to zdenerwowało.

Spojrzała na złowrogo wyglądające twarze członków Rady Miejskiej i napięte oblicze burmistrza. Kennistona uderzył fakt, że musiała już wcześniej wielokrotnie przechodzić przez podobne sytuacje, z innymi ewakuowanymi planetami, i zaatakowała problem ze swoistą zmęczoną wyrozumiałością i cierpliwością.

– Jestem pewna – powiedziała pojednawczo, – że kiedy zrozumiecie dokładnie o co chodzi, przyznacie mi rację, że ma to służyć jedynie waszym najlepiej pojętym interesom.

– Naszym najlepiej pojętym interesom? – wrzasnął Garris, kiedy to usłyszał. – Dlaczego więc nie powiedzieliście nam o tym, od razu, już na samym początku? Dlaczego planowaliście to wszystko za naszymi plecami?

Norden Lund, z wyrazem zadowolenia na twarzy, powiedział do kobiety:

– Mówiłem ci przecież, że tak będzie najlepiej…

– O tym nie będziemy tutaj dyskutować – błyskawicznie ucięła. Kenniston wyraźnie zauważył na jej twarzy wysiłek, z jakim zdołała utrzymać na wodzy swój przyzwyczajony do władzy temperament. Podjęła dalej kwestię, mówiąc bezpośrednio do niego. – Chcieliśmy poczekać, dopóki nie będziemy mogli zaprezentować pełnego planu ewakuacji, tak abyście się zbyt mocno nie niepokoili.

– Innymi słowy – gniewnie powiedział Kenniston, – potraktowała nas pani, jakby miała pani do czynienia z bandą prymitywnych tubylców, którym trzeba się przez cały czas przymilać.

– A czy wy nie zachowujecie się właśnie w ten sposób? – zapytała Varn Allan. Znów widać było, że z trudem przejęła kontrolę nad swoją irytacją. Przemówiła łagodnie i dokładnie, jak gdyby tłumacząc coś dziecku. – W drodze jest już statek pełen ekspertów od spraw ewakuacji i niedługo powinien tu przybyć. Oni potrafią ocenić potrzeby waszych rodaków, i znaleźć planetę, która będzie pasować do ich wymagań fizycznych i psychologicznych. Sami zobaczycie, że ten wybrany świat będzie tak bardzo podobny do waszej Ziemi z przeszłości, jak to tylko jest możliwe.

– To – słowa Kennistona wręcz ociekały ironią, – naprawdę bardzo miło z waszej strony.

Błękitne oczy kobiety błysnęły w jego stronę otwartą wrogością. Odwrócił się od niej, ponieważ Garris domagał się przetłumaczenia ich rozmowy. Przekazał mu jej słowa, i z powodu własnej urazy, w żaden sposób ich nie złagodził.

Garris zapomniał o sztuce oratorskiej, na fali krańcowego oburzenia. Wycedził ostro:

– Jeżeli oni sobie myślą, że mamy zamiar wynieść się z Ziemi, na jakąś idiotyczną planetę gdzieś w górze, na niebie, to cholernie się mylą! Proszę im to jasno przedstawić!

Kiedy Kenniston to zrobił, Varn Allan wyglądała na naprawdę oszołomioną.

– Ale przecież wasi rodacy z pewnością nie chcą zostać tutaj, w coraz większym chłodzie i surowości tego umierającego świata!

Kenniston obserwując gniew i instynktowny pierwotny lęk, jeszcze silniej narastający na białej twarzy burmistrza, całkowicie potrafił zrozumieć jego uczucia. Jego reakcja, była dokładnie taka sama.

– Nie chcą zostać tutaj? – powiedział Garris, wyduszając z bólem słowa ze ściśniętego emocją gardła. – Nie chcemy? Słuchajcie, wy tam! Musieliśmy opuścić nasze własne czasy. Musieliśmy zostawić nasze miasto, nasze domy. Dosyć tego! To wszystko co jesteśmy w stanie wytrzymać, podczas jednego życia. Zostawić Ziemię, porzucić naszą własną planetę? *Nie*!

W jego słowach, ani zachowaniu nie było teraz żadnej pozy oratorskiej, zupełnie. Po prostu miał wygląd człowieka, od którego właśnie zażądano, żeby umarł.

Kenniston zwrócił się do Varn Allan. Jego głos również nie był całkiem spokojny.

– Proszę spróbować to zrozumieć. Jesteśmy zrodzeni z Ziemi. Całe nasze życie, życie wszystkich pokoleń, które były przed nami, od czasów początku…

Nie był w stanie ubrać tego w słowa, tej nagłej namiętnej jedności z Ziemią.

Ziemia dana przez Niego za siedlisko dla rodzaju ludzkiego… Ziemia, gleba, wiatry i deszcze, wzrost i śmierć przez wieki, zwierząt, drzew i ludzi. Nie mógł tak po prostu o tym zapomnieć. Nie mógł odrzucić dziedzictwa tego świata, tak jakby go w ogóle nigdy nie było.

Brązowowłosy Norden Lund, patrząc pogardliwie na mieszkańców Middletown, powiedział do Varn Allan:

– Ostrzegałem cię, Varn, że te dzikusy są zbyt emocjonalne do tego, aby zastosować zwykłe metody.

Błękitne oczy kobiety były mocno zafrasowane. Zignorowała Lunda i zwróciła się do Kennistona:

– Musisz spowodować, żeby stawili czoła faktom. Życie tu jest niemożliwe, i jedynie dlatego, a nie z jakiegoś innego powodu musicie stąd odejść.

– Niech spróbuje powiedzieć to ludziom – powiedział burmistrz z dziwnym napięciem w głosie. – Nie. Sam im to powiem.

Wstał i opuścił salę obrad. W jego pulchnej postaci widać było teraz jakąś niezwykłą godność. Borchard i Moretti i inni poszli za nim. Oni również odczuwali szarpiący instynktowny strach w stosunku do zaproponowanych im rozwiązań. Wyszli i stanęli na stopniach ratusza. Kenniston, Hubble i dwójka ludzi z gwiazd udała się za nimi.

Na zewnątrz, na placu nadal zebranych było tysiące mieszkańców Middletown, robotników młynarskich, gospodyń domowych, bankierów i księgowych. Starszych ludzi i małych dzieci. Ciągle byli uszczęśliwieni i wznosili wiwaty, wysyłając w górę wielką radosną wrzawę, odbijającą się echem od ścian wieżowców.

Burmistrz Garris wziął w rękę mikrofon, i przemówił przez system nagłaśniający.

– Ludzie, wysłuchajcie mnie uważnie! Ci nowi ludzie tutaj, mówią nam teraz, że powinniśmy opuścić Ziemię. Powiedzieli nam, że dadzą nam lepszą planetę, gdzieś w kosmosie, pośród gwiazd. Co wy na to? Czy chcecie stąd odejść… odejść z Ziemi?

Na długie chwile zapadła kompletna cisza, podczas której Kenniston widział, jak twarze mieszkańców Middletown stają się coraz bardziej zbite z tropu i niedowierzające. Patrzył również na otwartą twarz Varn Allan i zauważył, że pokrywający ją cień zmęczenia, był coraz głębszy. Ponownie zdał sobie sprawę, że spoglądają tu na siebie nawzajem, dwie epoki i dwie zupełnie różne filozofie życia. Wiedział jak trudne będzie ich wzajemne zrozumienie.

Kiedy, w końcu, tłum mieszkańców Middletown, podchwycił sugestię, wyraził swoją odpowiedź w postaci narastającego chóru okrzyków.

– Odejść stąd, i mieszkać gdzieś tam na górze? Powiedzcie, czy ci ludzie kompletnie powariowali?

– Wystarczająco złą sprawą było odejście z Middletown do tego miejsca! Ale zostawić *Ziemię*?!

Wysoki, barczysty, mocno zbudowany człowiek, w którym Kenniston rozpoznał Laubera, jednego z kierowców ciężarówek McLaina, wspiął się na stopnie i powiedział głośno do burmistrza:

– O czym my w ogóle mówimy? O co w tym wszystkim chodzi? Przecież robimy tutaj postępy, i jest już całkiem w porządku. Dlaczego mielibyśmy chcieć odejść na Księżyc, czy gdzieś tam indziej?

Burmistrz zwrócił się do dwójki ludzi z gwiazd.

– Widzicie? Moi rodacy nie mają nawet zamiaru słuchać o tym całym pomyśle, dłużej niż przez chwilę!

Kenniston powiedział kobiecie:

– Ludzie kompletnie odrzucają tę całą propozycję.

Varn Allan spoglądała na niego ze szczerym zaskoczeniem.

– Ale to nie jest żadna propozycja… to formalne polecenie Rady Gubernatorów! Rekomendowałam tę ewakuację, a oni ją zaaprobowali!

Kenniston sucho odpowiedział:

– Niestety, nasi rodacy nie uznają żadnej władzy, poza ich własnym rządem, a więc to polecenie nie ma dla nich żadnego znaczenia.

Kobieta wyglądała na wręcz przerażoną:

– Ale nikt nie może przeciwstawiać się Gubernatorom! Oni są ciałem wykonawczym, całej Gwiezdnej Federacji!

Gwiezdna Federacja? Te słowa niosły w sobie odgłos odległego grzmotu, i ponownie Kenniston uświadomił sobie trudny do ogarnięcia, oszołamiający ogrom cywilizacji, której reprezentantami byli ta kobieta i ten mężczyzna.

Odparł z nutą irytacji:

– Czy nie możecie zrozumieć, że dla tych ludzi, gwiazdy są po prostu punkcikami światła na niebie? Że te wasze słońca, planety i ci Gubernatorzy, kompletnie nic dla nich nie znaczą?

Norden Lund wybrał tę właśnie chwilę, aby się wtrącić. Gładko zaproponował Varn Allan:

– Być może, w przypadku wystąpienia impasu tej natury, powinniśmy skonsultować się z centrum Rządowym?

Posłała mu gorące spojrzenie.

– Chciałbyś, abym robiąc to, przyznała się do mojej niezdolności rozwiązania tego problemu. Nie. Przeprowadzę tę sprawę do końca, a po tym wszystkim, będę miała kilka słów do powiedzenia Gorrowi Hollowi, za przedwczesne uruchomienie biegu rzeczy.

Odwróciła się do Kennistona i powiedziała:

– Wasi rodacy muszą zrozumieć, że nie robimy tego z powodu jakiegoś naszego okrucieństwa. Proszę im wytłumaczyć, jakie życie będą musieli prowadzić na tej martwej planecie — w izolacji, niepewne, pełne zmagań z rosnącymi trudnościami, bez żadnych perspektyw na przyszłość, poza ostateczną perspektywą stopniowego wymarcia i czystej desperacji. Być może wtedy uświadomią sobie, że to o co mnie proszą, oznacza opuszczenie ich i pozostawienie samych sobie stojących przed bardzo czarnym przeznaczeniem.

– Być może – odparł Kenniston, – ale tak specjalnie to bym na to nie liczył. Jeszcze nas słabo znacie. Ogólnie rzecz biorąc, nie jesteśmy tacy miękcy, nie dajemy się również łatwo nastraszyć.

Ostatnią kwestię powiedział nieco odpychająco, ponieważ ze słów Varn Allan przebijała prawda. Prawda, którą dostrzegał, ale której nie chciał uznać.

Zmierzyła go wzrokiem, tak jakby chciała ocenić jego determinację, a poprzez niego determinację całego Middletown. Potem powiedziała bardzo spokojnie:

– Chciałabym, żebyście sobie dobrze zakonotowali w głowach, że formalny dekret wydany przez Radę Gubernatorów, jest aktem prawnym, który musi być respektowany, i do którego należy się stosować. Rozkaz ewakuacji został wydany, i zostanie ona przeprowadzona.

Kiwnęła głową na Lunda, który wzruszył tylko ramionami i udał się razem z nią na dół. Zeszli ze stopni ratusza i przemierzyli plac. Mruczący tłum był zaniepokojony i zbity z tropu. Nie wykazywał jednak jeszcze objawów wrogości, rozchodząc się na boki, aby ich przepuścić.

Kenniston odwrócił się w stronę Hubble'a.

– I co teraz zrobimy? – zapytał, ale starszy mężczyzna pokręcił tylko bezradnie głową.

– Nie wiem. Wiem jednak to, czego *nie wolno* nam zrobić. Nie wolno nam dopuścić do żadnych gwałtownych czynów. Ich skutki byłyby fatalne. Musimy spróbować uspokoić ludzi zanim przybędzie ten zespół ewakuacyjny i wszystko stanie na głowie.

Przez resztę dnia Kenniston robił co tylko mógł. Powtarzał apel Varn Allan o zrozumienie, ale puszczany był on mimo uszu. Miasto funkcjonowało dalej, mieli światło i wodę, nie byli już samotni we wszechświecie, a codzienne życie wydawało się teraz całkiem znośne. Z nieodpartym optymizm, charakterystycznym dla ludzkiej rasy, wszyscy byli przekonani, że w przyszłości są w stanie uczynić je nawet jeszcze lepszym. I nikt nie miał zamiaru opuszczać Ziemi. To było tak, jakby ich pytać o opuszczenie własnych ciał.

Przeżycie szoku utraty swoich czasów i stylu życia jaki prowadzili, było już wystarczająco trudne do zniesienia. Kenniston zdawał sobie sprawę, że następny taki wstrząs, mógłby ich zupełnie załamać, chyba że jego siła zostałaby jakoś choć trochę złagodzona. Jak na razie utrzymali przecież także swoje stare miasto, ciągle było ono tutaj, tuż za wzgórzami, niemal w zasięgu ich wzroku. Mogło więc im służyć jako zakotwiczenie dla pamięci. Do pewnego stopnia przenieśli ze sobą również swoje czasy, ponieważ życie w nowym obcym mieście zostało, tak bardzo jak to tylko było możliwe, osnute wokół stylu życia w starym Middletown. Pozwoliło im to na przekonanie samych siebie, że zbudowali kopię swojej zwykłej codziennej egzystencji. Było to bardzo trudne, ale udało im się to zrobić. Nie mogli więc teraz, tak zupełnie od razu, odrzucić tego wszystkiego i ponownie zaczynać od początku, w jakimś nowym miejscu, w dodatku całkowicie odmiennym od tego wszystkiego, co kiedykolwiek znali.

Kenniston doskonale zdawał sobie sprawę, że nie chodziło tylko o atawistyczną chęć trzymania się Ziemi, która ich zrodziła. To nie był jedyny powód, dla którego odrzucali z taką gwałtownością ideę jej opuszczenia. Chodziło również fizyczny i instynktowny strach przed wejściem na pokład statku zupełnie nieznanego typu, i wyruszenia w nim gdzieś ponad niebiosa, w… no właśnie, gdzie? W noc i w nicość, w szalone otchłanie, rozciągające się w nieskończoność, mając za drogowskazy jedynie zimne światła gwiazd. Zostawiając Ziemię, tę solidną, zrozumiałą, chroniącą życie Ziemię, tracąc ją na zawsze! Nawet jego własny umysł cofał się przed szczegółową analizą tej kwestii. Dlaczego ta kobieta nie mogła tego pojąć? Dlaczego nie mogła zrozumieć, że ludzie, dla których nawet samochód był ciągle stosunkowo świeżym wynalazkiem, po prostu nie byli psychologicznie zdolni do wyruszenia w kosmos!

Wielki statek wznosił się nad równiną, i tego dnia przez całe południe i wieczór, ludzie z niepokojem zbaczali w kierunku ściany kopuły, aby na niego popatrzeć, stojąc w małych grupkach wymienić kilka gniewnych uwag, i wrócić do centrum. Ulice szumiały na wpół słyszalnym szmerem głosów i krzątaniny. Na placu zbierały się tłumy ludzi. Oddział żołnierzy Gwardii Narodowej, w pełnym oporządzeniu, pomaszerował ulicami, aby ustanowić straż przy portalu. Przygnębiony i zmęczony i niemal chory ze zmartwienia Kenniston uznał w końcu nieodwracalność biegu wypadków i poszedł porozmawiać z Carol.

Wiedziała oczywiście o wszystkim. Chyba wszyscy w Nowym Middletown wiedzieli. Obrzuciła go osaczonym, na wpół zgorzkniałym spojrzeniem, które pojawiało się w jej oczach coraz częściej i częściej, od tego czerwcowego dnia, w którym skończył się ich świat, i zapytała:

– Oni nie mogą tego zrobić, prawda? Nie mogą nas zmusić do odejścia?

– Wydaje im się, że robią to dla naszego dobra – odparł. – To tylko kwestia tego, aby zrozumieli, że są w błędzie.

Zaczęła się śmiać, po cichu. W jej śmiechu nie było ani krztyny radości.

– Nigdy nie będzie temu końca – powiedziała. – Najpierw musieliśmy opuścić Middletown. Teraz musimy opuścić Ziemię. Dlaczego nie zostaliśmy w naszych domach, aby spokojnie tam w nich umrzeć, jak przyzwoici ludzie, jeśli już tak miało być? To wszystko od samego początku było kompletnym szaleństwem, to miasto, a teraz…

Przestała się śmiać. Spojrzała na niego i spokojnie stwierdziła:

– Ja nigdzie stąd nie odejdę, Ken.

– Nie jesteś jedyną, która myśli w ten sposób – tłumaczył jej Kenniston. – Musimy ich o tym przekonać. – Niepokój nie pozwalał mu usiedzieć w miejscu. Wstał więc i powiedział: – Chodźmy na spacer. Oboje od razu poczujemy się lepiej.

Wyszła z nim w narastający zmrok. Światła były już włączone, wspaniała jasność, którą powitali z taką radością. Spacerowali, niewiele mówiąc do siebie, każde z nich było przytłoczone własnymi myślami. Kenniston był boleśnie świadomy istnienia bariery, którą teraz wyczuwał między nimi niemal zawsze, nawet wtedy, kiedy się w czymś zgadzali. Panujące między nimi milczenie, nie było wyrazem zrozumienia, ale milczeniem pomiędzy dwoma umysłami, które mogą się komunikować między sobą jedynie przy pomocy słów.

Bezwiednie zboczyli do tej części kopuły, przez którą widać było odległy statek międzygwiezdny. Niepokój w mieście narastał coraz bardziej, drżało nim już nawet powietrze. Wokół portalu zebrał się niewielki tłumek. Nie podeszli w jego pobliże. Poprzez zakrzywioną, przeźroczystą ścianę kopuły, oświetlony kadłub *Thanis*, widoczny był jedynie jako rozmyta jasna plama. Carol zadrżała i odwróciła się do tyłu.

– Nie chcę na niego patrzeć – powiedziała z niechęcią. – Chodźmy z powrotem.

– Poczekaj – przerwał jej Kenniston. – Tam jest Hubble.

Starszy mężczyzna zauważył go i zaczął kląć.

– Już myślałem, ze zapadłeś się pod tę cholerną ziemię. Ganiam za tobą po całym mieście – powiedział. – Ken, ten skończony kretyn, Garris, dostał kompletnego fioła, i zwołuje ludzi, żeby wszyscy ruszali do walki. Musisz pójść ze mną, i pomóc mi go uspokoić!

Kenniston rzucił gorzką uwagę:

– I dziwić się tu, że Varn Allan uważa nas za bandę dzikusów! Och, w porządku, już idę. Po drodze odprowadzimy cię do domu, Carol.

Ruszyli z powrotem przez ulice, niestrudzenie przepięknie oświetlane, spokojnym białym światłem, przez stojące przy nich wieżowce. Jednak znajdujący się na tych ulicach ludzie, małe nerwowe grupki, gorączkowe dyskusje, zatroskane twarze, gniewne pytania i wykrzykniki, wszystko to zupełnie nie pasowało do tego nadnaturalnego niemal spokoju.

Panujące w mieście uczucie napięcia, wydawało się wzmagać. Przez ulice przebiegała słaba wrzawa. Ludzie wołali do siebie, krzyk rozchodził się coraz szerzej, ręce wskazywały na coś w górze, białe twarze po kolei unosiły się i spoglądały na spód wielkiej, rozwieszonej nad ich głowami kopuły.

– Co… zaczął niecierpliwie Hubble, ale Kenniston go natychmiast uciszył.

– Słuchaj!

Zaczęli nasłuchiwać. Poprzez rosnący coraz bardziej gwar głosów, dobiegł ich odgłos, który jak do tej pory, słyszeli tylko raz w życiu. Była to bardziej wibracja niż odgłos, głęboki dudniący dźwięk dochodzący z nieba, zbyt potężny, aby mogła go zdusić nawet kopuła.

Schodził coraz niżej, i był coraz głośniejszy, i jeszcze głośniejszy, a potem całkiem nagle ucichł. Wszyscy ludzie biegli teraz w kierunku portalu, a słowa które wykrzykiwali płynęły w odwrotną stronę.

– Kolejny statek międzygwiezdny – powiedział Kenniston. – Przyleciał kolejny statek międzygwiezdny.

Twarz Hubble’a stała się szara i pociągła.

– Zespół ewakuacyjny. Powiedziała przecież, że wkrótce przyleci. A całe to miasto stoi na krawędzi wybuchu. Ken, to na pewno oni!

Rozdział 13: Miasto pod bronią

Kenniston wpatrywał się w Hubble'a ze ściśniętym sercem, nasłuchując coraz gwałtowniejszej reakcji miasta. Carol coś zaczęła mówić, a jej słowa dobiegały do niego, jakby z dużej odległości.

– Nie przejmuj się mną, Ken. Wrócę sama do domu.

– Tak – odparł. – Obawiam się, że musimy natychmiast pójść i powstrzymać zapędy burmistrza… Nie wychodź sama na ulicę, Carol.

Szybko pocałowała go w policzek, odwróciła się i natychmiast odeszła. Kenniston zawahał się, czując że powinien pójść razem z nią, ale Hubble już ruszył dalej i nie było czasu na konwenanse. Pomimo wszystko, nie było niebezpiecznie… jeszcze nie.

Razem z Hubblem zostali złapani przez tłum. Ludzie przepływali obok nich, idąc w przeciwną stronę, w kierunku portalu. Wszyscy byli wystraszeni i wojowniczo nastawieni, oczy świeciły im trochę zbyt jasno, a głosy były nieco zbyt podniesione. Po przedarciu się przez tłum, Kenniston i Hubble puścili się niemal biegiem, ale i tak dotarcie na plac przed ratuszem, zajęło im kilka minut. Kiedy się na nim znaleźli, z budynku rządowego, wyskoczyły jeepy załadowane żołnierzami Gwardii Narodowej i podskakując pomknęły aleją. Hubble jęknął, ponieważ mężczyźni opatuleni byli aż po same oczy w grube ubrania.

– Oni idą na zewnątrz. Co, u diabła, ten idiota ma zamiar zrobić?

Pogonili w górę po stopniach ratusza, a potem wpadli do budynku. W pomieszczeniu Rady, znaleźli burmistrza, Borcharda, Morettiego i większość pozostałych radnych. Garris chodził w górę i w dół, a jego oczy lśniły odwagą wywodzącą się z lęku. Kiedy Hubble i Kenniston weszli do środka, burmistrz odwrócił się w ich stronę. W jego spojrzeniu widoczna była osobliwa pustka, wskazująca na zupełną utratę rozsądku. Kenniston stracił resztki nadziei, jaką miał przybywając tutaj.

– A więc będą próbowali przegonić nas z Ziemi – powiedział Garris. – Dobrze, zobaczymy! Zobaczymy jeszcze jak daleko uda im się to pociągnąć! – Jego głos lekko się trząsł, a pulchne dłonie były zaciśnięte. – Powołałem pod broń wszystkie jednostki Gwardii Narodowej, czy widzieliście te jeepy? Są w drodze do starego Middletown, aby przywieźć uzbrojenie polowe ze Zbrojowni. Działa, Hubble, działa! To jedyny sposób, żeby pokazać im, że nie mogą nam rozkazywać, tak jak wszystkim innym dookoła!

– Ty głupcze! – odparł Hubble. – Och, ty skończony głupcze! – Wyzywanie burmistrza od głupców, było już musztardą po obiedzie, i Hubble szybko zdał sobie z tego sprawę. Borchard warknął na niego ostro:

– Burmistrz działa przy naszej pełnej aprobacie. Niech pan posłucha, Hubble, proszę trzymać się swojej nauki, a my zajmiemy się rządzeniem!

– To prawda – powiedział Moretti. Powtórzył to dwa albo trzy razy, a pozostali członkowie rady poparli go gorliwie.

Hubble stawił im czoła.

– Posłuchajcie mnie! – powiedział. – Wszyscy tak poślepliście ze strachu, że nie widzicie przed czym stoicie. Broń! Cała ta broń, jaką macie, w konfrontacji z tym, co oni mogą wykorzystać przeciw nam, jeśli tylko będą chcieli, znaczy mniej więcej tyle samo co pistolety zabawki dla dzieci. *Ci ludzie podbili gwiazdy*, czy wy tego nie możecie zrozumieć? Żeby podbić nas siłą, nie potrzeba im niczego więcej, niż choćby ten emiter promieni, który mają na statku. A przemoc, może jedynie ich rozzłościć i skłonić aby to zrobili!

Garris przysunął swoją twarz blisko twarzy Hubble'a.

– Pan się ich boi – oświadczył. – My nie będziemy. Będziemy walczyć!

Rada odpowiedziała owacją.

– W porządku – powiedział Hubble. – dalej, proszę. Nie ma sensu dyskutować z idiotami. Jedyna szansa, jaką mieliśmy aby wygrać tę sprawę, polegała na tym, że będziemy zachowywać się jak ludzie cywilizowani. Mogliby nas wtedy wysłuchać, i respektować nasze uczucia. Ale teraz… - wykonał ręką gest rezygnacji, a burmistrz parsknął gniewem.

– Gadanie! Dużo dobrego przyszło z tego pańskiego gadania. Nie, drogi panie! Załatwimy to naszym sposobem, a pan będzie jeszcze wdzięczny, że pański burmistrz i pańska Rada, nie zapomnieli jak należy bronić praw ludzi!

Jego głos podniósł się niemal aż do krzyku, mającego zanieść jego ostatnie słowa do uszu Hubble'a, który zaraz po swoich słowach wyszedł z Kennistonem z sali.

Na zewnątrz, na placu, Kenniston nagle zaproponował:

– Jest tylko jedna rzecz, jaką możemy zrobić. Musimy porozmawiać z Varn Allan. Gdyby ona zgodziła się choć na chwilę powstrzymać swoje psy, sprawy mogłyby się jeszcze uładzić. – Pokręcił głową, wykrzywiając twarz. – Z najwyższą niechęcią muszę przyznać rację tej blond biurokratce, że jesteśmy rządzeni przez bandę głupkowatych dzieciaków, ale…

– Nie możesz ich tak naprawdę winić – odparł Hubble. – My jesteśmy jak dzieci, stojące przed czymś nieznanym, i ponieważ nie możemy uciec i ukryć się gdzieś w bezpiecznym miejscu, musimy więc walczyć. Tyle tylko, że oni wybrali niewłaściwy sposób postępowania. – Ciężko westchnął. – Wyjdź na zewnątrz i idź na ten statek, Ken. Zrób, co się da. Wracam do środka zmagać się dalej z Jego Honorowością. Oby mi tylko starczyło cierpliwości… No dobrze, powodzenia.

Wrócił do ratusza, a Kenniston ponownie skierował swoje zmęczone kroki w stronę portalu.

Tłum od czasu gdy go widział po raz ostatni, niemal się podwoił. Tłoczył się i kręcił wokół portalu, rozprzestrzeniając się po obu jego stronach wzdłuż ścian kopuły. Na zewnątrz, na równinie, jaśniały światła obu statków, obserwowane uważnie przez ludzi. Przez tłum przebiegały ciche szmery, jakby pierwsze pomruki wiatru przed burzą. Kompania gwardzistów w pełnym wyposażeniu, zajęła posterunek w portalu, tworząc oliwkowo szarą barierę z widocznym z przodu ciemnym błyskiem karabinów.

Kenniston podszedł do nich. Kiwnął głowa kilku ludziom, których znał i powiedział:

– Wychodzę na zewnątrz, do statków. Ważne rozmowy – i usiłował przejść przez linię. Zatrzymano go jednak.

– Rozkazy burmistrza – powiedział porucznik. – Nikt nie wyjdzie na zewnątrz. Tak, wiem kim pan jest, panie Kenniston! Ale mam swoje rozkazy. *Nikt* nie wyjdzie na zewnątrz.

– Proszę posłuchać – powiedział Kenniston, rozpaczliwie próbując wymyślić jakieś kłamstwo. – To burmistrz mnie wysłał. Idę tam na jego polecenie.

– Proszę przynieść mi pisemny rozkaz – odparł porucznik, – to wtedy możemy o tym porozmawiać.

Linia karabinów i obojętnych ludzi pozostała niewzruszona.

Kenniston przez moment rozważał przebicie się siłą, ale od razu dał sobie z tym spokój. Porucznik obserwował go podejrzliwie, tak podejrzliwie, że Kennistonowi nagle przyszły do głowy pewne nieprzyjemne myśli. Blisko współpracował z ludźmi z gwiazd i mówił ich językiem, a więc całkiem możliwe, że dobrzy ludzie z Middletown mogliby go wziąć za zdrajcę, albo za szpiega…

– *Jeśli* wysłał pana burmistrz – powiedział porucznik, – to z pewnością da panu taki rozkaz.

Kenniston poszedł z powrotem do ratusza. Resztę nocy spędził na poszukiwaniach Hubble'a, krążąc wokół strzeżonych drzwi budynku, za którymi burmistrz, Rada i wyżsi oficerowie Gwardii Narodowej opracowywali plan kampanii.

Wkrótce po świcie, w pośpiechu przybiegł ordynans i został wpuszczony do strzeżonych pomieszczeń. Po chwili burmistrz, Rada i oficerowie wyszli na zewnątrz. Garris z wymizerowaną twarzą, ciężkimi oczyma, ale tryumfujący, pochwycił spojrzenie Kennistona i powiedział:

– Proszę pójść z nami. Będziemy potrzebować tłumacza.

Czując się staro i tracąc resztki nadziei, Kenniston podniósł się i dołączył do małej procesji. Nagle koło niego pojawił się Hubble i szepnął:

– Mów krótko, Ken. Twoja znajomość języka jest jedynym asem, jakiego mamy w rękawie.

Dotarli do portalu, mniej więcej w tym samym czasie, co grupa przybyła ze statków międzygwiezdnych. Varn Allan i Lund byli jedynymi osobami z tej grupy, których Kenniston rozpoznał. Wśród pozostałych, była jedna niemłoda już kobieta oraz grupa mężczyzn w różnym wieku. Wpatrywali się, bardziej ze zdziwieniem niż z obawą, w stojący przed nimi szereg żołnierzy. Varn Allan zmarszczyła brwi.

Burmistrz podszedł aż do niej, ponieważ szereg rozstąpił się, aby pozwolić przejść jemu i jego świcie. Zmęczony, wynędzniały mały człowieczek, święcie przekonany o swojej własnej mądrości, czujący się bezpiecznie mając za plecami wielu ludzi, i dzięki temu zebrawszy się na odwagę, pomimo wszystkich włosów stających mu na głowie dęba, stanął twarzą twarz z przybyszami z gwiazd i polecił Kennistonowi.

– Proszę im powiedzieć, że to nasza planeta i to my tutaj wydajemy rozkazy. Niech pan im każe, aby wsiedli w swoje statki i stąd odlecieli. Proszę poinformować ich, że to jest ultimatum, które w razie potrzeby, jesteśmy przygotowani aby wymusić siłą.

Stojący za nim tłum rykiem wyraził swoją aprobatę.

Na twarzach ludzi z gwiazd, pokazało się niewielkie zaniepokojenie. Ten wyjący tłum, uzbrojeni żołnierze i nieprzychylne nastawienie burmistrza, musiało wzbudzić w nich wątpliwości. A jednak Varn Allan przemówiła do Kennistona całkiem spokojnie, ledwie odczekawszy zanim aż skończy burmistrz.

– Czy mógłby pan zrobić dla nas przejście? – Wskazała na przybyszów, którzy z nią przyszli. To są urzędnicy, kierujący dużym zespołem ekspertów do spraw masowych migracji. Ich zadaniem jest rozpoczęcie wstępnego planowania ewakuacji, i wasza współpraca jest naprawdę bardzo istotna…

Kenniston przerwał jej:

– Proszę posłuchać – powiedział. – Proszę zabrać stąd tych pani urzędników i wracać na swoje statki.

Tłum zaczął przesuwać się nieco do przodu, napierając na szereg żołnierzy. Słychać było nawet pojedyncze okrzyki dobiegające z jego strony, gniewne, stające się coraz bardziej groźnym kontrapunktem dla półtonu pomruków. Burmistrz nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– No i jak, powiedział jej pan? – naciskał. – Co ona mówi? Czy pan jej powiedział?

Kenniston krzyknął:

– Proszę wracać na swoje statki, i to szybko! Czy pani nie widzi, ze ten tłum w każdej chwili może wyrwać się spod kontroli?

Ale Varn Allan ciągle jeszcze wydawała się nie rozumieć powagi sytuacji.

– Szkoda czasu na dalszą dyskusję – powiedziała, jak gdyby jej cierpliwość była już na wyczerpaniu. – Przybyliśmy tu na bezpośrednie polecenie Rady Gubernatorów, i jesteśmy zmuszeni was prosić…

Wyraźnie wymawiając każde słowo, Kenniston powiedział:

– Próbuję właśnie zapobiec przemocy. Proszę teraz wracać na swoje statki, później wyjdę na zewnątrz i z wami porozmawiam.

Wpatrywała się w niego z kompletnym zaskoczeniem.

– *Przemocy*? – powiedziała. Powtórzyła ponownie – Przemocy? Przeciwko urzędnikom Federacji?

Przebiegło mu przez głowę, że to pewnie jest coś, czego nigdy jeszcze nie widziała, ani o czym nie słyszała. W momentalnej ciszy, jaka zapadła między nimi, gniewny pomruk tłumu stał się jeszcze głośniejszy. Nagle Norden Lund roześmiał się głośno.

– Mówiłem ci, że przyjęłaś niewłaściwy sposób postępowania z dzikusami – powiedział. – Lepiej już stąd chodźmy.

– Nie! – Czująca się bezpiecznie w swojej dumie, we władzy powierzonej jej przez Gwiezdną Federację, w swoich nie raz już okazanych zdolnościach Administratora, Varn Allan nie miała zamiaru uciekać przed okrzykami motłochu. Zwróciła się do Kennistona, a jej głos nawet nie zadrżał i był ostry jak stalowy nóż.

– Wydaje mi się, że ciągle tego nie rozumiecie – powiedziała. – Kiedy polecenie wydawane jest w imieniu Rady Gubernatorów, to musi ono zostać wykonane. Proszę więc poinformować o tym waszego burmistrza, i zażądać od niego aby rozproszył swoich rodaków. I to natychmiast!

Kenniston zacisnął pięści i jęknął:

– Na rany Chrystusa… – zaczął mówić, ale wtedy burmistrz, ten krańcowo już zaniepokojony, znajdujący się w wywołanym strachem wojowniczym nastroju człowiek, przyłożył iskrę do gotowej już kupki prochu.

– Ma im pan powiedzieć, że lepiej niech się stąd wynoszą i to w podskokach! – krzyknął łamiącym się głosem, ale dostatecznie głośno, aby słyszały go wyraźnie przednie szeregi tłumu. – Proszę powiedzieć, żeby się wynosili, albo sami ich wyrzucimy!

– Wyrzucić ich stąd! – wrzasnął jakiś głos z tłumu, potem następny i setka innych. – Wyrzucić ich stąd! – Ryk tłumu wzmógł się do poziomu spazmatycznego wycia. Olbrzymia masa mężczyzn oraz kobiet runęła do przodu przez portal, i żołnierze, nawet gdyby chcieli, nie byliby w stanie ich powstrzymać.

Kenniston uchwycił jakby w migawce, przelotny widok twarzy stojących wokół ludzi. Urzędniczka Federacji w średnim wieku, z otwartymi gotowymi do krzyku ustami, niedowierzające oczy mężczyzn, którzy nie mogli dać wiary temu co widzą, policzki Varn Allan płonące nagłym rumieńcem gniewu, cofający się już wcześniej Lund, istne studium połączenia strachu i tryumfu.

Varn Allan zdążyła jeszcze powiedzieć:

– Jeśli ośmielicie się chociaż tknąć urzędników Federacji…!

– Wszyscy z powrotem na statki! – wrzasnął Kenniston. – *Z powrotem*!

Pierwsza fala tłumu ruszyła na nich, z krzykiem, wygrażaniem pięściami i tupotem nóg. Z wyciem rzucili się na Varn Allan, ponieważ to ona była przywódczynią. Kenniston dostrzegł niebezpieczeństwo. Chwycił ją za nadgarstek i ciągnąc za sobą, zaczął uciekać w kierunku *Thanis*. Pozostali urzędnicy, włączając w to Lunda, również wzięli nogi za pas. Zdumiewające było, w jakim tempie potrafili biec.

Ciągnął Varn Allan za sobą, i przez kilka sekund w ogóle mu się nie opierała. Dopiero później zdał sobie sprawę, że to musiał być pierwszy akt przemocy fizycznej, z jakim się w życiu spotkała, oraz że początkowo była nim za bardzo zaskoczona, aby nawet pomyśleć o oporze.

Wtedy jednak, w pewnym momencie, głośno krzyknęła:

– Proszę mnie puścić!

I mocno się zaparła piętami w piachu.

Skłębiony tłum gonił tuż za nimi, i nie było czasu na uprzejmości. Kenniston szarpnął ją za nadgarstek, gwałtownie wytrącając z równowagi, i zaczął biec dalej, po prostu wlokąc ją za sobą. Wtedy jednak, gdy kadłub *Thanis* wznosił się już całkiem blisko przed nimi, na luźnym piachu ześlizgnęła mu się noga, potknął się i Varn uwolniła się od niego gwałtownie wykręcając mu rękę.

W tym momencie, kiedy poślizgnął się na zdradzieckim piasku, Kenniston zauważył pierwszy blady błysk promienia wyskakujący ze statku. Omiótł przedpole szerokim łukiem, wzbudzając nagły zgiełk w pędzącym tłumie. A potem trafił również jego, i tym razem szok był bardzo mocny. Upadł do przodu, twarzą w piasek i leżał jak martwy, zupełnie nieruchomo, tracąc przytomność.

Odzyskał świadomość, leżąc płasko na brzuchu w koi, a silne palce Gorra Holla masowały jego centra nerwowe wzdłuż kręgosłupa. Jęknął głośno i Capellanin z ulgą wykrzyknął:

– Dzięki bogom, zaczynasz dochodzić do siebie! Pracuję nad tobą już od dobrych kilku godzin!

Kenniston usiadł, krzywiąc się z bólu. Znajdował się w małej, pozbawionej okien kabinie, wyposażonej w biurko i krzesło, zaprojektowane z uwzględnieniem olbrzymich rozmiarów cielska Gorra Holla. Zaświtało mu więc w głowie, że musi być na pokładzie *Thanis*.

– Jak się tutaj dostałem? – zapytał niewyraźnie. Mówienie sprawiało mu poważne trudności. Jego język był nadal, podobnie jak i reszta ciała, zupełnie odrętwiały i kołkowaty.

– To Varn Allan cię przyniosła. Uświadomiła sobie po chwili, że próbowałeś tylko wyciągnąć ją z kłopotów, i powalenie cię na ziemię, było pomyłką. Chciała cię doprowadzić do stanu używalności, tak szybko, jak to tylko było możliwe.

Kenniston był zbyt kołowaty, aby silić się na sarkazm. Znowu jęknął i wymamrotał:

– Co się działo potem, Gorr?

– Mnóstwo rzeczy, i niestety wszystkie złe. Spójrz tylko tutaj. – Trącił przycisk i duży kwadratowy fragment metalowej ściany stał się idealnie przeźroczysty, tak jak okno.

Kennistonowi udało się jakoś stanąć na nogach i wyjrzał przez niego na zewnątrz, na odległą błyszczącą kopułę Nowego Middletown. Natychmiast zobaczył mieszkańców Middletown, uwijających się jak mrówki w brunatnym pyle równiny przed portalem, kopiących transzeje, napełniających i układających worki z piaskiem, przygotowujących linie obronne.

Gorr Holl wyciągnął rękę i wskazał gdzieś na posępne pustkowie, w stronę odległej linii wzgórz. Kenniston spojrzał za jego ręką i zauważył śmiałą małą kawalkadę, która zjeżdżała ze zboczy, przedzierając się ze starego miasta. Dojrzał również okryte siatkami maskującymi działa polowe, całą siłę mobilnej baterii Gwardii Narodowej z Middletown. Małe działka, które przybyły tu aby wyszczekać swoje śmieszne wyzwanie Gwiezdnej Federacji.

Gorr Holl powiedział ponurym głosem:

– Dali nam trzy godziny na spakowanie naszych manatków i wyniesienie się stąd. Akurat tyle czasu, aby mogli ustawić swoją baterię na pozycji. Potem, zagrozili, że rozpoczną ostrzał.

– Głupcy – wyszeptał cicho Kenniston. – Skończeni cholerni głupcy! Miał ochotę zapłakać z dumą, pomimo tego, że doskonale zdawał sobie sprawę z rozmiarów tego całego szaleństwa.

Czas już prawie się kończył. Ci śpieszący się, żeby zaprzodkować swoje działa artylerzyści, wkrótce dotrą do portalu, odwrócą je, i niedługo potem mężczyźni z Middletown rzucą swoje życie na szalę własnej destrukcji.

– Muszę zatrzymać to szaleństwo, Gorr – powiedział z pasją. – Nie wiem jak, ale jakoś muszę to zatrzymać!

Gorr Holl obserwował go dziwnie zdecydowanym, badawczym spojrzeniem. Po chwili powiedział z wahaniem w głosie:

– Jak wiele byłbyś skłonny zaryzykować, żeby podjąć taką próbę? Nie, poczekaj chwilę zanim dasz mi odpowiedź na to pytanie. To nie będzie łatwe. Szczególnie dla ciebie, z twoim przygotowaniem środowiskowym, to na pewno nie będzie łatwe.

– Czy mógłbyś w końcu przejść do rzeczy? – odparł Kenniston. Niemal z zaciekłością uchwycił się tego cienia nadziei. – No, dalej! O co chodzi?

Gorr Holl zaczął wyjaśniać:

– Nie tylko Ziemia jest umierającą planetą. jest jeszcze wiele innych. A my, dzikusy, jak ci już kiedyś mówiłem, trzymamy się pazurami naszych ojczystych światów, tak samo jak i twoi rodacy. Została więc zorganizowana pewna… no cóż, nazwijmy to konspiracją, stworzoną przez prymitywne rasy, której celem jest powstrzymanie masowych migracji. Cały nasz plan koncentruje się wokół procesu, o którym wspominał ci kiedyś Lal'lor, procesu stworzonego przez Jona Arnolda, w celu rewitalizacji martwych światów, który został zakazany przez Federację. Kenniston, moglibyśmy wykorzystać Ziemię jako przypadek testowy!

– Innymi słowy – powoli powiedział Kenniston, – chcesz przyłączyć mnie i moich rodaków do tego ruchu, aby pomóc waszym ludom w zmaganiu się z prawem Federacji?

– Mówiąc całkiem szczerze, tak. Ale to również jest i dla waszej korzyści. Jeśli wygracie, to wy będziecie mieli Ziemię, a my odzyskamy nasze własne światy, na których będziemy mogli dalej żyć. Jeśli przegracie… cóż, nie będziecie przecież w ani trochę gorszej sytuacji, niż jesteście teraz. – Położył swoją wielką łapę na ramieniu Kennistona. – Posłuchaj mnie uważnie. Varn Allan jest właśnie w kabinie łączności telewizyjnej, próbując uzyskać autoryzację z Wegi, dla użycia siły w celu przeprowadzenia swoich rozkazów. Myśl więc szybko, Kenniston!

Kenniston głęboko się zamyślił. To było jak błądzenie z zawiązanymi oczyma, po zupełnie nieznanym labiryncie, ale dało się wyczuć pewne wskazówki, ukryte podskórne prądy niezadowolenia, płynące z gwiazd. Nie miał prawa do tego, aby stawiać na szali swój los i los całego Middletown, w walce o której nie wiedział niemal nic… Ale tam za oknem, gdzie okopy wypełniały się gniewnymi ludźmi, a zakurzone działa toczyły się ze wzgórz coraz bliżej, w jaki sposób tam mogłoby być jeszcze gorzej, niż jest teraz? Jeżeli pomoc, nawet z zewnątrz, dawała jakąś szansę…

– Co mam zrobić? – w końcu zapytał.

Gorr Holl wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze – powiedział. – I pamiętaj, że w tych sprawach będziesz miał sojuszników! Chodź teraz ze mną, powiem ci po drodze.

Rozdział 14: Ostatnia instancja

Wielki Capellanin poprowadził go szybko poprzez labirynt wąskich przejść i zaułków, biegnących poprzez wnętrze *Thanis*. Po drodze nie spotkali nikogo, więc Kenniston domyślił się, że Gorr Holl unika głównych korytarzy.

Przemierzając statek, nawet specjalnie nie przyglądał się temu co mógł zobaczyć wewnątrz. Nie miał zresztą teraz do tego głowy. Jedyne o czym mógł myśleć, to palący pośpiech podjęcia jakichś działań dla odwrócenia nadciągającej wielkimi krokami katastrofy. Jego uszy, jego nerwy, wręcz kuliły się ze strachu, w oczekiwaniu na odgłos pierwszego pocisku wystrzelonego przeciwko *Thanis*. Wiedział, że jest na to za jeszcze wcześnie, ale kolejne minuty upływały tak szybko.

W czasie kiedy szli, Gorr Holl udzielał mu szybkich wyjaśnień.

– Polecenie ewakuacji, zostało wydane przez Radę Gubernatorów, a dokładniej przez jej komitet wykonawczy. Zgodnie z prawem Federacji, przysługuje wam od tego polecenia możliwość odwołania, do Rady Gubernatorów, na sesji plenarnej. Teraz, zapamiętaj to dobrze, Kenniston, nikt nie może wam odmówić tego prawa do odwołania, tak więc nie daj się zrobić w konia, kiedy ktoś będzie ci gadał bzdury, że wam ono nie przysługuje.

Wyszli na zacieniony pomost. Gorr Holl zatrzymał się i wskazał ręką na korytarz, znajdujący się jakieś dziewięć stóp pod nimi. Na jego końcu widać było zamknięte drzwi.

– To jest kabina łączności telewizyjnej. Varn Allan jest właśnie w kontakcie z komitetem. Wejdź tam i złóż swoje odwołanie. Pamiętaj, że jest tam również Lund.

Zniknął, wtapiając się w cienie. Kenniston zszedł zejściówką na dół, do korytarza, a następnie podszedł do znajdujących się na jego końcu drzwi. Pchnął je na próbę, i drzwi otworzyły się pod jego ręką. Wszedł do wysokiego i wąskiego pomieszczenia. Siedzący w środku Varn Allan i Norden Lund, odwrócili się w jego stronę, oboje zaskoczeni i zdziwieni czyimś nagłym wtargnięciem.

Ledwie ich zauważył. Coś innego przyciągnęło jego zdumione spojrzenie, i spowodowało, że stanął jak wryty, zupełnie zesztywniały z wrażenia.

Dwie boczne ściany pomieszczenia, zajęte były przez skomplikowane i kompletnie mu nieznane urządzenia, bez wątpienia działające w sposób automatyczny. Naprzeciw niego znajdowała się trzecia ściana, gigantycznych rozmiarów ekran, wyświetlający tak czysty i ostry obraz, jak gdyby było to okno. *Okno prowadzące do innego świata…*

Przy czarnym plastikowym stole zasiadały cztery osoby. Trzej spośród tam obecnych, byli to ludzie, ubrani w zwykłe marynarki i luźne spodnie. Pierwszy z mężczyzn był już dosyć stary, drugi nieco młodszy od niego, a trzeci, wyglądający ponuro i szorstko w wieku około średniego. Czwartą z siedzących przy stole osób, nie był człowiek. Był to Spikanin, podobny do Magro, porośnięty białym futrem i wyglądający dziwnie kocio, ze swoją wąską grzywą i przystojną, choć nieco okrutną twarzą. Był jednak starszy i wyglądał poważniej niż Magro.

Cała czwórka, spoglądała na niego nieco podobnie do grupy biznesmenów, którym w niegrzeczny sposób przerwano jakieś ważne spotkanie. Wpatrywali się z ekranów na Kennistona, a najmłodszy z ludzi zapytał Varn Allan:

– Kim jest ten człowiek?

Kenniston ciągle stał jak wmurowany, spoglądając teraz obok widocznych na ekranie postaci. Pomieszczenie, które widać było spoza ich sylwetek, było dosyć podobne do tego, w

którym się znajdował, tyle że dużo większe. Było to całe centrum komunikacyjne, pełne pulpitów z przełącznikami i ekranów.

W oknie tego pomieszczenia odległego o bilony mil w kosmosie, Kenniston zauważył wyłaniającą się ścianę jakiegoś tytanicznego budynku. A ponad nim płonął ognisty krąg słońca, nieziemskiego, cudownego, rozlewającego po całym niebie jaskrawy błękitno-biały ogień.

Ponownie rozległ się ostry głos, dobiegający z odległości równej sporej części galaktyki, i dzięki magii współczesnej nauki mknący przez parseki przestrzeni kosmicznej z szybkością większą od światła.

– Varn Allan! Kim jest ten człowiek!

– To jeden z tubylców z Ziemi, sir – odpowiedziała z gniewem, i zwróciła się z kolei do Kennistona: – Nie ma pan prawa tu przebywać! Proszę natychmiast stąd wyjść.

– Nie – powiedział Kenniston. – Nie wyjdę, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia.

– Lund – poleciła Varn Allan, – czy mógłbyś wezwać wachtowych, aby natychmiast go stąd usunęli?

Kenniston lekko zastawił mu drogę.

– Nie robiłbym tego – powiedział.

Lund zastanawiał się. Jego oczy błądziły od zaciśniętej pięści Kennistona, do rozgniewanej twarzy Varn Allan, i rozpalała się w nich coraz większa radość.

– Pomimo wszystko – odparł, – wydaje mi się, że obecnie ten człowiek jest obywatelem Federacji. Czy możemy mu zabronić skorzystania z jego prawa do przemówienia?

Niebieskie oczy Varn Allan, obrzuciły go piorunującym spojrzeniem. Potem zwróciła się do postaci widocznych na ekranie.

– Proszę mi wybaczyć, panowie. Ale być może to jaśniej zobrazuje sytuację, z jaką mamy tutaj do czynienia. Brak jest jakiejkolwiek współpracy ze strony prymitywnych, a mój własny podwładny, przez cały czas ewidentnie usiłuje podkopać mój autorytet.

Ponury mężczyzna, najmłodszy z całej czwórki, powiedział z niecierpliwością.

– To nie jest czas i miejsce na to, aby wysłuchiwać skarg dotyczących przepychanek administracyjnych.

Kenniston z rozjarzonym wzrokiem wpatrywał się w znajdującą się na dalekich planetach Wegi czwórkę istot, która zdawała się trzymać w rękach los Middletown. Zapytał ich twardym tonem:

– Czy panowie stanowią komitet wykonawczy, odpowiedzialny za polecenie ewakuacji?

Najstarszy z obecnych ludzi, odpowiedział mu ze spokojem:

– Nie widzę absolutnie potrzeby aby używać takiego wojowniczego tonu. Tak, to my stanowimy ten komitet. – Spojrzał na Varn Allan. – Ale skoro już i tak nam przerwano, to równie dobrze możemy sobie wyjaśnić tę sprawę tu i teraz.

Varn Allan wzruszyła ramionami, a na twarzy Lunda pojawił się szeroki uśmiech.

Kenniston powiedział więc:

– Przepraszam, ale teraz nie ma teraz czasu na uprzejmości. W ciągu kilku minut moi rodacy rozpoczną ostrzał waszego statku. Nie chcę, aby się to stało. Nie chcę aby ginęli moi rodacy, ani wasi ludzie.

Stary człowiek zaprzeczył.

– Nie będzie żadnego zabijania. Promień paraliżujący, ustawiony na pełną moc, może unieruchomić całą ludność miasta, nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy.

Kenniston przecząco pokręcił głową.

– To może co najwyżej odwlec całą sprawę. Kiedy dojdą z powrotem do siebie, ponownie staną do walki. To jest właśnie coś, co musicie zrozumieć. *Moi rodacy dopóki będą żyli, będą walczyć o pozostanie na Ziemi*!

Wydawało się, że dźwięcząca w jego żarliwym krzyku prawda, głęboko ich ugodziła. A pokryty białym futrem Spikanin, powoli powiedział:

– To może być prawda. Niektórzy z mojej własnej rasy, również wykazują nadal takie nielogiczne przywiązanie do jednej określonej planety.

Lund przemówił głośno, gładkimi i pełnymi szacunku słowami:

– To jest właśnie sedno sprawy, wynikające z podstaw psychologii, które próbuję uświadomić administrator Allan.

Varn Allan odparła lodowatym głosem:

– Jeżeli chciałbyś poczynić jakieś sugestie, to będzie mi bardzo miło je usłyszeć.

– Oczywiście – powiedział Lund, – to zupełnie niemożliwe, aby pozwolić tym ludziom na pozostanie na Ziemi. Taka decyzja, mogłaby stworzyć fatalny w skutkach precedens, dla innych zamierających planet, których ludność musi zostać przesiedlona. Jednak mój pomysł…

Cokolwiek Lund miał zamiar powiedzieć, to przepadło, ponieważ Kenniston go zagłuszył:

– Do diabła z pańskimi pomysłami! – Podszedł nieco bliżej ekranu. – Proszę was o odwołanie wydanego polecenia ewakuacji.

Stary człowiek rozłożył ręce, w wyrazie zniechęconego gestu negacji.

– To absolutnie nie podlega dyskusji.

– A więc – szorstko powiedział Kenniston, – odwołuję się od waszej decyzji do Rady Gubernatorów w pełnym składzie.

To zaskoczyło wszystkich zebranych. Wpatrywali się w niego z niedowierzaniem, a Lund powiedział:

– Proszę, proszę. A więc dzikus poduczył się nieco prawa. – Potem się roześmiał w trochę wymuszony sposób. – Ależ oczywiście… Gorr Holl i jego kumple go wytresowali.

Varn Allan stawiła czoła Kennistonowi.

– To tylko marnowanie czasu – sprzeciwiła się. – Rada Gubernatorów z pewnością podtrzyma naszą decyzję.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości – powiedział ponury, gburowaty człowiek na ekranie. – To tylko najzwyklejszy wybieg, żeby zyskać na czasie.

– Tym niemniej jednak – powiedział Spikanin, spoglądając na Kennistona z lekkim rozbawieniem, swoimi oczami o wąziutkich szparkach źrenic, – jego żądanie jest absolutnie zgodne z prawem.

Stary człowiek westchnął ciężko.

– Tak. – Spojrzał na Kennistona. – Prawo Federacji zmusza mnie do przyznania panu prawa do odwołania. Ale chciałbym pana ostrzec, ze administrator Allan ma rację. Rada z pewnością zatwierdzi naszą decyzję.

– Do czasu, kiedy to nie nastąpi – naciskał Kenniston, domagam się, aby panowie wycofali z Ziemi statki, które spowodowały tę krytyczną sytuację.

Stary człowiek niechętnie skinął głową.

– To również jest żądanie zgodne z prawem. Statki chwilowo zostaną odwołane na Wegę. A pan przyleci na jednym z nich, ponieważ wszystkie odwołania do Rady Gubernatorów, muszą być przedstawiane przed nią osobiście.

Przedstawiane osobiście? Znaczenie tych dwu banalnych słów, uderzyło Kennistona, niemal zwalając go z nóg, i zastępując świtającą mu nadzieję, pozbawiającą tchu i bardziej osobistą emocją.

Te dwa słowa oznaczały… one oznaczały konieczność opuszczenia Ziemi, że on, John Kenniston, w pogoni za tą złudną nadzieją, będzie musiał wyruszyć w ciemną otchłań, pokonać połowę usianego gwiazdami wszechświata. Udać się na niewiarygodnie odległą i obcą planetę, aby wygłosić przed obcymi uszami racje Middletown, niemal bez szans na

powodzenie! Już wiedział, co miał na myśli Gorr Holl, mówiąc „… z twoim przygotowaniem środowiskowym, to nie będzie łatwe”.

Suchy głos Varn Allan, zabrzmiał dla niego niemal wyzywająco.

– Czy zgadza się pan polecieć? Proszę o szybką odpowiedź… zostało bardzo mało czasu, na powiadomienie pańskich rodaków, zanim rozpoczną atak.

Wzmianka o zbliżającym się ataku, oznaczającym dla jego rodaków nieodwracalną katastrofę, pozwoliła Kennistonowi odzyskać równowagę. Musiał go powstrzymać, bez względu na cenę czy ryzyko.

Wziął głębszy wdech.

– Tak – odparł. – Tak, polecę.

– A więc w takim razie, administrator Allan – powiedział stary człowiek, – zabierze pani stamtąd swoje statki, w czasie nie dłuższym niż dwie godziny.

Wstał, pokazując, że rozmowa została zakończona.

– Zawiadomię Radę Gubernatorów.

Ekran zrobił się ciemny. Varn Allan popatrzyła na Kennistona i powiedziała:

– Lepiej niech pan już idzie i natychmiast powiadomi o wszystkim swoich rodaków.

Wychodząc, widział, że była bardzo rozgniewana. Jednak Lund wydawał się być dziwnie zadowolony.

Najszybciej jak tylko mógł, Kenniston ruszył z powrotem przez pustynię w kierunku portalu, a z każdym krokiem niewiarygodna rzeczywistość zobowiązania jakie wziął na siebie, huczała mu w głowie.

Musisz odlecieć z Ziemi. Wsadzą cię do statku kosmicznego, w dodatku do tego statku, i po prostu wywiozą z Ziemi, do gwiazd…

Już sama myśl o tym, przyprawiała go o uczucie zawrotu głowy i dreszcz odrazy. Wiedział więc, że musi kontrolować swój umysł, utrzymując go z dala od myśli o tym co może się przydarzyć na tym statku, w kosmosie… Musiał po prostu unikać rozmyślania o przyszłości, ponieważ mogłoby to zbyt silnie na niego oddziaływać.

Na żołnierzy natknął się już spory kawałek przed portalem. Początkowo wystraszeni wycelowali w niego karabiny, ale kiedy go rozpoznali, natychmiast je opuścili. Poza nimi widać było jak pracujące szpadle wzbijają w górę czerwony pył, przygotowując miejsca na przodki artyleryjskie, do których z mozołem wciągano działa.

– Co tam się dzieje? – wykrzyknął do niego sierżant. – Czy te statki mają zamiar atakować? Czy…

– Gdzie jest burmistrz – przerwał mu Kenniston.

– Wycofał się do środka portalu. Wszyscy są tam i czekają.

Kenniston przecisnął się przez nich, przechodząc pomiędzy dwoma na wpół wykopanymi okopami, i po kilku chwilach, tuż za wejściem do kopuły, zobaczył Hubble’a i większość członków Rady otaczających burmistrza Garrisa.

Wydawało się, że za nimi zebrała się spora część mieszkańców Middletown, powstrzymywanych przez bariery ze sznurów. Teraz już nie pokrzykiwali, a ich twarze wyglądały na bardzo zatroskane. Zorientował się, że poprzednia demonstracja siły promieni paraliżujących, ostudziła trochę ich gorące głowy i dała im nieco do myślenia.

Pulchna twarz Garrisa była jeszcze bardziej zmęczona niż przedtem, z widocznymi śladami napięcia. Burmistrz przywitał Kennistona z podejrzliwą, nachmurzoną miną.

– A cóż pana sprowadza do nas z powrotem? Myślałem już, że raczej zostanie pan tam, na zewnątrz, ze swoimi nowymi przyjaciółmi.

Temperament Kennistona, pomimo że przytłoczony przez wagę spraw, którymi musiał się zająć, dał znać o sobie.

– Na rany Chrystusa – warknął w odpowiedzi. – To ja przez cały ten czas walczę o wasze głowy i zgadzam się polecieć na Wegę, aby dalej negocjować, i co mnie za to spotyka… Takie właśnie przyjęcie.

Natychmiast jednak zawstydził się swojego wybuchu i opanował nerwy.

– Posłuchajcie mnie uważnie. Te statki teraz odlatują. Wystartują stąd w ciągu dwóch godzin, a ja polecę razem z nimi. Złożyłem odwołanie od tej całej sprawy ewakuacji do Rady Gubernatorów.

Zapanowała wśród nich zdziwiona cisza. Wszyscy wpatrywali się w niego, a na ich twarzach, poza może twarzą Hubble'a, widać było kompletny brak zrozumienia.

Hubble natomiast wykrzyknął:

– Dobry Boże, Ken… Ty, na Wegę? Ale czy to cokolwiek da?

– Przynajmniej mam taką nadzieję – odparł Kenniston. Zignorował pozostałych i zaczął rozmawiać z Hubblem, starając się mu wszystko szybko wyjaśnić. – Tak więc jest szansa, że uda mi się wszystko wytłumaczyć, tak by zrozumieli nasz przypadek i zostawili nas w spokoju.

Widać było, że burmistrz Garris w końcu zaczął wszystko rozumieć. Jego twarz wyraźnie się zmieniła. Pojawiła się na niej entuzjastyczna nadzieja, która powoli zaczęła świtać również na twarzach Borcharda, Morettiego i innych.

Kenniston uświadomił sobie wtedy, jak bardzo wszyscy zebrani byli zdesperowani przed jego przybyciem. Oni sami, żołnierze i mieszkańcy Middletown, nadal gotowi byli stanąć do walki przeciwko ewakuacji, ale zademonstrowana potęga promieni, pokazała im wyraźnie jej daremność. Zdawali więc sobie sprawę, że muszą stoczyć bitwę, z góry skazaną na porażkę. A teraz on przyniósł im nadzieję co najmniej na znalezienie jakiegoś innego wyjścia z tej sytuacji.

– Cóż, więc – powiedział Garris, trochę niepewnym głosem, – to jest droga, którą przez cały czas chciałem zmierzać. Odpowiednia ścieżka prawna, pokojowa debata… Wszystko potoczyło się inaczej, ale tylko dlatego, że nie mogłem pozwolić na zmuszanie naszych rodaków… – Zerwał się, chwytając Kennistona za rękę. – Zrobi pan tam dla nas wszystko, co tylko się da, Kenniston, wiem o tym! Oni wszyscy tam, nie mogą przecież być tacy uparci, jak ta przeklęta kobieta!

I prawie nieprzytomny z ulgi, Garris odwrócił się i krzyknął do zaniepokojonego tłumu:

– Wszystko w porządku, ludzie! Na razie nie będzie żadnej bitwy! Pan Kenniston ma zamiar polecieć prosto tam, skąd pochodzą ci ludzie, i przedłożyć całą sprawę ich rządowi! Będzie negocjował dla nas uczciwą umowę!

Wybuchły głośne owacje, podczas których intensywne kolory na twarzy burmistrza, zaczęły wracać do swojej poprzedniej bladej barwy, ponieważ przyszedł mu do głowy zupełnie nowy pomysł.

Powiedział więc do Kennistona:

– Ale jeśli ktokolwiek leci tam w kosmos, aby nas reprezentować, to czy może, jako burmistrz… – Kenniston naprawdę go podziwiał, widząc jak walczy ze sobą, aby wygłosić te ostatnie, okropne słowa. – …jako burmistrz, nie powinienem polecieć ja?

Kenniston natychmiast pokręcił przecząco głową.

– Pan jest niezbędny tutaj, panie Garris. A ponadto nie mówi pan ich językiem, a więc z pańskiego wyjazdu nie będzie żadnego pożytku.

– No tak, ma pan rację – zgodził się skwapliwie burmistrz, zaczynając ponownie lżej oddychać. – Oczywiście, że ma pan rację. Tak, tak, to prawda. A więc, Kenniston, co możemy zrobić żeby panu pomóc? Jeśli czegokolwiek…

– Nie, niczego nie potrzebuję – odparł Kenniston. – Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę tylko wziąć parę rzeczy i powiedzieć komuś do widzenia. Hubble, pójdziesz ze mną?

Hubble poszedł. Kiedy szli pośpiesznie w stronę centrum miasta, słyszeli za sobą krzyczącego burmistrza, a potem narastające odgłosy ulgi i radości zebranych ludzi.

Ci wszyscy ludzie widzieli już siebie zwyciężonych w beznadziejnej walce z siłą przed którą nie byli w stanie się obronić. A teraz nagle, okazało się, że żadnej walki nie będzie, statki odlatywały, a jeden z nich miał polecieć w kosmos i przekonać ludzi z gwiazd, aby nie przepychali mieszkańców Ziemi z kąta w kąt, i w ogóle wszystko będzie w porządku!

Kenniston jęknął:

– Chciałbym, żeby nie byli tak cholernie pewni siebie! Przecież to tylko zawieszenie wyroku!

– Jakie są nasze szanse? – zapytał go Hubble. – Tak między nami mówiąc.

– Uczciwie, na Boga, Hubble, nie wiem! Wmieszałem nas w potężne zmagania tajemniczych sił, o których nie wiem jeszcze nawet połowy rzeczy. – Przekazał Hubble’owi to, co powiedział mu Gorr Holl, i dodał jeszcze: – Gorr i humanoidzi wydają się być po naszej stronie, ale być może używają mnie tylko w charakterze przynęty. Tym niemniej, postaram się zrobić co tylko się da.

– Wiem, że zrobisz wszystko – powiedział Hubble. – Chciałbym móc polecieć z tobą… ale jestem za stary i moja obecność jest potrzebna tutaj. – Po chwili dodał: – Kiedy będziesz się pakował, poszukam Carol.

Kiedy pośpiesznie zbierał kilka niezbędnych rzeczy, ponownie uderzył go koszmar nierealności tej całej sytuacji. To wszystko było tak podobne do pakowania się na nocny pociąg do Pittsbourgha lub do Chicago, a nie do przygotowań do wyprawy na drugi koniec galaktyki. To przecież nie mogło dziać się naprawdę…

Kiedy przyszła Carol, widok jej twarzy wcale mu nie pomógł. Była tak blada, że nie było na niej widać żadnych kolorów, a kiedy wziął ją w ramiona i próbował jej wszystko wyjaśnić, w odpowiedzi jedynie wyszeptała:

– Nie, Ken… *nie*! Nie możesz tam lecieć! Nie jesteś taki jak oni… Umrzesz tam w kosmosie!

– Nie umrę, a być może uda mi się pomóc nam wszystkim – próbował ją przekonać. – Carol, posłuchaj… jeżeli będę w stanie to zrobić, jeżeli uda mi się znaleźć dla nas jakieś wyjście, czy pozwoli mi to choć trochę odkupić w twoich oczach, tę naszą pracę, która sprowadziła na Middletown całe to nieszczęście? Powiedz? Czy pozwoli?

Nawet go nie słuchała. Wpatrywała się badawczo w jego twarz, wbijając w niego boleśnie swoje ręce, a potem powiedziała nagle:

– Ty chcesz lecieć.

– Co chcę? – odparł zdziwiony Kenniston. – Jestem cały sztywny ze strachu! Przez cały czas po skórze przechodzą mi ciarki! Ale muszę to zrobić.

– Ty chcesz polecieć – powiedziała ponownie, i spojrzała na niego tak, jak gdyby w końcu wyraźnie zobaczyła powstałą między nimi barierę. – To jest właśnie ta różnica między nami, to zawsze była ta właśnie różnica. Ja chcę jedynie rzeczy mi znanych, starych, ulubionych ścieżek. Ty chcesz nowego.

Czas szybko umykał, i wezbrała w nim jakąś swoista desperacja. Chwycił więc ją, z szorstką męską stanowczością, i przytrzymał, dziko próbując oprzeć się nieuchwytnym prądom, które odsuwały ich od siebie.

– Idę teraz, zrobić dla nas to wszystko co tylko będzie możliwe, i wrócę tutaj taki sam jak przedtem, a ty będziesz na mnie czekała, Carol! Czy mnie słyszysz!

Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek z dziwną czułością, tak jakby nigdy go już nie miała zobaczyć ponownie, i wspominała wszystkie dobre dni, które wspólnie razem przeżyli. A kiedy ją puścił, jej oczy świeciły się od łez.

Poszedł z Hubblem w kierunku portalu, a całe miasto wibrowało teraz nową nadzieją i podekscytowaniem, które koncentrowały się właśnie na nim. On jednak wzdragał się na samą

myśl o tym, co go czekało, ledwie widział zbity tłum twarzy, obserwujących go z mieszaniną niepewnej nadziei i strachu i ledwie słyszał wykrzykujące głosy:

– Powodzenia, panie Kenniston!

– Niech pan im tam powie co trzeba, panie Kenniston! Niech pan im tam powie!

Kenniston szedł dalej, wychodząc z pokrytego kopułą miasta, idąc przez równinę, aż do chwili, gdy nie pochłonął go obcy i niesamowity brzuch *Thanis*.

Rozdział 15: Misja dla Ziemi

Nie wolno było mu okazać strachu. Tamci spodziewali się tego po nim, a więc obserwowali go ukradkowymi spojrzeniami, pełnymi zainteresowania i rozbawionego oczekiwania. Ale Kenniston zacisnął pięści w kieszeniach kurtki i z zaciekłą determinacją postanowił ich rozczarować.

Oczywiście że się bał, tak. To było zupełnie coś innego niż czytanie, rozmowa czy spekulowanie na temat lotów w kosmosie. *Zrobić* to samemu, to zupełnie inna i dużo bardziej przerażająca sprawa. Opuścić pewną i solidną Ziemię, aby rzucić się w bezbrzeżną pustkę.

Stał razem z Gorrem Hollem i Piersem Eglinem na mostku *Thanis*, patrząc przed dziób przez wyprofilowane okna widokowe, i czując zimną słabość skręcającą mu wnętrzności.

– Oczekiwałem, że to wszystko będzie wyglądało jakoś inaczej – powiedział niepewnym głosem. – Tylko te gwiazdy z przodu…

Walczył z przemożnym odruchem, żeby się czegoś złapać i przytrzymać. Nie mógł jednak tego zrobić w sytuacji gdy stojący za nim opaleni ludzie z gwiazd, obserwowali go z ciekawością.

Basowe buczenie i niewielkie drżenie otaczającej go potężnej maszyny, były jedyną oznaką, że *Thanis* się poruszała.

Bezpośrednio przed nimi, Kenniston mógł podziwiać niezgłębioną czerń, w której jak lampy jaśniały ognie gwiazd. W centrum tej panoramy świeciła niebiesko-biała latarnia Wegi, ponad nią płonęły inne gwiazdy, nieco zniekształconej przez upływ czasu Liry i Aquili, krzyżujących się po lewej stronie u góry, w pobliżu lśniącego roju słońc Drogi Mlecznej.

Tylko część nieba znajdująca się bezpośrednio przed nimi, była widoczna ostro. Reszta firmamentu, rozciągająca się po bokach, stawała się stopniowo coraz bardziej rozmazaną panoramą zniekształconego światła gwiazd, których promienie zdawały się wykrzywiać się na wszystkie strony, drgać i podskakiwać.

Gorr Holl kiwnął głową w kierunku zespołu przyrządów sterujących, za którymi siedziało czterech ludzi.

– Czy znasz zasadę, na jakiej działa nasz napęd? Promieniowanie reakcyjne, wielokrotnie szybsze od światła, odpycha nas od pyłu przestrzeni kosmicznej.

Kenniston westchnął bezradnie.

– Czuję się kompletnym ignorantem, tak jak dziecko. W moich czasach zupełnie nawet nie podejrzewano możliwości istnienia takiego promieniowania. A równania Einsteina dowodziły, że gdyby materia poruszała się szybciej niż światło, to jej masa wzrastałaby do nieskończoności.

Z gardła Gorra Holla wyrwał się huczący basowy chichot.

– Wasz Einstein był wielkim uczonym, ale od tego czasu otworzyliśmy wiele nowych obszarów wiedzy. Kontrola masy, zapobiegająca takiemu wzrostowi, i inne podobne rzeczy.

Kenniston słuchał tylko jednym uchem. Patrzył na błękitno-białe oko Wegi, arogancko spoglądające na nich, z wielkiego skupiska błyszczących gwiazd. I ten widok, jakoś uprzytomnił mu poczucie straszliwej szybkości z jaka lecieli, koszmar spadania przez nieskończoną przestrzeń.

To było gorsze uczucie, niż w momencie startu, chociaż nigdy by nie pomyślał, że coś może być jeszcze gorsze niż tamto. Nawet gdyby żył wiecznie, zawsze będzie pamiętać te ostatnie długie minuty, kiedy przywiązany do fotela amortyzującego, próbował się odprężyć,

co mu się kompletnie nie udawało, nasłuchując odgłosów sygnałów alarmowych, obserwując mrugające światła, czując głębokie drżenie statku, zbierającego się do wykonania skoku w kosmos. Serce waliło mu tak, że prawie nie był w stanie oddychać, oblewał się lodowatym potem, próbując wmówić sobie samemu, że niczym to się nie będzie różniło od startu samolotu… A potem start, wciskający w fotel, instynktowne próby złapania oddechu, straszliwe klaustrofobiczne uczucie zamknięcia w poruszającym się obiekcie, nad którym nie miał żadnej kontroli.

Nie miał najmniejszego pojęcia, dzięki jakim cudom nauki, załoga statku była chroniona przed potężnymi przeciążeniami, będącymi efektem takiego przyśpieszenia. Pomimo tego musieli jednak być w jakiś sposób chronieni, ponieważ odczuwalne przeciążenie nie było specjalnie większe, niż w szybko wznoszącej się windzie. To świadomość, że Ziemia nieodwracalnie pozostaje daleko w tyle, czyniła start takim straszliwym przeżyciem. Słychać było szum, syk i jęk powietrza rozcinanego przez kadłub statku, a potem nagle wszystkie te odgłosy ucichły. Znajdowali się w kosmosie. Był niemal nieprzytomny, z powodu tych pierwotnych, odwiecznych lęków przed zamkniętymi przestrzeniami i upadkiem z wysokości. Myślał o niezmierzonej pustce, która go otaczała, poza tą cienką metalową powłoką, i musiał zacisnąć mocno zęby, gryząc się w język, aby powstrzymać się przed wrzaskiem.

– Po prostu o tym nie myśl – powiedział Gorr Holl. – I pamiętaj, każdy z nas zawsze przeżył kiedyś ten pierwszy raz! Podczas mojego pierwszego startu, myślałem że umrę. – Pomógł Kennistonowi wstać z fotela. – Chodźmy na mostek. Równie dobrze możesz przejść przez to wszystko za jednym razem.

Tak więc przyszli na mostek i Kenniston spoglądał w przestrzeń kosmiczną, w której płonęły niczym nie osłonięte wielkie słońca i nie było powietrza, ani chmur, które mogłyby je skrywać. Udało mu się opanować swoją słabość, ponieważ był zbyt dumny, aby zrobić to, co zrobiłby najchętniej, to znaczy rzucić się na wznak na podłogę, skulić się i skamleć jak pies.

Próbował wyobrazić sobie przeprawę, która oczekiwała go tam, na Wedze, gdzie będzie musiał przedstawić racje małego Middletown, gubernatorom tych wszystkich gwiazd. W jaki sposób miał przekonać ludzi, którzy swobodnie podróżowali między gwiazdami, statkami takimi jak ten, do tego by zrozumieli namiętne oddanie jego rodaków, dla ich małej, starożytnej planety?

W dodatku, jeżeli nie uda mu się tego zrobić, zawiedzie mieszkańców Middletown, którzy w jego misji pokładali takie wielkie nadzieje. O tym właśnie powinien rozmyślać, a nie o kosmosie. Nie o swoich sensacjach z nim związanych, tylko o zadaniu, jakie przed nim postawiono.

Zerknął na Gorra Holla i powiedział:

– Myślę, że dosyć już widziałem. Chodźmy stąd.

Zostawili na mostku Piersa Eglina, ponownie schodząc na dół, a kiedy znaleźli się sami w głównym korytarzu, Kenniston powiedział:

– No dobrze, Gorr. Chciałbym teraz się dowiedzieć, na czym stoję.

Wielki Capellanin kiwnął przytakująco głową.

– Chodźmy pogadać z Magro i Lal'lorem. Czekają już na nas.

Poprowadził Kennistona wąskimi korytarzykami i zejściówkami, do kajuty położonej tylko o dwa wejścia od jego własnej. Znalezienie się w zamkniętym miejscu, pozbawionym okien, Kenniston odebrał jako ulgę. Nie musiał patrzeć na oszołamiającą i przygniatającą pustkę kosmosu w której jedynie dumne słońca, miały jakieś prawo do przebywania. Pod powłoką strachu, odczuwał jednak swoistą szaloną fascynację tym widokiem. Mimo to jednak człowiek z dwudziestego wieku, na początek, nie mógł znieść go zbyt wiele.

Masywna szara postać Lal'lora, pochylała się nad stołem zawalonym arkuszami papieru, pełnymi skomplikowanych symboli i wzorów. Magro, który leżał rozwalony na koi, wyjaśnił Kennistonowi:

– On dla rozrywki dowodzi twierdzenia matematyczne. Nawet nie próbuję się domyślać, co te liczby mogą oznaczać.

Na płaskiej, pozbawionej rozpoznawalnych cech, twarzy Lal'lora, zabłysły jego malutkie oczka. Zwalił wszystkie kartki papieru na bok i powiedział:

– Siadaj, Kenniston. A więc teraz będziemy sojusznikami, oraz przyjaciółmi.

– Mam nadzieję – odparł Kenniston, – że ktoś mi w końcu powie co oznacza cały ten sojusz. Pamiętajcie, że wystawiam na niepewny los przyszłość moich wszystkich rodaków, pomimo że nic nie wiem o tej przeklętej sprawie.

– Nie ma w tym nic groźnego – wyjaśnił Gorr Holl. Usadził swoje futrzaste cielsko na rogu stołu Lal'lora, który był na szczęście na tyle solidny, żeby wytrzymać jego ciężar. – Tak jak ci mówiłem, wszyscy po prostu mamy ten sam problem, a jego rozwiązanie obraca się wokół was i waszego procesu.

Na chwile przerwał.

– Kenniston, jakimś dziwnym kaprysem losu, znaleźliście się raczej między nami, niż pośród przedstawicieli waszego własnego gatunku. Rasy ludzkie wyszły z Ziemi już tak dawno temu, cały czas się rozdzielając i przenosząc, w procesie nieustannego rozszerzania strefy wpływów cywilizacyjnych, że zagubiły już kompletnie poczucie identyfikacji ze swoją ojczystą czy też jakąkolwiek inną planetą. Ich domem jest cały wszechświat, a nie jedna konkretna planeta.

Z każdą mijającą minutą, Kenniston zaczynał coraz lepiej to rozumieć. Wielokrotne przemierzanie bezosobowych otchłani przestrzeni kosmicznej skłaniało człowieka do porzucenia starych, wąskich nawyków myślowych. Pod tym względem Carol miała zupełną rację.

Gorr Holl kontynuował swoja myśl.

– Ale my, przedstawiciele ras humanoidalnych, nie mamy takiego tła kulturowego. Kiedy na nasze światy przybyli ludzie, niemal wszyscy byliśmy barbarzyńcami, i to całkiem szczęśliwymi w swoim barbarzyństwie. No cóż, ucywilizowano nas i teraz zostaliśmy zaakceptowani jako równi im samym. Ale nadal jesteśmy nieco bardziej prymitywni niż oni, jeśli chodzi o nasz sposób myślenia. Ciągle jeszcze trzymamy się naszych rdzennych światów i jeśli kiedykolwiek niezbędnym staje się aby nas przenieść, budzi to nasz wewnętrzny opór. Dokładnie tak samo jak teraz wzdragają się przed tym twoi rodacy, chociaż nas nauczono, abyśmy byli nieco mniej gwałtowni. W końcowym efekcie, oczywiście, zawsze się poddawaliśmy. W ostatnich kilku latach, jednak, staraliśmy się trzymać nieco bardziej kurczowo, ponieważ pokazało się coś, w czym pokładaliśmy duże nadzieje. Chodzi oczywiście o ten proces Jona Arnola.

– Poczekaj chwilę – powiedział Kenniston. – Wszystko co wiem o tej sprawie, to tylko to że gość nazywał się Jon Arnol. O co dokładnie chodzi z tym procesem. Mówiliście coś o tym, że był to jakiś sposób na odmłodzenie zimnych i umierających planet?

Na to pytanie odpowiedział mu Lal'lor.

– Plan Arnola polegał na tym, aby uruchomić proces transformacji materii w energię, podobny do syntezy wodorowo-helowej, która daje energię waszemu Słońcu. Chodziło o uruchomienie działania takiego procesu nuklearnego głęboko *we wnętrzu* zimnej planety.

Kenniston wpatrywał się w niego kompletnie oszołomiony.

– Ale – w końcu wykrztusił, – to byłoby równoważne stworzeniu w jej wnętrzu olbrzymiego reaktora gwiezdnego!

– Tak. Śmiały, fenomenalny pomysł. To mogłoby rozwiązać problemy wielu zimnych i umierających światów w Federacji, ponieważ, jak już zresztą wiesz, planeta może dzięki swemu wewnętrznemu ciepłu, przeżyć nawet długo po tym, kiedy zmniejszy się ilość energii cieplnej otrzymywanej od ojczystej gwiazdy.

Przerwał na chwilę.

– Niestety, kiedy Arnol przetestował swój proces na małej asteroidzie, wyniki okazały się katastrofalne.

– Katastrofalne?

– Kompletna katastrofa. Bomba energetyczna Arnola, zaprojektowana do zainicjowania procesu wewnątrz tej asteroidy, zadziałała nieprawidłowo i spowodowała monstrualne wstrząsy. Faktycznie mówiąc, asteroida rozpadła się na kawałki. Arnol twierdził, że powodem tego był fakt, ze nie pozwolono mu przetestować tego procesu na odpowiednio dużej planecie. Jego obliczenia potwierdzają tę opinię.

Kenniston zapytał:

– Dlaczego więc potem nie przeprowadzono kolejnego testu, na jakiejś większej planecie?

– Nie zezwolili na to Gubernatorzy – odparł Lal'lor. – Stwierdzono, że to by było zbyt niebezpieczne.

– A nie mógł przetestować tego na jakiejś niezamieszkałej planecie, na której nie ma przecież żadnego niebezpieczeństwa?

Lal'lor ciężko westchnął.

– Nic nie rozumiesz, Kenniston. Gubernatorzy nie chcą, aby opracowanie procesu Arnola zakończyło się sukcesem. Nie chcą dać prymitywnym ludom możliwości, aby pozostawały na swoich ojczystych światach. To jest ten rodzaj patriotyzmu lokalnego, któremu sprzeciwiają się, ponieważ niweczy on ich wysiłki dla stworzenia prawdziwie kosmopolitycznego społeczeństwa międzygwiezdnego.

Kenniston przez chwilę zastanawiał się nad jego słowami. Właściwie pasowały one do tego co widział i słyszał na temat tej potężnej Gwiezdnej Federacji. Ale jednak…

Zaczął mówić, bardzo powoli.

– A więc to wszystko sprowadza się do tego, że chcecie użyć mojego świata, naszej Ziemi, do przetestowania procedury, którą wasi Gubernatorzy, niezależnie od motywów jakie nimi kierowały, uznali już kiedyś za niebezpieczną.

Lal'lor spokojnie potwierdził skinięciem głowy.

– Tak. To wszystko do tego się sprowadza. Ale czy próba zostanie po raz pierwszy przeprowadzona na Ziemi, czy na jakiejś innej opuszczonej planecie, jest sprawą zupełnie drugorzędną. *Problemem jest jak zmusić Radę Gubernatorów, by w ogóle zezwoliła na drugą próbę*.

Gorr Holl zawołał z entuzjazmem:

– Czy nie widzisz, jak to się wszystko łączy? Jeśli pozostaniesz sam, twoje odwołanie o pozostawienie was na Ziemi, zostanie odrzucone, ponieważ nie jesteś w stanie przedstawić żadnej rozsądnej alternatywy dla ewakuacji. Ale stawiając jako alternatywę rozwinięcie procesu ożywiania planet Jona Arnola, będziesz w stanie pomóc zarówno Ziemi jak i nam!

Kenniston zmagał się ze swoimi myślami, aby objąć umysłem galaktyczną złożoność problemu.

– Inaczej mówiąc, jeśli uda mi się przekonać Gubernatorów do tego, by dali drugą szansę Arnolowi, to opóźniłoby ewakuację Ziemi?

– Mogłoby – powiedział Lal'lor. – A jeśli Arnol odniesie sukces, to Ziemia i podobne do niej nasze światy na obszarze całej Federacji, mogłyby zostać ponownie uczynione ciepłymi i zdatnymi do życia. Czy to nie jest warte takiej próby?

– Kiedy przedstawiasz to w taki sposób – odparł Kenniston, – to wygląda, że tak. To jest tego warte. – Ponownie zaczęła wzbierać w nim fala nadziei. – Ale jak myślisz, czy ta rzecz, ten… reaktor gwiezdny, będzie działać? To znaczy, bezpiecznie działać?

– Zgodnie ze wszystkimi dowodami matematycznymi, tak.

Kenniston ciągle jednak się wahał. Gorr Holl powiedział więc:

– Kenniston, ostateczna decyzja, będzie zależała od twoich rodaków, a nie od ciebie. Oni muszą się wypowiedzieć, czy będą chcieli podjąć takie ryzyko. Pamiętaj, że to niewielka grupa ludzi, i do czasu kiedy nie minie wszelkie niebezpieczeństwo, może stamtąd zostać bez trudu zabrana.

To była prawda. Nie musiał się obawiać, że jego rodacy zostaną w to wszystko wciągnięci zbyt głęboko, ponieważ nie miał dostatecznych uprawnień, aby to zrobić. A mogłaby to być jakaś droga wyjścia. Naprawdę mogłaby…!

– A więc, czy jest na to zgoda? – zapytał Lal'lor. – Arnol jest moim przyjacielem od wielu lat, mogę więc wysłać do niego wiadomość, żeby na nas czekał, kiedy wylądujemy. Pomoże nam w przygotowaniu twojego odwołania.

Kenniston popatrzył na nich, na trzy nieludzkie, ale znajome twarze. Musiał im zaufać, przyjąć w dobrej wierze to co mu mówili. Nagle spłynęła na niego świadomość, ze już im ufa.

– W porządku – powiedział Kenniston. – Myślę, że nawet słaba nadzieja jest lepsza niż żadna.

– A więc wszyscy się zgadzamy – powiedział cicho Lal'lor.

Kenniston poczuł się, jakby brakowało mu tchu, jakby nieodwołalnie rzucił się na głęboką wodę, daleko poza zasięg do którego był przyzwyczajony. Gorr Holl obrzucił go badawczym spojrzeniem i powiedział:

– Wydaje mi się, że czegoś potrzebujesz. I chyba nawet wiem czego.

Wyszedł z kajuty, i po chwili wrócił z dużą, płaską butelką z jakiegoś szarego metalu. Odsłonił wielkie zębiska w swoim przerażającym szerokim uśmiechu.

– Na szczęście, nie należymy do personelu statku, a więc nam z zespołu technicznego nie zabrania się używania symulantów. Dawaj jakieś szklaneczki, Magro.

Pokryty białym futrem Spikanin przyniósł tylko trzy plastikowe kubeczki.

– Nasz mądry Lal'lor woli się pobudzać przy użyciu równań matematycznych – wyjaśnił, a szara istota tylko kiwnęła potwierdzająco głową.

Gorr Holl ostrożnie nalał wszystkim z flaszki jakiegoś klarownego płynu.

– Spróbuj tego, Kenniston.

Płyn miał smakował lekko fermentacją, jakby drożdżami lub grzybami. Po wypiciu, wydawało się że eksplodował w organizmie Kennistona, wysyłając fale ciepła aż do samych koniuszków palców. Kiedy mógł już ponownie złapać oddech, z trudem wysapał:

– Co to za cholerstwo?

Gorr Holl wyjaśnił z uśmiechem.

– To jest destylowane z grzybiastych roślin, które można znaleźć na planetach Capelli. Nieźle wchodzi, ech?

Po wypiciu kolejnej kolejki, Kenniston od razu poczuł, że jego troski i zmartwienia nieco się zmniejszyły. Siedział odprężony, słuchając jak rozmawiają te dzieci obcych światów. Zdawał sobie sprawę, że rozmawiają już tylko po to, aby obniżyć jego napięcie nerwowe.

– Pierwsze podróże mogą być trudne – mówił Magro. Zwinął się w kłębek na swojej koi, jak senny kot, z delikatnym, leniwym błyskiem w oczach. – Pamiętam swój własny pierwszy lot. Przecięliśmy Plejady, wypalając połowę paliwa, a małe planetki roiły się wokół nas jak podrażnione pszczoły.

Gorr Holl pokiwał głową.

– A czy pamiętacie ten wypadek na śmietnisku gwiezdnym Algola? Straciłem wtedy dobrych kumpli. Zimny grób z tych pustych głębin.

Kenniston przysłuchiwał się dalej, jak opowiadali o dawnych podróżach poza najeżone gwiazdami granice Federacji, o niebezpiecznych mgławicach, kometach i chmurach kosmicznych, o katastrofach statków na dzikich planetach.

Powoli zacytował:

– Wtedy nie będziemy pochylać się nad płytkimi plotkami Magellanów i Drake'ów. Wtedy damy ucha podróżnikom, którzy opłynęli Ekliptykę; którzy okrążyli Gwiazdę Polarną, jak Przylądek Horn.

Lal'lor zapytał go z zainteresowaniem:

– Kto to napisał? Jakiś człowiek z twoich czasów, który przewidywał możliwość podróży w kosmosie?

– Nie – powiedział Kenniston. – To był człowiek, który żył jeszcze nawet wiek wcześniej, przed moimi czasami. Nazywał się Melville i był także żeglarzem, ale pływał po morzach Ziemi.

Gorr Holl pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To musiały być dziwne czasy, śmiałkowie mieli tylko wodne oceany jednej małej planety.

– I na nich było wystarczająco dużo miejsca na przygody – odparł Kenniston. – Atlantyk podczas jesiennych burz, zatoka nocą w świetle księżyca…

Ponownie ogarnęła go paląca nostalgia, ta natrętna tęsknota za utraconą na zawsze Ziemią, za zapachem liści, płonących w rześką jesienną noc, za polem koniczyny w świetle gorącego letniego słońca, za błękitnym niebem, zielonymi wzgórzami i ośnieżonymi górami, za sennymi wioskami, starymi miastami i drogami, które prowadziły między nimi. Za tym wszystkim, co przeminęło i już nigdy nie wróci. To wzbudziło w nim tęsknotę nawet za Ziemią, taką jaka była obecnie, zmęczoną, umierającą starą planetą, która przynajmniej przechowywała pamięć świata, jaki znał, oraz ludźmi, którzy ten świat także znali. Carol miała rację, stare ścieżki i znane rzeczy są najlepsze! Co on tu robi w kosmosie, w tych obcych i wrogich przestworzach?

Wtedy zauważył, że pozostali przyglądają się mu z dziwnie współczującym zrozumieniem na twarzach, na tych obcych, ale już tak znajomych i przyjaznych, humanoidalnych twarzach.

– Nalej mi jeszcze jednego drinka – powiedział.

W niczym mu to jednak nie pomogło, wręcz przeciwnie, tylko wydawało się zwiększać jego daremną tęsknotę. Wkrótce Kenniston ich opuścił, i udał się do swojej kajuty.

Zgasił światło i wcisnął bolec, zamieniający fragment litego kadłuba w okno. Otworzyła się przed jego oczami czarna, mieniąca się gwiazdami przestrzeń, rozciągająca się w nieskończoność. Siedział na brzegu koi i wpatrywał się w nią, nienawidząc tego obojętnego, nieludzkiego ogromu, i rozmyślając o swojej desperackiej misji.

Po pewnym czasie usłyszał jak ktoś puka do drzwi jego kajuty. Podniósł się i je otworzył. W świetle padającym z korytarza, zobaczył, że była to Varn Allan.

Rozdział 16: Na Wedze

Jej wzrok omiótł szybko najpierw jego twarz, potem ciemny pokój, by na koniec ponownie na nim spocząć, z wyrazem zrozumienia. Spytała go uprzejmie:

– Czy mogę wejść?

Zrobił krok w bok, sięgając ręką do wyłącznika. Ona jednak powiedziała:

– Nie, proszę. Ja też chciałabym popatrzeć na zewnątrz.

Przystawiła krzesło do okna i siedziała przez kilka minut w ciszy, wyglądając na zewnątrz. Przyćmiona poświata gwiazd dotknęła jej twarzy.

Kenniston czekał na jej słowa. Jego początkowe uczucie wrogości, zostało nieco stępione przez rosnącą ciekawość. Siedziała niemal sztywno wyprostowana, wyglądając niesamowicie formalnie, w szarej kurtce i luźnych spodniach. Zauważył jednak, że na jej jasnej twarzy pojawiły się ślady zmęczenia i napięcia.

Odwróciła się i spojrzała na niego zamyślonymi niebieskimi oczyma. Dotarło do niego wtedy, ze Varn Allan, czuje się podczas tej wizyty niezbyt swobodnie, że chciałaby mu coś powiedzieć, ale nie za bardzo wie jak to zrobić. Czyżby również ona była zatroskana tymi sprawami na Wedze? Z gniewem pomyślał, że dobrze jej tak, że w końcu udało mu się zedrzeć z niej tę maskę wysokiego i potężnego urzędnika wielkiej Federacji i zobaczyć pod nią twarz zaniepokojonej kobiety, niemal dziewczyny.

W końcu zaczęła:

– Przyszłam tu, żeby panu powiedzieć, że z powodu pilnej natury tego przypadku, Rada przyznała nam na jego rozpatrzenie, dwie godziny, zaraz następnego dnia, po tym jak przylecimy na Wegę Cztery.

– Dwie godziny! – zawołał Kenniston. Nie wydawało się to zbyt dużo czasu, jak na decyzję o losie całej planety.

– Gubernatorzy muszą zajmować się problemami połowy galaktyki. Nie mogą dać ani chwili więcej, nikomu. Tak więc proszę starannie przygotować swój przypadek. Nigdy nie ma długiego posłuchania.

Wydawało mu się, że przyszła nie tylko po to, aby mu o tym powiedzieć, a więc czekał w milczeniu, skłaniając ją do mówienia. Uświadomił sobie również, że jej napięcie i zmęczenie, było niemal tak wielkie jak jego własne. W końcu, niechętnie, Varn Allan powiedziała:

– Jako Młodszy Administrator sektora, Norden Lund będzie miał również prawo przemówienia do Gubernatorów, w sprawie tego problemu.

Kenniston nie wiedział o tym, ale nie robiło mu to żadnej różnicy, i tak właśnie jej odpowiedział.

– Dla pana i pańskich rodaków, to może być naprawdę duża różnica – ostrzegła go.

– Jakim to sposobem?

Zaczęła mu wyjaśniać:

– Lund jest ambitny. Chce zostać Administratorem, później Gubernatorem, a być może nawet Przewodniczącym. Jego pragnienia są wręcz bezgraniczne.

Kenniston zaczął już nieco rozumieć całą sytuację.

– Innymi słowy, tak jak mówił mi Gorr Holl, Lund pragnie pani stanowiska.

– Tak. To byłby dla niego kolejny krok w górę. I żeby zrobić ten krok, jest w stanie z niewinną twarzą, popełnić każdą niegodziwość. Tego akurat, jestem całkiem pewna. – Varn Allan pochyliła się do przodu. – Widzi w problemie Ziemi nieocenioną okazję do załatwienia

sobie awansu. Wasze niesłychane wdarcie się z przeszłości do tego czasu, spowodowało niesamowite zainteresowanie wami samymi i waszym losem. A więc to zbliżające się posłuchanie, z pewnością będzie obserwowane przez wiele planet.

W swojej żarliwości, poderwała się z krzesła i stanęła przed nim, mówiąc uważnie i starannie dobierając słowa, tak by ją dobrze zrozumiał.

– Jeżeli Lund będzie w stanie zdominować to posłuchanie, jeżeli będzie mógł przedstawić jakiś sensacyjny dowód, że przy rozwiązywaniu problemu Ziemi popełniłam poważne błędy oraz, że to on miał rację, wyróżni się przed oczyma wszystkich widzów.

Kenniston był już pewien, że zrozumiał całą sprawę do końca, ale kiedy pytał ją dalej, nie pozwolił, aby wyraz twarzy zdradził ogarniające go uczucia:

– A więc obawia się pani, że podczas tego posłuchania, Lund może wyskoczyć z jakąś niespodzianką?

Varn Allan skwapliwie przytaknęła głową.

– Tak… Wiem, że coś mu chodzi po głowie. Od samego startu zachowywał się w stosunku do mnie z takim tryumfującym samozadowoleniem… Nie wiem jednak, co by to mogło być. – Spojrzała z zafrasowaniem na Kennistona i spytała: – Czy pan może coś o tym wie? Czy jest coś związanego z pańskimi rodakami, z całym tym problemem Ziemi, co Lund mógłby wykorzystać podczas posłuchania?

Kenniston również wstał. Spojrzał w dół, na jej twarz, a potem zaczął się śmiać. Najpierw delikatnie, a potem coraz głośniej, rozgoryczonym, gniewnym śmiechem, w którym dał upust całej swej urazie, jaką czuł do niej od samego początku. Spoglądała na niego, zaskoczona i kompletnie niczego nie rozumiejąc.

– To – w końcu wykrztusił, – jest takie zabawne. To naprawdę komiczne. Przybywa pani na Ziemię, jako prawo Federacji, jako Panna Jej Wysokość – i – Majestat, spoglądając na nas tak, jakbyśmy byli po prostu stadem bydła, rozkazując nam to, rozkazując nam tamto, zaledwie z trudem się zmuszając, żeby porozmawiać z biednymi ledwie co inteligentnymi prymitywami. A teraz, zupełnie niespodziewanie, kiedy pani własna cenna posada znalazła się w niebezpieczeństwie, przybiega pani do mnie, żebym pomógł pani ją uratować?

Twarz Varn Allan zrobiła się kompletnie biała i niedowierzająca. Jej niebieskie oczy już zaczynały płonąć, a cała szczupła figura zesztywniała z oburzenia.

Kenniston kontynuował ogarnięty gwałtownym gniewem.

– Wie pani co? Jest mi tak cholernie wszystko jedno, czy administratorem jest pani, czy Lund! Żadne z was według mnie się do tego nie nadaje! Czy uda mu się zabrać pani stanowisko, żeby zdobyć więcej władzy? A co to dla mnie za różnica?

Zobaczył jak przez biel jej twarzy zaczyna przebijać coraz większy gniew. Zdał sobie sprawę, że w końcu udało mu się przebić przez tę jej zewnętrzną skorupę powagi i spokoju, że ta kompetentna, błyskotliwa urzędniczka ma emocje tak jak każda inna kobieta, i że nareszcie udało mu się do nich dotrzeć.

– A więc, tak pan sobie pomyślał – Varn Allan złapała oddech. – A więc pomyślał pan, że przyszłabym tu błagać o pańską pomoc, żeby ratować swoje stanowisko?

Coraz bardziej podnosiła głos, napędzana gniewem, który zdawał się być nawet większy, niż mogłaby to zmieścić w sobie jej niewielka postać. To było tak, jakby dotknął sprężyny, która wyrzuciła gorący, długo skrywany w sobie gniew.

– Moje stanowisko… moja ranga urzędnicza! Czy pan myśli, że ja jestem taka jak Lund, że władza i możliwość wydawania rozkazów jest dla mnie przyjemnością? A co pan może, dzikusie jeden, wiedzieć o tradycji służby dla Federacji? Czy przypuszcza pan, że chciałam podążać za tradycjami rodzinnymi, że bawiły mnie te lata ciężkich studiów, kiedy inne dziewczyny brylowały na dancingach, że mój pomysł na szczęśliwe życie, polega na spędzaniu go w ciasnych kabinach statków międzygwiezdnych oraz na nieprzyjaznych planetach? Czy pan myśli, że to wszystko jest dla mnie aż takie drogie, że bym się tym

zamartwiała, że przyszłabym potajemnie i błagała jakiegoś prymitywa, żeby mi pomógł to utrzymać?

Wręcz zadławiło ją własne oburzenie i szarpnęła się w kierunku drzwi. Kenniston zaskoczony przez ten gwałtowny wybuch, posłuchał nagłego impulsu i chwycił ją za ramię.

– Proszę poczekać! Niech pani nie odchodzi. Ja…

Spojrzała na niego, z płonącymi oczyma i powiedziała dobitnie:

– Proszę mnie puścić, albo wezwę wachtowego.

Kenniston jej nie puścił. Niezgrabnie powiedział.

– Nie, proszę poczekać. Byłem trochę rozkojarzony. Przepraszam panią bardzo…

I był. Teraz wstydził się nieco za swoje zachowanie, chociaż sam dokładnie nie widział dlaczego miałby to robić. Ale w jej pasji było coś, co spowodowało, że tak właśnie się poczuł. Nienawidził braku uczciwości, i sam czuł, że był w stosunku do niej trochę nieuczciwy.

Kiedy to powiedział, Varn Allan spojrzała na niego wzrokiem, w którym nadal widać było gniew, ale po chwili odwróciła się od drzwi.

– Zapomnijmy o wszystkim – powiedziała sztywno. – Popełniłam błąd, mówiąc emocjonalnie jak…

– Jak prymityw – dokończył za nią Kenniston, a ona pokazała swoje małe żądełko, mówiąc:

– Dokładnie, jak prymityw.

Kenniston roześmiał się. Jego wrogość do niej i jej rodaków, być może nie znikła, ale udało mu się wyrzucić z serca to pełne urazy poczucie niższości, które prześladowało go od czasu kiedy spotkał ją po raz pierwszy. Stało się to w chwili, kiedy ten zimny, kompetentny urzędnik Federacji, odsłonił swoją prawdziwą twarz zatroskanej i samotnej dziewczyny.

– Nie, nie…, nie śmiałem się z pani – wyjaśnił pośpiesznie. – Proszę mi teraz powiedzieć, dlaczego uznała pani za niezbędne poinformowanie mnie o tej całej sprawie z Lundem?

– Dlatego, aby uratować moje stanowisko i rangę – gorzko powiedziała. – Zrobiłam to, ponieważ bałam się, że je stracę…

– Och, już dobrze, przecież przeprosiłem panią za to – odparł z niecierpliwością. – Chryste, ale pani rodacy są drażliwi!

Przez chwilę Varn Allan milczała. Potem powiedziała.

– Wydaje się panu, że nie ma żadnej różnicy, w tym czy na posłuchaniu wystąpię ja, czy Lund, że oboje jesteśmy przeciwko pańskim rodakom. Otóż myli się pan, Kenniston.

– Oboje jesteście za ewakuowaniem nas z Ziemi – przypomniał jej. – A więc, na czym polega ta różnica?

– Różnica jest bardzo wyraźna – żarliwie zadeklarowała. – Być może popełniłam pewne błędy w stosunkach z pańskimi rodakami, ale moim pragnieniem było dokonanie sprawnej, pokojowej ewakuacji. Lund chciałby zająć się problemem Ziemi, w dużo bardziej dramatyczny sposób, to znaczy, mówiąc bez ogródek, przy pomocy rozwiązań siłowych.

– Rozwiązań siłowych? – zesztywniał Kenniston. – Mówiłem wam przecież, co będzie oznaczało użycie siły.

– Wiem, i wierzę panu na tyle mocno, że chcę rozwiązać problem ewakuacji w sposób pokojowy, nawet jeśli miałoby to spowodować pewne opóźnienia. Takie jest moje wyobrażenie odnośnie obowiązków administratora. Ale Lund wie, że z powodu waszego niesamowitego tła kulturowego oraz dlatego że ten przypadek Ziemi skupia na sobie tę całą długą już kontrowersję odnośnie ewakuacji planet, wszystkie oczy będą zwrócone na to posłuchanie. Będzie więc chciał je wykorzystać, żeby pchnąć do przodu swoją karierę, niezależnie od tego, jakie katastrofalne wydarzenia na Ziemi, mogłoby za sobą to pociągnąć.

Logika jej myślenia, była dosyć oczywista, a w dodatku pasowało to do opinii o Lundzie, jaką miał Kenniston. Poczuł nagle pogłębiający się niepokój.

– Ale co Lund mógłby takiego wiedzieć o problemie Ziemi, co byłoby aż taką olbrzymią niespodzianką? – próbował się dowiedzieć.

Varn Allan pokręciła bezradnie głową.

– Nie wiem. Myślałam, że może pan będzie to wiedział. Ale on coś ma, jestem tego zupełnie pewna.

Kenniston powiedział z zamyśleniem:

– Nie, mnie również nic nie przychodzi do głowy. Ale może Gorr i pozostali będą mieli jakiś pomysł. Spróbuję z nimi porozmawiać.

Popatrzył na nią i musiał przyznać w duchu, że niezależnie od uczuć, jakie mógłby żywić w stosunku do jej osoby, był przekonany o jej szczerym i uczciwym oddaniu swoim obowiązkom. I chociaż jej wizja sprawiedliwości mogła niezbyt dokładnie odpowiadać jego, to nie była celowo i umyślnie niesprawiedliwa.

Dodał jeszcze.

– Dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. I jeszcze raz — bardzo panią przepraszam, palnąłem to bez zastanowienia.

Uspokoiła go.

– Wiem, że żyje pan w wielkim napięciu, na skutek tej podróży i z powodu niepokoju o wynik tej sprawy. Ale proszę nie pozwolić, aby Gorr i reszta wzbudzili w panu zbyt wielkie nadzieje. Samej ewakuacji nie da się w żaden sposób uniknąć. To co mnie w tej chwili martwi najbardziej, to w jaki sposób tego dokonać.

Dodała jeszcze z nagłą nutą zniechęcenia w głosie.

– Chciałabym być zwykłą dziewczyną z tego pańskiego Middletown, która nigdy jeszcze nie opuszczała swojej planety i dla której gwiazdy, to po prostu jasne punkty na niebie.

Pokręcił przecząco głową.

– Proszę mi wierzyć, też miałaby pani swoje troski. Porównując choćby pani życie, z życiem jednej z nich, Carol, teraz to właśnie ona jest z pewnością dużo bardziej zaniepokojona i zmartwiona, niż pani kiedykolwiek będzie.

– Carol? Czy to była ta dziewczyna, którą widziałam z panem?

Potwierdził głową.

– Tak. Moja dziewczyna. Dorastała w naszym starym miasteczku, szkoła, pikniki, prywatki, jaki kapelusz założyć do tej sukienki, i potem nagle… łubudu! Znalazła się w tej kompletnie zwariowanej przyszłości i być może nawet nie będzie jej wolno pozostać na Ziemi!

Varn Allan zadumała się nieco.

– Jakie to musi być dziwne, dorastać na takiej jednej malutkiej planetce, żyć zgodnie z tymi licznymi, drobnymi, sztywnymi schemacikami. W pewnym sensie, nawet jej zazdroszczę. I bardzo jest mi jej żal.

Odwracała się już, żeby wyjść z kajuty, kiedy Kenniston wyciągnął do niej rękę:

– A więc, bez urazy?

Przez moment stała, kompletnie zaskoczona jego gestem, potem jednak go zrozumiała, uśmiechnęła się i niezręcznie włożyła swoją dłoń w jego. Pośpiesznie jednak ją zabrała i wyszła.

Kenniston popatrzył za nią.

– Cóż, niech mnie diabli wezmą, jeśli Panna Gwiezdny Urzędnik nie obawia się mężczyzn!

Jego niechętna wrogość do niej, już znikła, i pomimo tego, iż wiedział, że będzie występowała przeciwko niemu w sprawie ewakuacji, ponieważ uważała ją za niezbędną, nie niepokoiło go to tak bardzo, jak kwestia Nordena Lunda.

Im dłużej rozmyślał o Lundzie, tym bardziej go ta sprawa martwiła. W końcu poszedł do kajuty Gorra Holla i opowiedział o wszystkim wielkiemu Capellaninowi.

Gorr Holl natychmiast zaczął wyglądać na zdenerwowanego.

– To niedobrze. Lund może narobić paskudnych kłopotów, jeżeli coś znalazł. Ale co by to mogło być?

– Myślałem, że może ty coś będziesz wiedział.

– Nie mam pojęcia – zaprzeczył Capellanin. – Poczekaj chwilę. Piers Eglin ostatnio nieco więcej przestawał z Lundem. Być może on coś wie na ten temat.

Kenniston wstał.

– Piers zawsze chce ze mną rozmawiać o naszym starym mieście. Jeżeli cokolwiek wie, może uda się go pociągnąć za język.

Udało się to jednak dopiero następnego dnia, dziwnego pozbawionego poranka sztucznego dnia, charakterystycznego dla statków międzygwiezdnych. Wtedy właśnie nadarzyła się szansa, aby porozmawiać z malutkim historykiem.

Zapytał Eglina otwarcie:

– Czy wiesz może, co Lund trzyma w rękawie, na to posłuchanie?

Pytanie strasznie Eglina uderzyło. Wiercił się, rozglądał dokoła, z zaszczutą miną na twarzy, aż w końcu wymamrotał.

– Czemu mnie o to pytasz? Co ja mógłbym wiedzieć?

Kenniston naciskał go bezlitośnie.

– Kiepski z ciebie kłamca, Piers. Mów, *co* wiesz.

Eglin zaczął coś bełkotać, zupełnie niespójnie.

– Kenniston, posłuchaj… Nie możesz wciągać mnie w swoje problemy! Lubię cię nawet, i wiesz, że chciałbym ci pomóc, gdybym tylko mógł… Ale jestem historykiem, to całe moje życie. To wasze stare miasteczko na Ziemi, jest dla mnie jak sen, który nagle się stał się rzeczywistością i zrobiłbym wszystko, żeby je uratować. Naprawdę wszystko!

– O czym ty u diabła mówisz? – zapytał Kenniston. – Co stare Middletown ma z tym wszystkim wspólnego?

Malutki historyk gorączkowo z siebie wydusił:

– Wy nie rozumiecie jego znaczenia. Twoi rodacy z przeszłości i tak kiedyś poumierają, ale to *miasto* z odległej przeszłości, może zostać zachowane na zawsze, jako największy ze skarbów historii. Będę mógł je uratować, zachować do przyszłych badań, jeżeli będę miał urzędowe poparcie…

W głowie Kenniston w końcu zaświtało.

– I Norden Lund ma ci to poparcie zapewnić? W zamian za co? Co zrobiłeś, żeby mu pomóc?

Eglin pokręcił głową, z nieszczęśliwą miną.

– Nie mogę niczego powiedzieć. Naprawdę, nie mogę.

Kiedy odchodził, stał niemal we łzach. Kenniston długo za nim spoglądał, zdziwiony i głęboko zaniepokojony.

Opowiedział o tej rozmowie Gorrowi Hollowi i innym. Magro wyglądał na niesamowicie zdumionego.

– Ale co takiego Piers mógłby zrobić, żeby pomóc Lundowi? Kompletnie tego nie pojmuję.

– Być może słyszał groźby jakichś moich rodaków, albo jakieś dzikie awantury, a potem o tym zameldował? – pomyślał głośno Kenniston.

Gorr Holl pokręcił przecząco głową.

– Zwykła pogłoska nie byłaby wiele warta. A ponadto, Piers nie kręcił się zbyt dużo wokół twoich rodaków, poza początkowym okresem. Spędzał niemal cały swój czas w waszym starym mieście.

Lal'lor wolno powiedział:

– Nie podoba mi się to. Bardzo mi się to nie podoba. Kenniston, spróbuj dowiedzieć się, co takiego mógł zrobić Piers.

Kenniston jednak, stwierdził, że w czasie kolejnych „dni”, Piers Eglin bardzo starannie go unikał. Przed ich lądowaniem na Wedze Cztery, malutkiego historyka nie udało mu się nawet ponownie zobaczyć.

Tego dnia siedział niemal przez cztery godziny w pomieszczeniu mostka *Thanis,* spoglądając z niesamowitym zaciekawieniem na obcy system słoneczny, wyłaniający się z pustki. Obracające się planety dostojnie podążały po swoich majestatycznych orbitach, skąpane we wspaniałym świetle jaskrawego kręgu Wegi.

Statek przemknął przez układ, kierując się w stronę czwartej planety. Kenniston widział, jak zachmurzony glob rzuca się nagle na ich spotkanie, i ponownie poczuł łagodzone w magiczny sposób przeciążenia. Kiedy z szumem powietrza schodzili na dół, poczuł lęk wysokości, i bał się, że zaraz się rozbiją.

Wpatrywał się w olbrzymią panoramę terenu, której dominujące kolory miały charakter zupełnie nieziemski. Obok rozległych niebieskich równin, wznosiły się wysoko okrutnie wyglądające, strzeliste góry z purpurowo-czarnej skały. Później pędzący statek przemknął ponad potężną intensywnie żółtą taflą. Był to złoty ocean, odbijający w niemal oślepiający sposób niesamowicie jaskrawe światło Wegi. A potem miasto. Biały, wysoki zarys miasta, widoczny nawet ze stratosfery, wystarczył aby Kenniston stracił oddech. W jego pobliżu znajdował się ogromny port kosmiczny dla statków międzygwiezdnych, i Thanis płynnie opadała w jego kierunku, przedzierając się przez kłębiący się ruch pojazdów, a po chwili wylądowała w czekającym na nią doku, z chyba najdelikatniejszym w świecie zgrzytem.

Wega Cztery. Dotarł aż tutaj. I ciągle nie mógł w to uwierzyć, nawet jeszcze teraz.

Gorr Holl rozpiął swoje pasy. Capellanin był niemal tak zdenerwowany, jak sam Kenniston.

– Jon Arnol powinien gdzieś tu być, i czekać na nas – rzucił szybko. – jego pracownia jest po drugiej stronie planety. Dalej, idziemy, Kenniston!

Jon Arnol? Kenniston niemal o nim zapomniał, w szponach tego niesamowitego lądowania. W gorączkowym zafascynowaniu samym faktem, że się tu znalazł, zapomniał zupełnie *po co* się tu znalazł.

Zszedł z Gorrem Hollem na dół, do dużego westybulu, wewnątrz wrót wejściowych. Śluza była otwarta i na metalową podłogę padało niesamowite niebieskie światło słoneczne. Do jego nozdrzy docierało również niezwykłe powietrze, wypełnione lekkimi egzotycznymi zapachami.

Czekali już tam na nich Lund i Varn Allan. Kobieta powiadomiła go krótko:

– Będzie pan mieszkał w centrum rządowym. Mogę tam pana zabrać.

Gorr Holl, widząc ciemnoskórego, szczupłego mężczyznę, zmierzającego szybkim krokiem w kierunku *Thanis*, po betonowym pasie startowym, odparł pośpiesznie:

– Nie, to nie będzie potrzebne. Odwieziemy Kennistona do jego kwatery.

Szczupły, ciemnoskóry mężczyzna, wszedł po schodach do śluzy. Miał może z dziesięć lat więcej niż Kenniston, zniszczoną, zmęczoną twarz z jasnymi oczyma marzyciela, i niespokojne ręce człowieka, który pracuje w warunkach wielkiego podekscytowania.

Oczy Varn Allan spoczęły na nim i stwierdziła ze spokojem w głosie:

– A, rozumiem. Jon Arnol. Tak zresztą myślałam, że właśnie o to ci chodziło. Ale, to się nie uda, Gorr.

– Zobaczymy, może to jest akurat ten właściwy moment – zahuczał basem Capellanin.

Norden Lund, spoglądając na wchodzącego Jona Arnola, roześmiał się tylko, i wyszedł nic nie mówiąc. Varn Allan wyglądała, jakby miała zamiar porozmawiać z Kennistonem, ale zrezygnowała.

Powiedziała tylko:

– A więc jesteś odpowiedzialny za jutrzejsze pojawienie się pana Kennistona, Gorr – i odeszła.

Kenniston, spoglądając za nią, żałował, że nie zagaiła rozmowy. Chciałby również, żeby Lund nie śmiał się z takim zadowoleniem. Kiedy to zobaczył, dosyć mocno go to zaniepokoiło.

Podszedł do nich Arnol. Przywitali się z Lal'lorem, jak starzy przyjaciele. Uśmiechnął się również do Magro i Gorra Holla. Jego uśmiech i w ogóle ruchy, były szybkie, ostre, na wpół wykończone, tak jakby napięte nerwy ciała działały niezależnie od woli mózgu.

– Wydaje mi się, że tym razem mamy szansę, Lal'lor! – zawołał z niecierpliwością. – Na Boga, myślę że naprawdę uda się to zrobić! Być może ta sprawa na Ziemi, to jest właśnie to, na co czekaliśmy, szansa na wsadzenie im procesu Arnola w gardła, czy będą tego chcieli, czy nie! To szczęśliwy przełom!

Gorr Holl przedstawił mu Kennistona:

– To jest Kenniston, z Ziemi.

Jon Arnol spojrzał z pewnym zawstydzeniem, kiedy się do niego odwrócił.

– Przepraszam, jeśli zabrzmiało to nieco egoistycznie. Wiem, że macie tam straszny problem. Ale żeby pan wiedział, jak długo nad tym harowałem, czekałem i ciągle miałem nadzieję. Jestem naukowcem i nie ma dla mnie ważniejszej rzeczy, a przez tyle czasu musiałem patrzeć, jak polityka niszczy pracę mojego życia i moje największe dzieło…

Gorr Holl przerwał mu jednak:

– Słuchaj, to nie jest dobre miejsce na rozmowę! Jedźmy do Centrum Rządowego. Możemy porozmawiać w kwaterze Kennistona, i tak mamy mnóstwo pracy do zrobienia na jutro, żeby wszystko dobrze zaplanować!

Kenniston szedł razem z nimi po betonowym pasie portu kosmicznego, i w tej chwili cały problem Ziemi, wydawał się być gdzieś niesamowicie daleko.

Stał na innej planecie, w promieniach obcego słońca, a dookoła niego wszędzie kipiał pośpiech i hałas portu międzygwiezdnego, w którym lądowały i z którego odlatywały olbrzymie statki przemierzające całą galaktykę. W tym miejscu jakoś, znacznie lepiej niż w kosmosie, chwytał realizm tej niewiarygodnej sieci handlowej, w której statki kursowały pomiędzy najodleglejszymi gwiazdami, nieobce im były świetliste szlaki pośród mgławic i śmiertelnych prądów prowadzących do gwiezdnych cmentarzysk, docierały do niezliczonej liczby portów, na niezliczonej liczbie planet, których nazw nawet nie znał. W jego duszy coś rosło, jakaś mieszanka strachu i dumy, pamiętając, że to ludzie z Ziemi jako pierwsi wyruszyli przez nieznane morza do tych wyznaczanych przez gwiazdy brzegów wszechświata.

Głębokie basowe dudnienie wielkich statków, wstrząsało ziemię na której stał, a atomowe kuźnie łomotały, jak młoty walące w płyty, by je giąć i łamać. Czarne kadłuby statków majestatycznie wznosiły się w niebo, pokiereszowane i poznaczone pyłami i atmosferami wszystkich planet galaktyki. Kenniston mógłby tak stać bez końca patrząc na ten wspaniały widok, gdyby Gorr Holl go stamtąd nie wyprowadził.

Przed budynkiem portu czekał na nich samochód Arnola. Samochód, który nie miał zbyt wiele wspólnego z tymi, jakie znał Kenniston, poza tym że jeździł po ziemi. Był opływowy, niski, i zdawał sobie sprawę, że musi być bardzo szybki. Na szczęście jednak okazało się, że na niewiarygodnie gęstej sieci ramp, dróg i wiszących mostów, pokrywającej całe miasto, szybkość była poważnie ograniczona. Jechali więc szybko, ale nie na tyle szybko, by nie mógł wyglądać przez okno.

Patrzył na to miasto, wspaniale wyglądające w oprawie światła Wegi i czuł się jak nieokrzesany barbarzyńca, zjeżdżający ze wzgórz do Babilonu. To było bardziej państwo niż miasto, zbyt ogromne i wzbudzające zbyt wielką obawę, by dało się ogarnąć umysłem. W głębokich kanionach dróg, zaczął już dawać o sobie znać zmierzch, wzdłuż jezdni zaczęły

więc rozbłyskać delikatne światła. Gęsty ruch samochodów płynął ulicami, jak niekończąca się rzeka. Ich samochód również zdawał się płynąć taką rzeką, kierowanie nim wymagało tak niewielkiej uwagi, że przez cały czas mogli gorąco dyskutować o jutrzejszym dniu, o posłuchaniu, o wielkiej szansie.

Kenniston spoglądał na zatłoczone i rozświetlone ulice, na tysiące dziwnych ludzi, wędrujących swoimi ścieżkami, i stopniowo zaczynało do niego docierać przemożne uczucie, że to było centrum galaktyki, stolica tysięcy światów. Mężczyźni, kobiety, humanoidzi, jedwabiste ubrania, futrzane okrywy i plecy z garbem skrzydeł. Głosy ludzi i nieludzi, obca muzyka szarpiąca jego nerwy, huczenie ukrytych maszyn, a przede wszystkim, głęboki szum i dudnienie dobiegające z nieba, mówiące że w pogłębiającym się zmroku nieustannie lądują kolejne, statki międzygwiezdne.

Jakby z jakiejś dużej odległości dobiegł do niego głos Gorra Holla, który mówił coś do niego, wskazując jednocześnie ręką naprzód, w stronę grupy tytanicznych budynków, wznoszących się jak białe Kordyliery, z wierzchołkami strzelającymi w niebo. Jego odrętwiały umysł potrzebował kilku chwil, żeby zrozumieć, że to było Centrum Rządowe, miejsce do którego zmierzali, miejsce w którym niebawem będzie musiał stanąć samotny, i przemówić do tych obcych z gwiazd, w obronie dalekiej Ziemi.

Rozdział 17: Wyrok gwiazd

Kenniston zacisnął ręce, ukryte pod stołem z błyszczącego plastiku, i próbował twardo trzymać się rzeczywistości.

To jest prawda, zaciekle sobie powtarzał. To dzieje się właśnie teraz, a ja nie zwariowałem. Nazywam się John Kenniston. Zaledwie parę tygodni temu byłem w Nowym Jorku. Teraz jestem w miejscu nazywanym Wega Centrum. Ale jednak ciągle jestem Johnem Kennistonem. To tylko planeta się zmieniła.

Jakaś część jego duszy jednak uważała, że to nie było tak. Była przekonana, że Wega Centrum i ten marmurowy amfiteatr, w którym siedział, były jedynie cieniami w ulotnym koszmarze, z którego tylko nie mógł się obudzić.

Niepewnym wzrokiem spojrzał w górę. Siedzieli w milczeniu, jeden rząd ponad drugim, balkon ponad balkonem, pełnym kołem dookoła olbrzymiej, rozbrzmiewającej echem sali, sięgając w górę, aż do cienistego sklepienia, obserwując go przygniatającym spojrzeniem tysięcy oczu, ludzkich i nieludzkich, ciekawych, zdecydowanych.

Najważniejsi ludzie Gwiezdnej Federacji. Sesja plenarna Rady Gubernatorów.

Te niezliczone setki ludzi przybyłych z najdalszych nawet planet galaktyki, dla nich on pewnie musiał się wydawać równie nierzeczywisty. Bez wątpienia im również wydawało się nieprawdopodobne, że spoglądają na człowieka z odległej już i dawno zapomnianej przeszłości.

Spokojny i rzeczowy głos Varn Allan, wtargnął w jego krążące gdzieś daleko myśli. Właśnie kończyła prezentację swojego raportu dotyczącego Middletown.

– To bardzo skomplikowana sytuacja. Próbując znaleźć jej rozwiązanie, prosiłabym aby państwo pamiętali, że ci ludzie stanowią przypadek specjalny, dla którego nie ma żadnych wcześniejszych precedensów. Wierzę, że są oni w pełni uprawnieni do specjalnego potraktowania.

– Dlatego przedstawiam następującą rekomendację dla rozwiązania tego problemu: Proponowana ewakuacja powinna zostać opóźniona do czasu aż ci ludzie będą mogli zostać psychologicznie uwarunkowani, do idei zmiany planety. Takie uwarunkowanie, zgodnie z moim przekonaniem, powinno umożliwić dalsze przeprowadzenie ewakuacji bez żadnych trudności.

Zerknęła na Nordena Lunda, który siedział obok niej przy stole.

– Być może Młodszy Administrator Lund ma jeszcze coś do dodania do mojego sprawozdania.

Lund uśmiechnął się tylko:

– Nie. Rezerwuję sobie jednak moje prawo do przemówienia, na czas nieco późniejszy. – Jego oczy błyszczały z oczekiwania na przewidywane wypadki.

Nastąpiła chwila ciszy. A Kenniston słyszał wręcz delikatny gigantyczny szmer oddechów i lekkich ruchów tysięcy siedzących w rzędach gubernatorów.

Przewodniczący, mały nerwowy człowiek, który kierował pracami Rady, zapytał o coś osobę siedzącą obok niego przy stole i powiedział:

– Rada Gubernatorów prosi o zabranie głosu pana Kennistona z Sol Trzy.

Władcy galaktyki czekali na jego słowa.

Czekali również i inni. Czekali w pyle i zimnie Sol Trzy, małej planety, której starożytna nazwa Ziemia, została już prawie zapomniana na tych rządowych salonach. Robotnicy z młynów, gospodynie domowe, ludzie bogaci i biedni, mieszkańcy Middletown.

Varn Allan spoglądała na niego i uśmiechała się zachęcająco.

Wziął głęboki oddech. Zmusił się, by zacząć mówić. Zmusił słowa, żeby wydostały się, z ciasnych, ciemnych korytarzy lęku.

– Nie prosiliśmy o to, żeby przybyć w wasze czasy. Jeżeli jednak już tu się znaleźliśmy, obowiązuje nas prawo Federacji, i nie sprzeciwiamy się waszej władzy jako takiej. Nie chcemy sprawiać żadnych kłopotów. Nasz problem ma charakter psychologiczny…

Próbował powiedzieć coś tym ludziom z Federacji, o tym jak wyglądało życie przed tym brzemiennym w skutki czerwcowym porankiem. Próbował wyjaśnić, aby zrozumieli, to jak bardzo jego rodacy są związani ze swoim światem, i dlaczego tak desperacko muszą się go trzymać.

– Rozumiem problemy technologiczne związane z utrzymywaniem życia na takich planetach jak nasza. Ale my wiemy co to bieda i cierpieliśmy ją już nie raz. Nie boimy się jej. Wierzymy gorąco w to, że po pewnym czasie, będziemy w stanie rozwiązać wszystkie nasze problemy.

– My nawet nie prosimy o waszą pomoc, chociaż bylibyśmy wdzięczni, gdybyście zechcieli jej nam udzielić. Wszystko o co was prosimy, to byście pozostawili nas w spokoju, tak byśmy mogli sami pracować nad naszym ratunkiem!

Przerwał na chwilę. Cisza i spojrzenia tysięcy obserwujących go oczu spadły na niego, z przygniatającą siłą.

Kenniston zmagał się z końcowymi słowami. Tak wiele było rzeczy, o których nie powiedział. Tak wiele spraw, których nie potrafił nawet ubrać w słowa.

W jaki sposób wyrazić historię rasy ludzkiej, dumę i smutek jej początków?

W końcu powiedział:

– Ziemia jest matką, która również i was zrodziła. Nie powinniście pozwolić jej umrzeć!

To był koniec. Na dobre, czy na złe, to był koniec, zrobił wszystko co mógł.

Jon Arnol, który siedział koło niego przy stole, pochylił się w jego stronę.

– Wspaniale – wyszeptał. I ponownie: – Wspaniale!

Przewodniczący zapytał:

– Czy to dzięki zastosowaniu teorii Jona Arnola, ma pan nadzieję przywrócić ponownie życie na Sol Trzy?

Zanim Kenniston zdążył odpowiedzieć, sam Jon Arnol wykrzyknął głośno:

– W tym punkcie, panie przewodniczący, prosiłbym o pozwolenie zabrania głosu!

Przewodniczący skinął przyzwalająco głową.

Arnol wstał. Gwałtowna energia, która go przepełniała, nie pozwoliłaby mu zbyt długo usiedzieć w fotelu. Zdawało się, że chciałby stawić czoła całej Radzie Gubernatorów na raz, wodząc po nich swym ponurym, wyzywającym spojrzeniem.

– Odmówiliście mi państwo kolejnej szansy na przetestowanie mojego procesu, pomimo faktu że żaden z naukowców o uznanej sławie nie był w stanie podważyć moich wyliczeń. Odmówiliście mi tej szansy, z powodu uwarunkowań politycznych, które były również przyczyną doprowadzenia do celowego niepowodzenia mojego pierwszego testu. To właśnie z tych powodów wybrano dla niego planetę zbyt małą, aby można było w jej jądrze przeprowadzić wybuch energii!

– Ale Ziemia jest zupełnie inną planetą. Tam eksperyment zakończy się sukcesem. I domagam się, abyście pozwolili mi go przeprowadzić! Proszę pamiętać, że ten proces rozwiąże nie tylko problem, który stoi bezpośrednio przed nami, ale również wszystkie problemy umierających planet, jakie wystąpią w przyszłości. Uważacie państwo, że ewakuacja, przenoszenie mieszkańców, jest lepszym rozwiązaniem. Ale nie możecie

przenosić ludzi w nieskończoność! – Przerwał na chwilę. Kiedy podjął mowę w jego głosie zabrzmiały surowe tony. – Nie możecie również dla jakiejś z góry przyjętej filozofii politycznej, bez końca zatrzymywać postępu naukowego. Powiadam wam, że nie macie prawa odmawiać obywatelom Federacji niezliczonych dobrodziejstw, których ten proces może im dostarczyć. Z wyżej wymienionych powodów, proszę o pozwolenie na udowodnienie działania mojego procesu, z wykorzystaniem planety Sol Trzy!

Usiadł na miejscu. W szeregach Gubernatorów, rozległy się szepty i wzajemne kiwnięcia głowami. Kenniston pożądliwie wpatrywał się w ich twarze. Nie można było niczego jeszcze powiedzieć…

– Myślę – wyszeptał Jon Arnol, – że chyba się nam udało! – Przewodniczący uniósł młotek, chcąc zasygnalizować początek glosowania.

Przerwał mu Norden Lund.

– Teraz ja proszę o moje prawo do zabrania głosu. – Zostało mu ono przyznane. A Kenniston poczuł, ze jego serce przestało bić. Głos Lunda rozbrzmiewał donośnie w całym amfiteatrze. – Jest pewien fakt, dotyczący tych, tak zwanych mieszkańców Middletown, o którym do tej pory nie wspomniano! Coś, czego mój zwierzchnik nawet nie odkrył! Fakt, o którym można się dowiedzieć z zapisów znalezionych w ich własnym starym mieście, odszyfrowanych przez eksperta do spraw lingwistyki i historii, towarzyszącego naszej ekspedycji.

Kenniston był coraz bardziej zdenerwowany. A więc teraz nadeszła ta chwila. Cokolwiek by to nie było. To, czego Lund dowiedział się od Piersa Eglina.

– Powiedziano nam tutaj, że ci mieszkańcy Middletown, są spokojnymi, nieszkodliwymi ludźmi. Prosi się was o pobłażliwość dla nich, o okazanie im specjalnych względów, o przejście do porządku dziennego, nad ich pewną niewielką gwałtownością. I dlaczego to niby? Ponieważ są istotami którym należy współczuć, niewinnymi ofiarami kaprysu losu, który rzucił ich daleko od ich własnego świata.

Twarz Lunda stwardniała. Jego głos zagrzmiał gniewna nutą.

– To nie żaden kaprys losu rzucił ich w nasze czasy. Powodem tego była wojna!

Przerwał, pozwalając aby wszyscy dobrze zrozumieli jego słowa. Kenniston widział twarz Varn Allan. Spoglądała na Lunda ze zdumieniem.

Lund kontynuował.

– Niech pan Kenniston zaprzeczy moim słowom, jeśli zdoła! To eksplozja nieprzyjacielskiej bomby atomowej przerwała continuum czasoprzestrzenne i przerzuciła jego miasto. Ci ludzie są dziećmi wojny, zostali zrodzeni i wychowani w wieku wojen.

– Proszę wziąć pod uwagę przemoc tłumu, groźby jakie były kierowane przeciwko urzędnikom Federacji, odmowę akceptacji pokojowej decyzji władz! Proszę wziąć pod uwagę fakt, że właśnie w tej chwili ci „pokojowo” nastawieni ludzie z Middletown są gotowi do wojny, wykopali okopy, ustawili na pozycjach swoje działa, gotowe ostrzelać każdy statek Federacji, który tam wyląduje! – Głos Lunda nieco opadł, ale przybrał dramatyczne tony. – Ostrzegam was, że ci ludzie zarażeni są chorobą wojny. Przez całe wieki nasza Federacja walczyła o to, aby uwolnić się od wojny, i udało nam się tego dokonać. Galaktyka została oczyszczona z tej ohydnej choroby. Teraz ponownie pojawiła się ona pośród nas.

– I my stojący na straży prawa Federacji, drżymy przed tym pokazem siły!

Kenniston już był na nogach. Jon Arnol wczepił się w niego, usiłując go powstrzymać. Varn Allan wychyliła się przez stół, mówiąc do niego zdesperowanym półgłosem.

– Nie rób tego, Kenniston! Zachowaj spokój!

Przewodniczący zapytał Lunda:

– Jaka jest więc pana rekomendacja dla Rady Gubernatorów?

Lund wykrzyczał:

– Trzeba pokazać tym ludziom, że nie można bezkarnie szydzić z pokojowych władz, grożąc im wojną! Należy ich usunąć, najszybciej jak to jest możliwe na jakąś odizolowaną planetę na obrzeżach galaktyki. Planetę tak odległą, aby nie byli w stanie zarazić swoją brutalną psychologią głównego nurtu myślenia Federacji!

Kenniston wyrwał się z uchwytu Arnola. Podszedł do Lunda, złapał go za przód kurtki i przysunął przed jego oczy swoją twarz, tak bladą z gniewu, że Lund aż się wystraszył.

– A kimże ty jesteś – warknął Kenniston, – aby nas osądzać?

Gniew zdusił w jego gardle dalsze słowa. Odepchnął Lunda od siebie, odrzucając go tak mocno, że aż poleciał na kolana, i odwrócił się od niego, stając twarzą do Gubernatorów.

– Tak, walczyliśmy na naszych wojnach! Walczyliśmy, ponieważ było to niezbędne, żeby myśl, postęp i wolność mogły przeżyć na świecie! Jesteście z tego powodu naszymi dłużnikami! Jesteście naszymi dłużnikami za życie ludzi, którzy umarli dlatego, żeby kiedyś, pewnego dnia, mogła powstać Gwiezdna Federacja! Jesteście naszymi dłużnikami również z powodu energii atomowej! Być może nie zawsze dobrze jej używaliśmy, ale to jest siła która stworzyła waszą cywilizację, i to my ją wam ofiarowaliśmy!

– Pomyślcie o tych sprawach, wy, ludzie z przyszłości! Pochodzicie z Ziemi i cała wasza cywilizacja wyrosła korzeniami z naszej krwi. Możecie żyć w pokoju, ponieważ my umieraliśmy na wojnach. Pamiętajcie o tym, kiedy tak tutaj siedzicie, poddając osądowi waszą przeszłość! – Stał bez słowa, rozdygotany, a Varn Allan podeszła do niego i odprowadziła go z powrotem na jego miejsce.

Lund w końcu podniósł się na nogi. Powiedział:

– Pozostawię działania samego pana Kennistona, jako mój ostateczny argument.

Usiadł w swoim fotelu. Przewodniczący uniósł młotek. Kenniston był ledwie świadomy toczącego się głosowania. Zmagał się z mglistą, ciemną zasłoną wątpliwości, gniewu i lęku, bojąc się usłyszeć słowa wyroku, o którym wiedział, że wkrótce zapadnie.

W końcu zostały wygłoszone:

– Ostateczną decyzją Rady Gubernatorów, mieszkańcy Sol Trzy mają zostać ewakuowani, zgodnie z wcześniej już wydanym oficjalnym poleceniem.

– Na tym etapie żadne eksperymenty na skalę planetarną z procesem Arnola, nie mogą zostać uznane za bezpieczne.

– Życzeniem Gubernatorów jest, aby mieszkańcy Sol Trzy zostali pokojowo zasymilowani z Federacją. Wyrażamy nadzieję, że ich postępowanie w przyszłości, uczyni tę operację możliwą. Jeżeli się tak nie stanie, niezbędne będzie pokazanie im daremności zbrojnego oporu.

– Posłuchanie uznaje się za zakończone.

Kenniston uświadomił sobie, że Arnol każe mu wstać. Podniósł się i razem z innymi wyszedł z amfiteatru. Usłyszał Varn Allan, mówiącą coś do Lunda, z gorzkim gniewem w głosie. Norden Lund uśmiechnął się tylko na jej słowa i natychmiast wyszedł.

Potem wszystko było jakoś niejasne i mgliste, aż do chwili kiedy znalazł się w swojej kwaterze i poczuł, jak Gorr Holl wsuwa w jego rękę szklaneczkę. Magro i Lal'lor siedzieli tam przez cały czas i czekali na zapadnięcie wyroku. Razem z nimi ciągle była Varn Allan i Arnol.

– Bardzo mi przykro, Kenniston – powiedziała Varn i wiedział, że myśli tak naprawdę. Pokręcił przecząco głową.

– To był mój błąd. Gdybym nie stracił panowania nad sobą…

– Niech pan siebie nie wini, Kenniston. Proszę mi wybaczyć, ale Lund miał na poparcie swoich słów wystarczająco dużo prawdziwych faktów, aby wygrać te batalię. Dlaczego pan, ani nikt z pana rodaków, nie powiedział mi, że w swoich czasach, w przeszłości, zaangażowani byliście w wojnę?

Pokręcił bezradnie głową.

– Ponieważ *nie* toczyliśmy żadnej wojny. Czy pani nie rozumie, ze bomba, która wyrzuciła nas z naszych czasów, została zrzucona w czasie pokoju? Nie wiemy o niczym, co nastąpiło później, ponieważ nas tam po prostu nie było!

Przez chwilę chodziła po pokoju w tą i z powrotem, marszcząc brwi, a potem powiedziała.

– Spróbuję wydłużyć termin realizacji tego polecenia ewakuacji, tak długo jak to tylko będzie możliwe. To być może pozwoli chociaż trochę złagodzić cios, jaki spotka pańskich rodaków. Do tej pory miałam pewien wpływ na Koordynatorów, teraz jednak nie wiem. Lund paskudnie podkopał moją pozycję.

Kennistonowi zaświtało wtedy w głowie, że ten dzień również dla niej był poważną klęską, i to w dodatku zupełnie niezasłużoną. Zbyt mocno zagłębił się we własną rozpacz, aby o tym pomyśleć.

Nadeszła więc jego kolej, aby powiedzieć:

– Bardzo mi przykro.

Uśmiechnęła się lekko i odwróciła się, żeby wyjść, zatrzymując się jedynie po to, aby na krótką chwilę położyć swoją dłoń na ramieniu Kennistona.

– Niech pan nie bierze tego sobie tak do serca – powiedziała. – Nikt nie zdołałby zrobić tego lepiej, niż pan.

Wyszła. Popatrzyli na siebie nawzajem, ze zniechęconymi, gniewnymi i ponurymi twarzami. Dwóch ludzi i trzech humanoidów.

– No cóż – przerwał w końcu ciszę Gorr Holl. – To była cholernie dobra próba. Głosuję za tym, żebyśmy nalali sobie drinka.

Magro powiedział:

– To będzie gorzka wiadomość dla naszych ludzi, Gorr. Oni już zaczynali mieć nadzieję.

Capellanin zahuczał basem:

– Wiem o tym. Zamknij się.

Podał szklaneczkę Jonowi Arnolowi, który siedział, gapiąc się ponuro w ścianę.

– Uszy do góry – pocieszył go. – Twój proces z pewnością pewnego dnia odniesie zwycięstwo.

Arnol odparł:

– Być może. Ale waszym rodakom, to nie przyniesie już żadnych korzyści. Wszystkim tym humanoidalnym rasom, które popierały moje prace, finansowały je i pokładały w nich swoje nadzieje. Zawiodłem was.

– Niech mnie diabli, jeśli to prawda – powiedział Gorr.

Kenniston z rozpaczą pomyślał o tych wszystkich ludziach, którzy pozostali na Ziemi, oczekując z niepokojem jego powrotu. Myślał o Carol i powoli powiedział:

– Nie mogę wrócić na Ziemię. Nie mogę stanąć wobec nich i powiedzieć, że ich zawiodłem.

– Dadzą sobie z tym radę – powiedział Gorr, w niezdarnej próbie uspokojenia go. – Pomimo wszystko przenosiny na nową planetę, nie są nawet w połowie tak wielkim szokiem, jak przerzucenie do innego czasu. Jakoś to przetrzymali.

– Kiedy to się stało, nie wiedzieli o tym wcześniej – odparł Kenniston. – To poważna różnica. I byli ciągle w miejscu, które dobrze znali. Nie. Nigdy się na to nie zgodzą. Będą walczyli aż do samego, i bardzo gorzkiego, końca.

Rozłożył ręce w geście daremnego gniewu.

– To jest właśnie to, czego nie jestem w stanie wytłumaczyć nikomu, nawet wam! Oni należą do Ziemi. Ona jest jak rozszerzenie ich samych. Zaryzykują wystawienie się na każde niebezpieczeństwo, ośmielą się stawić czoła każdemu zagrożeniu, aby się na niej utrzymać!

Jego spojrzenie padło wtedy na zgorzkniałą twarz Jona Arnola, który nie słuchał, skupiony na własnym rozczarowaniu. Puls Kennistona nagle skoczył w górę.

Delikatnie zaczął powtarzać:

– Każde niebezpieczeństwo, każde zagrożenie… Tak! Na Boga, *tak*!

Nagle wstrząsnęło nim uderzenie straszliwej, desperackiej nadziei. Zerwał się i podszedł przez pokój, do Jona Arnola.

– Mówiłeś, że masz mały krążownik międzygwiezdny i własną ekipę techniczną? – powiedział do niego.

Arnol potwierdził skinięciem.

– Tak, koło mojego warsztatu, w górach. – Dodał zgorzkniałym tonem: – Wczoraj w nocy wysłałem do nich wiadomość, aby przygotowali krążownik do podróży na Ziemię. Byłem taki pewny, ze w końcu nadeszła nasza chwila.

Kenniston delikatnie wypytywał go dalej:

– Powiedz mi, Arnol. Czy ty naprawdę wierzysz w ten własny proces?

Arnol zerwał się na nogi. Jego oczy nagle stały się gorące i wyglądał jakby miał zamiar uderzyć Ziemianina.

Kenniston naciskał go dalej:

– Czy wierzysz w niego wystarczająco mocno, żeby przeciwstawić się poleceniu Rady?

Arnol zesztywniał. Po chwili powiedział:

– Czy mógłbyś wyjaśnić to bliżej, Kenniston?

Kenniston wyjaśnił. Mówił, aż drżąc na myśl o swoim pomyśle. I stopniowo, oczy Arnola zaczęły świecić gorączkowym blaskiem.

Wymruczał pod nosem:

– Tak, na Ziemi, można to zrobić szybko. Te starożytne szyby cieplne powinny wyeliminować konieczność prowadzenia wierceń głębinowych.

Potem jednak pokręcił przecząco głową, z wyraźną obawą.

– Nie, to by znaczyło wyrzucenie z Akademii Nauk, wygnanie na resztę mojego życia. Nie mogę tego zrobić, Kenniston.

– Pracowałeś nad tym i czekałeś przez wiele lat – Kenniston z okrucieństwem drążył ranę. – Pewnego dnia sam porzucisz wszelkie nadzieje, a twój proces zostanie zapomniany i utracony.

Powstrzymał się jednak.

– Nie powiem już ani słowa więcej, poza tym, że to jest szansa dla ciebie, jeżeli oczywiście przyjmiesz moją propozycję. To szansa na wypróbowanie twojego procesu odmładzania planet na Ziemi!

Potem czekał, milcząc. Gorr Holl i pozostali tylko się temu przyglądali. Oczy Capellanina były bardzo jasne.

Arnol ukrył twarz w dłoniach i jęknął.

– Nie mogę, po prostu nie mogę! A jednak, przecież ja doskonale wiem, że oni nigdy nie udzielą pozwolenia. Dorobek całego mojego życia zmarnowany…

Kenniston przyglądał mu się, jak cierpi, złapany w sidła pomiędzy pragnieniem i lękiem. W końcu Arnol spróbował zrzucić z siebie odpowiedzialność za podjęcie decyzji. Powiedział z niepewnością:

– Musimy pozostawić tę decyzję twoim rodakom, Kenniston. Oni muszą się na to zgodzić i zaakceptować związane z tym ryzyko.

– Znam ich, i wiem, że na pewno się zgodzą – zawołał Kenniston. – Ale co będzie, jeśli to zrobią?

Paciorki potu spływały z czoła Arnola.

– Jeżeli oni będą tego chcieli, zrobię to – powiedział ochrypłym głosem.

Kenniston poczuł przepływające przez niego olbrzymie podniecenie. Jedna szansa, jedna jedyna i ostatnia szansa! Po tym wszystkim!

Spojrzał na Gorra Holla, Magro i Lal'lora. Spytał z kolei ich:

– Czy wchodzicie w to razem z nami?

Gorr Holl wydał z siebie potężny, huczący śmiech.

– Czy wchodzimy w to? – Podszedł do Kennistona i powiedział. – My, humanoidzi walczymy w tej bitwie już od bardzo długiego czasu. Czy myślisz, że moglibyśmy teraz to wszystko porzucić?

Kocie oczy Magro wręcz błyszczały podnieceniem, ale po prostu tylko skinął głową na zgodę.

Jon Arnol powiedział z rosnącą ekscytacją:

– Mój latacz jest zadokowany w Porcie Południowym, niedaleko stąd. Przelot do mojego warsztatu w górach, nie zajmie nam więc zbyt wiele czasu.

Lal'lor szczał mówić:

– Ja również…

Gorr Holl przerwał mu jednak:

– Ty, szary, zostaniesz tutaj i będziesz nas kryć. Każdemu kto będzie pytał, powiedz że wszyscy wyszliśmy z domu, żeby pokazać Kennistonowi miasto.

Miranin ciężko westchnął:

– W porządku, Gorr. Ale… spróbujcie zachować ostrożność. Mówię do wszystkich.

Wyszli z mieszkania. Niecałe pół godziny później, ich latacz mknął już poprzez noc, w drodze na drugą stronę Wegi Cztery.

Rozdział 18: Brzemienny powrót

Nadeszła kolejna noc jaką Kenniston spędzał na tej odległej planecie. Dookoła niewielkiego płaskowyżu, pod obcym niebem pełnym wspaniale jaśniejących gwiazd, czarne wierzchołki gór spoglądały z zadumą, na scenerię gorączkowej krzątaniny.

Wszędzie dookoła płonęły światła, oświetlając małe osiedle złożone z długich, niskich budynków, terminal dostawczy wyposażony w dźwig, i ciemniejszy metalowy kadłub niewielkiego krążownika międzygwiezdnego, poobijany i zmatowiały od długotrwałego użytkowania.

W burcie stojącego statku, rozdziawił swoją gardziel szeroki właz wejściowy. Kenniston i jego trzech towarzyszy toczyli właśnie w jego kierunku, z najwyższą ostrożnością, ciężki, czarny, owalny przedmiot, spoczywający w specjalnej kołysce na kółkach.

– Możecie być spokojni. Nie ma żadnej możliwości, żeby to wybuchło, przecież nie zostało nawet podłączone do źródła energii – uspokajająco powiedział Jon Arnol.

– Posłuchaj, jeżeli ta bomba energetyczna jest w stanie zmienić całą planetę, to wybacz, ale ja będę traktował ją naprawdę z dużym szacunkiem! – zahuczał basowo Gorr Holl.

Kennistona znowu opanowało dziwne wrażenie nierealności. Cały projekt wydawał mu się teraz kompletnie szalony, tylko jakiś ptasi móżdżek mógł go wymyślić. Ta wielka, czarna masa, której dotykały właśnie jego dłonie… w jaki niby to sposób miała zmienić przyszłość świata?

Próbował zdusić w sobie dręczące go wątpliwości. Naukowcy z tego współczesnego uniwersum, mistrzowie wiedzy wykraczającej dalece poza jego własną, potwierdzali sensowność teorii Arnola. To właśnie zachęciło go do rozpoczęcia tego projektu i tego musiał się dalej trzymać. Za późno już było na jakieś wątpliwości i pytania.

Był już zmęczony, śmiertelnie zmęczony. On, Gorr Holl i Magro, pracowali bez żadnej przerwy przez cały poprzedni dzień, pomagając Arnolowi i jego ekipie technicznej, załadować całe stosy zapasów, i nieznanego wyposażenia, niezbędnego do przeprowadzenia całego eksperymentu.

Ten niewielki międzygwiezdny krążownik, był roboczym statkiem Arnola. Służył mu wielokrotnie, w dziesiątkach podróży badawczych, po całej galaktyce. A gorliwi młodzi członkowie załogi, którzy tak długo pracowali już i marzyli u boku Arnola, nie zadawali żadnych pytań. Kenniston nawet nie miał sposobności zapytać ich, czy domyślali się, na czym ma polegać ich misja, czy nie.

Kiedy czwórka ludzi ze swoim tajemniczym ładunkiem dotarła do luku statku, do Arnola podszedł pierwszy pilot.

– Statek został już sprawdzony i jest gotów do startu, kiedy tylko będzie pan gotowy.

Arnol kiwnął potwierdzająco głową. Ludzie z obsługi technicznej, przejęli zadanie załadowania bomby energetycznej i solidnego jej umocowania w odpornym na wstrząsy łożu.

– Jak tylko skończą to robić – odparł Arnol pilotowi. Spojrzał na Kennistona i pozostałych, ze zmęczonym ale tryumfującym uśmiechem. – Za około dwadzieścia minut, będziemy już w drodze.

Wtedy właśnie Kenniston dojrzał strumienie gazów wyrzucanych przez silniki odrzutowe, zmierzającego ku płaskowyżowi latacza, kreślące rozległą krzywą płomieni w poprzek całego nieba.

Inni również go zauważyli. Czekali, podczas gdy ekipa techniczna szybko kończyła swoją pracę. Kenniston powiedział do nich:

– To musi być Lal'lor, z jakąś wiadomością!

– Z pewnością – potwierdził Arnol. – Nikt inny nie mógłby wiedzieć, że tu jesteśmy.

Ich niepokój jeszcze się powiększył, kiedy przyglądali się jak latacz błyskawicznie podszedł do lądowania. Kennistonowi desperacko po głowie krążyła tylko jedna myśl: „Nikt inny nie mógł tego wiedzieć! Nie mogliśmy być przecież śledzeni!"

Wraz z pozostałymi ruszył biegiem przez płaską powierzchnię lądowiska.

Kiedy zbliżyli się do stojącego latacza, zobaczył jakąś postać, wychodzącą właśnie z kabiny. To jednak nie był Lal'lor. Przed nim stał jakiś człowiek, którego nigdy wcześniej nie widział, krępy mężczyzna, z krótko obciętymi stalowo-szarymi włosami, i znamieniem władzy na swojej kwadratowej twarzy.

Za obcym pojawiła się Varn Allan, a razem z nią, z rozjaśnioną tryumfem twarzą, z latacza wysiadł Norden Lund.

Kenniston stanął, jego serce zamarło w czarnej rozpaczy. Krępy przybysz stał, przyglądając się ożywionej krzątaninie wokół krążownika, zdumionym, niedowierzającym wzrokiem.

– Nigdy bym nawet nie pomyślał, że to jest możliwe! – wykrztusił z siebie. – Lund, miał pan zupełną rację. Oni mają zamiar to zrobić bez pozwolenia!

Lund powiedział uszczęśliwiony:

– Tak jest, sir. Podejrzewałem to, i dlatego kazałem ich obserwować. Sam pan teraz widzi. – A następnie przemówił do Kennistona, Arnola i pozostałych: – Panowie pozwolą, że przedstawię. To jest koordynator Mathis.

Varn Allan stała bez ruchu i przyglądała się im samym oraz otoczeniu. Jej twarz w białym świetle lamp, była kompletnie zszokowana i niedowierzająca. Wyglądała tak jakby nie mogła dać wiary w to co widzi.

– Nie mogłam w to uwierzyć – w końcu się odezwała, mówiąc do Kennistona powoli, odmierzając słowo po słowie. – Kiedy koordynator poinformował mnie o tym, co przekazał mu Lund, na temat pańskich zamierzeń, po prostu mu nie uwierzyłam. Przyleciałam tutaj razem z nim, żeby mu udowodnić, że się myli.

Przerwała na chwilę, a jej niebieskie oczy, utkwione w Kennistona, stawały się coraz bardziej gorące.

– Ale nie miałam racji. Pan jest kompletnym barbarzyńcą, nie mającym żadnego szacunku dla prawa. Zaczynam powoli myśleć, że pan i pańscy rodacy, *powinni* zostać poddani kwarantannie!

Koordynator Mathis, ponurym wzrokiem zmierzył Jona Arnola.

– Tym razem, posunął się pan za daleko, Arnol. Zna pan karę jaka grozi za złamanie prawa Federacji, nawet jeśli ten Kenniston, jeszcze nie zdążył się nauczyć odpowiedniej lekcji.

– Areszt – miękko powiedział Lund. – Areszt i wygnanie dla nich wszystkich. Mam nadzieję, sir, że będzie pan pamiętał, że to właśnie ja wykryłem i ujawniłem ten zbrodniczy spisek, podczas gdy mój przełożony, okazywał wręcz otwartą sympatię dla kryminalistów.

– Będę o tym pamiętał – szorstko odparł Mathis. – Teraz, proszę natychmiast o tej sytuacji powiadomić Wega Centrum.

Lund odwrócił się, by wrócić do latacza. Kenniston wiedział, że jego radio-telewizor, pozwoli mu na błyskawiczne nawiązanie kontaktu z Centrum Rządowym.

Skoczył do przodu, podbiegając kilka kroków. Dopadł do Lunda i łapiąc jedną ręką za ramię mężczyzny, obrócił go dokoła. Drugą ręką wyprowadził nokautujące uderzenie prosto na jego szczękę.

Mathis zrobił krok w tył, wyraźnie przerażony aktem przemocy. Kiedy Lund próbował się pozbierać i stanąć na nogi, Varn Allan podbiegła w stronę Kennistona:

– Niech pan się cofnie, Kenniston! – Ostro mu rozkazała. – Nie znajduje się pan już na pańskiej barbarzyńskiej planecie! Nie może pan…

Nie miała szansy na dokończenie swych słów. Lund szybko się zerwał, wyciągając z kieszeni małą, szklaną broń. Na tyle dobrze przewidział reakcję Kennistona, by przybyć tu uzbrojony.

Wielka futrzana postać Gorra Holla wyłoniła się znienacka spoza młodszego administratora. Jedna ogromna łapa schwyciła rękę z bronią; druga ręka otoczyła ciało Lunda i uniosła je w powietrze, jak dziecko. Potężne palce zacisnęły się mocno. Szklana broń wyleciała z ręki Lunda.

– Natychmiast masz mnie wypuścić! – wysapał z trudem administrator. – Rozkazuję ci…

– Jeszcze mógłbyś komuś zrobić krzywdę – zahuczał basem Gorr Holl i potrząsnął Lundem, tak że aż zaszczękały mu zęby. – Ty mi nie możesz wydawać żadnych rozkazów, mały człowieczku!

Rozejrzał się wokoło, ciągle trzymając Lunda w górze.

– Ni i co teraz? – zapytał Mathis, lekko drżącym głosem. – Żądam w imieniu Federacji… – Nikt jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na jego żądania, a więc przerwał.

Arnol w końcu doszedł do siebie. Na jego twarzy pojawiła się stalowa maska.

– Za to, co zrobiliśmy wcześniej, już zasłużyliśmy na wyrok. Aresztowanie i wygnanie. Specjalnie niczego więcej, nie mogą nam w tej chwili zrobić, nawet jeśli doprowadzimy całą tę sprawę do końca. Czy nadal w tym jesteście?

– Tak! – Kenniston popatrzył na Mathisa i Varn Allan. Powiedział przepraszającym tonem:

– Bardzo mi przykro, że wasza dwójka w ogóle się tutaj pojawiła. Teraz musicie polecieć z nami. Wy dwoje i Lund. Nie możemy was tutaj zostawić, żebyście nie podnieśli alarmu.

Jej oczy napotkały jego wzrok, zimne i pewne.

– Nic to panu nie da. Zarówno nasze, jak i pańskie zniknięcie, zostanie bardzo szybko zauważone.

Nie powiedziała ani słowa więcej. Tylko raz obrzuciła okiem latacz, następnie otaczających ją dokoła mężczyzn i szybkość Magro. Nawet nie próbowała uciekać.

Arnol odwrócił się, aby stanąć twarzą do swoich ludzi. Powiedział im:

– W żaden sposób nie jesteście odpowiedzialni za moje czyny, i nadal nie ciążą na was żadne zarzuty. A więc możecie teraz swobodnie zdecydować, czy chcecie polecieć ze mną, czy nie.

Pierwszy pilot zrobił krok do przodu. Był wysokim młodym mężczyzną, z lekkomyślnym szerokim uśmiechem na twarzy, i oczyma, w których nie było widać nawet śladu lęku.

– Zbyt wiele razy pociłem się, żeby przeciągnąć to pudło przez całą galaktykę, bym mógł teraz zrezygnować – powiedział. – Nie wiem, jak inne chłopaki, ale ja idę.

Pozostali, technicy, członkowie ekipy, wykrzyczeli swoje zgody.

– Pracowaliśmy nad tym zbyt długo i zbyt ciężko, aby teraz odrzucić tę szansę! Jesteśmy z tobą, Arnol!

Ciemne oczy Arnola zaciągnęły się mgiełką, która była podejrzanie podobna do łez wdzięczności. Ale jego głos zagrzmiał jak dzwon, wykrzykując:

– A więc, przygotować się do startu! Statki rządowe ruszą naszym śladem, zaraz jak tylko wyda się, że zniknęli koordynator, Varn Allan i Lund!

Ludzie ruszyli biegiem do krążownika międzygwiezdnego. Kenniston poszedł za nimi, trzymając się blisko Varn Allan, mając za plecami Gorra Holla, który niósł w swoich wielkich łapach, wijącego się i protestującego Lunda. Magro prowadził bladego jak ściana Mathisa, który nawet się nie opierał, ani niczego nie mówił.

Włazy zostały zamknięte. Zawory śluz powietrznych szczęknęły ustawiając się w odpowiednich pozycjach. Podążając wąskim przejściem za Arnolem, Kenniston widział szybką uporządkowaną bieganinę, jaka zawrzała na statku. Na grodziach rozbłysły światła ostrzegawcze. Rozdźwięczały się różnego rodzaju sygnały. Gdzieś, głęboko w trzewiach krążownika, zgrzytnęła budząc się do życia maszyneria, której odgłos pracy powoli przeszedł w jednostajny szum.

Arnol szarpnął i otworzył dwoje drzwi, które znajdowały się naprzeciwko siebie po obu stronach korytarza. Wskazując na jedne z nich, powiedział:

– Wydaje mi się, że tutaj będzie pani najwygodniej, administrator Allan. Mam nadzieję, że zrozumie pani, że musimy trzymać te drzwi zamknięte na klucz.

Bez słowa weszła do środka. Lund i Mathis zostali wepchnięci do przeciwległej kabiny. Ten pierwszy ciągle wywarkiwał jakieś groźby. Arnol spojrzał na światła ostrzegawcze.

– Wszystko gotowe – powiedział. – No to dalej.

Kenniston przesiedział ostatnie sekundy przygotowań krążownika, w kompletnym oszołomieniu, czując jak zwaliło się na niego całe zmęczenie ostatnich godzin. Potem zadźwięczał dzwonek i mały statek ruszył w górę bez najmniejszego szarpnięcia. Przez chwilę poczuł niewielką sensację, spowodowaną olbrzymim przyśpieszeniem, nieco większą niż na *Thanis*. Teraz już wiedział o elastycznych stabilizujących polach siłowych, które przytrzymywały wszystko wewnątrz kadłuba statku, aby złagodzić przeciążenia spowodowane przyśpieszaniem.

Tak jakby we śnie, Kenniston słuchał wyjącej jak banshee atmosfery, poza burtą statku. Potem przez port widokowy, zobaczył wielką, zachmurzoną powierzchnię Wegi Cztery, ulatującą w dół z powolnym majestatem. I wtedy nagle znikło niebo, zastąpione przez bezdenne czarne sklepienie przestrzeni kosmicznej, gęsto obwieszonej splotami, łańcuchami i wisiorami gorejących gwiazd.

Następną rzeczą, którą odebrał, była potrząsająca nim delikatnie, olbrzymia łapa Gorra Holla.

– Chodź ze mną, Kenniston. Zupełnie odpłynąłeś. Czas iść spać.

Wielki Capellanin, po prostu wziął go na ręce, zaniósł do kabiny i położył na koi.

Obudził się kilka godzin później, nadal czując się zesztywniały i zmęczony napięciami, jakie przeżył w ciągu ostatnich kilku dni. Wyjrzał na zewnątrz. Krążownik obecnie znajdował się w głębokiej przestrzeni, niestrudzenie przemierzając potężną otchłań kosmosu, która oddzielała go od Ziemi. Kenniston poczuł mimowolny dreszcz. Te podróże przez wielkie międzygwiezdne przestrzenie, wchodziły jednak w krew.

Wetknął głowę do kabiny mostka i zobaczył tam siedzących Magro i pierwszego pilota.

– Nasłuchuję przez cały czas na odbiorniku wizora – oznajmił Spicanin. – Tam za nami, ciągle jeszcze nie ma śladu żadnego alarmu.

– Ale będzie, kiedy tylko stwierdzą, że Varn, Lund i my zniknęliśmy bez śladu.

– Tak. A statki Kontrolerów będą nas tropić jak psy gończe. Tam, na Ziemi, nie będziemy mieli zbyt wiele czasu.

Kenniston zamilkł. Potem zapytał:

– Gdzie jest Arnol?

– Powinien być w przedziale bombowym.

Kiedy Kenniston niemal po omacku schodził po niekończącym się szeregu drabinek, do przedziału, w którym w swoim łożu spoczywała olbrzymia bomba, ponownie zaczęły w nim narastać te niepokojące wątpliwości.

Do tej pory, szybkość rozwoju wypadków, nie pozwalała na jakieś specjalne rozterki. Teraz jednak, chwila wolnego czasu spowodowała, że zaczęły go dręczyć najróżniejsze myśli, i nagle pokładanie wszystkich nadziei, ostatnich ludzi na Ziemi, w tej czarnej rzeczy, wydało

mu się kompletną fantasmagorią. Jak do tej pory była ona testowana jedynie raz, i ten test skończył się katastrofalnie…

Jon Arnol Siedział w przyćmionym świetle przedziału bombowego, i uśmiechał się szczęśliwym, spokojnym uśmiechem.

– Podziwiałem moje dziecko, Kenniston. To wydaje się takie głupie, nieprawda? Ale włożyłem w tę rzecz większość mojego życia. Czekałem. Jakże długo musiałem czekać! A teraz, przez krótka chwilę…

Jego spojrzenie ponownie z czułością spoczęło na czarnym, metalicznym owalu, leżącym w zagłębieniu swojej kołyski.

– To jest moje marzenie, to jest praca połowy mojego życia i to jest moc, która pozwoli ożywić świat.

Kenniston wydusił z siebie swoje natrętne wątpliwości:

– Czy ta bomba naprawdę może rozpalić ponownie wewnętrzne ciepło Ziemi? W jaki sposób?

Arnol odparł, nieco bezradnie.

–Wiem jak niepewność musi ciążyć ci na sercu. Chciałbym wyjaśnić ci moje obliczenia. Ale w jaki sposób miałbym to zrobić, nie ucząc cię najpierw tych wszystkich nowych rzeczy, które minione wieki wprowadziły do nauki?

Kontynuował:

– Ale pomimo, że dosyć pierwotnym, jesteś jednak naukowcem. Spróbuję ci przynajmniej wyjaśnić główną zasadę. Wiesz, że większość gwiazd czerpie swoją energię z reakcji nuklearnych, które zmieniają cztery atomy wodoru w jeden atom helu, poprzez serię kolejnych transmutacji, włączając w to węgiel i azot?

Kenniston szybko potwierdził głową.

– Tak, ten cykl węglowo-azotowy, został odkryty właśnie w moich czasach. Naukowcy nazwali go Solar Phoenix. Niewielka część masy atomów, jaka pozostaje po tym cyklu, jest źródłem promieniowania słonecznego.

– Dokładnie – powiedział Arnol. – Nie możesz jednak wiedzieć, że w ciągu tych wieków jakie minęły od twoich czasów, naukowcom udało się wywołanie podobnych reakcji cyklicznych w innych, *cięższych* pierwiastkach. To jest właśnie klucz do mojego procesu.

– Większość planet, podobnie jak twoja Ziemia, ma jądro, złożone z żelaza i niklu. W warunkach laboratoryjnych, osiągnięto transformację żelaza w nikiel, w reakcji cyklicznej, uwalniającej duże ilości energii. Zapytałem więc siebie, czy zamiast w laboratorium, nie dałoby się uruchomić tej reakcji we *wnętrzu planety*?

– Mógłbyś wtedy odtworzyć podstawową reakcję zachodzącą w gwiazdach, we wnętrzu takiej planety? – Kenniston powiedział z niedowierzaniem.

– Nie do końca, ponieważ cykl żelazo-niklowy nie generuje tak straszliwego promieniowania, jak twój Solar Phoenix – poprawił go Arnol. – Utworzy jednak wewnątrz planety gigantyczny piec słoneczny, i dzięki temu podniesie temperaturę na powierzchni o wiele stopni.

Kenniston wyraził swój najgłębszy niepokój.

– Czy nie ma niebezpieczeństwa, że reakcja nuklearna wyrwie się na powierzchnię planety?

– Nie da rady się przebić – oznajmił Arnol. – Cykl może być zasilany jedynie niklem i żelazem, a masywna zewnętrzna sfera krzemu i aluminium wokół jądra, na zawsze będzie utrzymywać reakcję w środku.

Dodał jeszcze:

– Właśnie dlatego, bomba energetyczna, wyzwalająca reakcję, musi zostać detonowana w samym jądrze. I właśnie dlatego, na twojej Ziemi, możemy tak szybko uruchomić ten proces.

Te znajdujące się tam antyczne szyby cieplne, pozwolą na dostęp do głębokich partii jądra, bez złożonych wstępnych wierceń.

Kenniston skinął głową. Teoria zdawała się wyglądać całkiem nieźle. Ale jednak…

Bardzo powoli powiedział:

– Ale kiedy przetestowałeś to wszystko parę lat temu, planeta została niemal zniszczona przez trzęsienia wywołane przez tę eksplozję w jądrze.

– Planetoida – zmęczonym głosem powiedział Arnol. – Nie planeta. Chyba wyjaśniałem to już dostateczną liczbę razy. Jej masa była niewystarczająca, aby utrzymać wybuch energii. – Nagle dorzucił z gniewem: – Dlaczego byłem taki głupi, żeby zaakceptować te niemożliwe do przyjęcia warunki testu? Powtarzam jednak, Kenniston, ja naprawdę wiem co robię. Cała Akademia Nauk, nie była w stanie znaleźć luki ani błędu w moich obliczeniach. To będzie musiało ci wystarczyć.

– Tak – westchnął Kenniston. – Tak, chyba będzie musiało.

Ale, kiedy opuszczał Arnola, nie był w stanie do końca stłumić swoich obaw i wątpliwości. To stworzenie ludzką ręką pieca słonecznego w sercu planety, było dla jego umysłu tak monstrualnym czynem, jakim dla pierwszych ludzi musiało być rozpalenie ognia. Co jeśli na skutek swojej wiary w Jona Arnola, skazał Ziemię na zagładę, zamiast jej pomóc?

Jednak w głowie rysowała się mu jasna decyzja. Jeżeli była najmniejsza choćby możliwość, że powierzchnia Ziemi może zostać rozerwana przez niszczące wstrząsy, to podczas detonacji bomby nie powinien zostać na niej nikt, kto nie robił tego ze własnej i nieprzymuszonej woli.

Z dziwnym ukłuciem winy, pomyślał o Varn Allan. Ona, Lund i Mathis, więźniowie nie z własnej woli, będą musieli zostać wypuszczeni, zanim zostanie podjęte tak wielkie ryzyko. Jest jej winien przynajmniej to.

Drzwi jej kabiny miały prosty zamek szyfrowy, a kod który je otwierał, na wszelki wypadek, został przekazany wszystkim na pokładzie. Kenniston wprowadził go i wszedł do środka.

Siedziała w podobny sposób, jak on siedział na pokładzie *Thanis,* z przygarbionymi ramionami i spojrzeniem zadumanym nad ogromem kosmosu, widocznym przez port widokowy. Widząc na jej twarzy zmarszczki spowodowane napięciem nerwowym i zmęczeniem, domyślił się, że w ogóle nie spała.

Natychmiast wyprostowała się, i wyzywająco odwróciła w jego stronę.

– Czy w końcu opamiętaliście się, i porzuciliście ten zbrodniczy projekt? – zapytała.

Nieustępliwy gniew, widoczny w jej oczach, pobudził Kennistona do równie gniewnej odpowiedzi:

– Nie mamy takiego zamiaru – odparł. – Przyszedłem tu, jedynie po to, by powiedzieć pani, że pani, Lund i Mathis, będziecie mogli opuścić Ziemię, zanim cała ta rzecz zostanie uruchomiona.

– Czy pan myśli, że mnie obchodzi moje osobiste bezpieczeństwo? – wykrzyknęła Varn Allan. – Tu chodzi o tysiące pańskich rodaków, którym pan zagraża, poprzez to szalone wyzwanie rzucone prawom Federacji!

– Do diabła z prawem Federacji – szorstko odparł.

Jej oczy rozbłysnęły ogniem.

– Jeszcze się pan dowie czegoś o jego sile! Statki Kontroli będą pędziły pełną mocą w kierunku Ziemi! Będą tam zanim nawet zdąży pan rozpocząć swój projekt!

Niepomiernie zirytowany, chwycił ją za ramiona, w szorstkim odruchu, by nią potrząsnąć.

Wtedy, nagle wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Varn Allan zaczęła płakać.

Gniew Kennistona, natychmiast się rozpłynął, zmieniając się w zmieszanie. Zawsze wydawała mu się tak chłodna, opanowana i zamknięta w sobie, że widok jej łez był czymś zupełnie deprymującym.

Po chwili, zaczął niezdarnie głaskać ją po ramionach.

– Przepraszam panią, Varn. Wiem, że tam na Wedze, próbowała mi pani pomóc. I z pewnością musi się pani wydawać, że jestem niewdzięczny. Ale to nie tak! Chodzi po prostu o to, że ja *muszę* spróbować tej rzeczy, albo wkrótce zobaczymy jak mieszkańcy Middletown będą łamać swoje serca, próbując walczyć z pani Federacją.

Spojrzała na niego, z wilgotnymi oczyma, i wyszeptała:

– Zachowuję się jak afektowany głupiec.

Oddał spojrzenie, nadal trzymając ręce na jej ramionach. Odepchnęła go lekko w tył. Wydawała się unikać jego wzroku, kiedy powiedziała:

– Wiem, że jest pan szczerym człowiekiem, Kenniston. Wiem jednak również, że to jest zła droga, że nie może pan z sukcesem przeciwstawiać się sile wszystkich gwiazd.

Kiedy od niej wyszedł, czuł się dziwnie przygnębiony. Próbował o tym nie myśleć — próbował zapomnieć jej dotyk, próbował nie analizować tego dławiącego gardło uczucia, które przez moment go rozdzierało.

– To jest po prostu szaleństwo – zamruczał do siebie pod nosem. – No i jest przecież Carol…

Przez te wszystkie dni i godziny, kiedy mały krążownik międzygwiezdny pędził z pełną szybkością przez pustkę galaktyki, nie poszedł do niej już ani razu. Jakoś dziwnie obawiał się kolejnego spotkania.

Kiedy przyćmiona, czerwona iskierka Sol, rozrosła się do posępnej kuli, w Kennistonie zaczęło narastać napięcie. Podczas gdy krążownik z malejącą prędkością, przelatywał koło pozbawionych życia planet zewnętrznych, stał spoglądając przed dziób statku.

– Kiedy już będziemy na miejscu, musimy działać bardzo szybko – z napięciem mówił Jon Arnol. Po nim również widać było zdenerwowanie. – Statki Federacji musiały już ruszyć naszym śladem, żeby nas powstrzymać.

Kenniston nic nie odpowiedział. Kiedy spoglądał jak szary glob starej Ziemi coraz bardziej rośnie przed oczyma, te zimne, nie dające spokoju, wątpliwości kładły się na nim coraz głębszym cieniem.

Tam byli jego rodacy, czekający na wynik misji. Co też przywoził im i ich umierającej planecie. Nowe życie, czy też finalny, ostateczny zgon?

Rozdział 19: Middletown decyduje

Ze ściśniętymi nerwami, Kenniston kroczył przez kurz i pustkowie równiny, w kierunku jasnej kopuły Nowego Middletown. Razem z nim szli Arnol, i wielki Gorr Holl. Zimny wiatr był dokładnie taki, jak go zapamiętał, podobnie czerwone, podchodzące ku zachodowi Słońce, ozdobione swoją koroną płomieni.

– Doskonale! – wyszeptał Arnol. – Doskonale! Taki właśnie świat jest wręcz wymarzony dla mojego testu.

– Idą do nas – powiedział Gorr Holl, i wskazał ręką na portal.

Uzbrojone straże, rozpoznały Kennistona i wielkiego Capellanina. Wiadomość już rozeszła się dokoła i ludzie z Middletown wylewali się z portalu, aby ich powitać.

W ciągu kilku sekund, tłum otoczył ich dookoła, krzycząc i niemal rozdeptując w podekscytowaniu. Rozpoznał w nim dobrze znane twarze, Buda Martina, Johna Borzaka, Laubera…

Wysoka postać McLaina wyciągnęła ramiona w jego kierunku.

– Co tam się działo, Kenniston?

– Tak, jaki jest wyrok? – dołączyły się kolejne okrzyki z tyłu. – Czy pozwolą nam tu zostać?

Podniósł swój głos, żeby przekrzyczeć podniecony tłum.

– Idźcie wszyscy na plac! Przekażcie tę wiadomość pozostałym! Tam o wszystkim wam powiem!

– Na plac! Na plac!

Część z nich zaczęła biec z powrotem w stronę miasta, żeby rozgłosić tę wiadomość na ulicach. Inni roili się wokół Gorra Holla, ciesząc się, że widzą go z powrotem. Z ciekawością przypatrywali się Jonowi Arnolowi, natarczywie dopytując się, kto to jest, ale Kenniston tylko kręcił przecząco głową. Historia będzie na tyle skomplikowana, że chciał ją przekazać od razu w całości. Nie będzie tego robił wielokrotnie.

Szukał pośród tłumu twarzy Carol. Stęsknił się za jej widokiem, ale niespodziewanie, gdzieś w głębi jego umysłu, pojawiła się dziwna niechęć do spotkania z nią. Zupełnie nie rozumiał, czemu się tak dzieje. Nie było jej jednak nigdzie widać, powinien przewidzieć, że nie będzie chciała ryzykować wmieszania się w ten podniecony tłum.

Burmistrz Garris, zapędził się po niego, aż do samego portalu, mając za sobą Hubble’a i kilku członków Rady Miejskiej.

– Czy załatwił pan nasze sprawy, Kenniston? – wykrzyknął. – Czy udało się panu spowodować, że tam w kosmosie nas zrozumieli?

Kenniston krótko odparł:

– Chciałbym złożyć swoje sprawozdanie na placu, tak by wszyscy mogli je usłyszeć.

Burmistrz posłał mu zatroskane i na wpół wystraszone spojrzenie, i cofnął się. Kenniston sięgnął by złapać za rękę Hubble’a.

– Muszę z tobą porozmawiać, Hubble – powiedział. Coś zrobiłem i teraz nie wiem…

Szybkim półgłosem zdał starszemu naukowcowi relację ze wszystkiego, kiedy szli ulicami do centrum.

Reakcja Hubble’a była taka sama jak Kennistona, kiedy po raz pierwszy opowiedziano mu o całej rzeczy. Wzdrygnął się cały, przerażony.

– Mój Boże, Ken! To kompletne szaleństwo… niebezpieczne…

Kiedy jednak usłyszał więcej, jego zaniepokojenie zmieniło się w skupioną uwagę, a potem w żywe zainteresowanie.

– Jak do tej pory to brzmi logicznie, w świetle wszystkich znanych nam zasad nauk fizycznych. – Popatrzył na Jona Arnola. – Gdybym tylko mógł swobodnie z nim porozmawiać!

– Nic by to nie dało – ponuro odparł Kenniston. – Najbardziej przykrym elementem całej sprawy, jest to że ich nauka po prostu o milion lat wyprzedza naszą wiedzę.

Hubble zwrócił się do Gorra Holla. Pracował razem z wielkim futrzastym Capellaninem. Znał go więc i ufał jego zdolnościom jako inżyniera atomistyka. Zatrzymując się na chwilę, spytał go:

– Czy proces Arnola będzie działał?

Gorr Holl odpowiedział prosto z mostu:

– Wierzę w to wystarczająco mocno, aby zaryzykować swoje życie, pomagając to udowodnić.

Kenniston przetłumaczył to. Wydawało się, że Hubble'a to uspokoiło.

– To nadal wydaje się być bardzo ryzykowne, Ken. Ale… myślę, że warto spróbować.

Wkrótce Kenniston wszedł na stopnie budynku, pełniącego funkcję ratusza i stanął przed mikrofonem. Przed nim zebrały się tysiące mieszkańców Middletown, układanka spragnionych wieści twarzy, podekscytowanych i oczekujących.

Nadszedł moment, którego obawiał się najbardziej, moment, o którym już wcześniej myślał, że będzie dla niego trudny do zniesienia. I teraz było mu nawet ciężej niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał, ogłosić te wiadomości, które musiał im przekazać.

Żadne owijanie w bawełnę nic by tu nie dało. Przekazał więc to, w sposób niemal brutalny.

– Decyzja jest na naszą niekorzyść. Powiedzieli, że musimy stąd odejść.

Słuchał ryku, który wybuchł po jego słowach, gniewnego krzyku ludzi, doprowadzonych do granic swojej cierpliwości.

Burmistrz Garris wyraził namiętną reakcję wszystkich mieszkańców Middletown.

– Nie opuścimy Ziemi! A jeżeli chcą nas pchnąć do walki, to będą ją mieli!

Kenniston podniósł w górę ręce, prosząc o spokój.

– Zaczekajcie! – krzyknął do mikrofonu. – Słuchajcie! Być może nie będziecie musieli odchodzić, i nie będziecie musieli walczyć. Jest pewna szansa…

Powiedział im o zaproponowanym przez Jona Arnola wielkim eksperymencie, tak prosto i ostrożnie, jak tylko mógł.

– Ziemia mogłaby być znowu ciepła. Być może nie aż tak ciepła jak kiedyś, ale wystarczająco do tego, byście mogli tu wygodnie żyć po wsze czasy.

Zapanowała długa cisza. Wiedział, że cała koncepcja była dla nich zbyt rozległa, by mogli ją od razu uchwycić. Próbowali ją jednak ogarnąć, poprzez porównanie z jakimiś znanymi im rzeczami. Planetarna skala całego problemu, była poza ich zasięgiem. Próbowali więc nadać mu jakieś osobiste znaczenie, które byli w stanie zrozumieć.

W końcu do przodu wystąpił John Borzak, wychudły, posiwiały człowiek, który spędził życie we młynach.

– Czy to znaczy, panie Kenniston, że wtedy moglibyśmy wrócić do Middletown?

– Tak – odparł Kenniston.

Nagle wybuchła taka radość, że aż wstrząsnęła potężnymi ścianami okolicznych budynków.

– Z powrotem do Middletown! Czy to słyszeliście? Moglibyśmy wrócić do Middletown!

Kenniston przeżył wstrząs, ponad wszelką miarę. Dla nich ruszenie posad planety i przywrócenie jej z powrotem do życia, znaczyło przede wszystkim jedna rzecz — możliwość

powrotu do szarego małego miasteczka za wzgórzami, miasteczka które nadal było ich domem.

Ponownie poruszył rękoma, prosząc o ciszę.

– Muszę was jednak ostrzec. Ten eksperyment nigdy jeszcze nie został wypróbowany na planecie takiej jak Ziemia. Możliwe jest, że się nie uda. Jeżeli tak się stanie, to powierzchnia Ziemi, może zostać spustoszona przez wstrząsy.

To ich nieco zastopowało. Kenniston widział jak na ich twarzach pojawiają się cienie lęku, widział jak odwracają się do siebie nawzajem i rozmawiają, kręcąc głowami i z niepokojem rozglądając się do przodu i do tyłu.

W końcu jakiś głos zakrzyknął:

– A co myślicie pan i doktor Hubble? Jesteście naukowcami. Jaka jest wasza rada?

Kenniston zawahał się. Potem powoli powiedział:

– Gdybym był na Ziemi całkiem sam, to chyba bym tego spróbował. Ale wam nic nie mogę radzić. Musicie sami podejmować wasze decyzje.

Z kolei do mikrofonu podszedł Hubble.

– Nie możemy poradzić wam niczego, ponieważ po prostu sami nie wiemy. Mamy tu do czynienia z nauką z tak odległej przyszłości, że jest ona dalece poza naszym zasięgiem. Możemy jedynie przyjąć na wiarę, to co mówią nam ich naukowcy.

– Oni zaś mówią, że ta teoria działa w pełnej rozciągłości. Ostrzegliśmy was o możliwości niepowodzenia. To już od was zależy, byście zdecydowali jak duże jest ryzyko, jak wiele jesteście skłonni postawić na tę loterię.

Kenniston obrócił się i rozmawiał z burmistrzem Garrisem.

– Niech pan im powie, żeby dobrze to sobie przemyśleli. Potem niech pan wezwie ich do głosowania. Ci którzy chcą tego spróbować, niech przejdą na jedną stronę placu, ci którzy są przeciwni, na drugą.

Na boku, do Hubble'a natomiast powiedział:

– W sprawie takiej jak ta, powinni mieć miesiące na podjęcie decyzji, zamiast minut!

Hubble jednak odparł:

– To może mieć również swoje dobre strony. Nie będą się dręczyć zbyt długim czekaniem i rozmyślaniem.

Burmistrz Garris przemówił do tłumu. Tumult i zamieszanie na placu pogłębiało się, ponieważ ludzie próbowali dotrzeć do innych, aby zebrać od siebie nawzajem opinie na temat tego co powinni zrobić. Do uszu Kennistona docierały strzępki gorączkowych rozmów.

– Ci faceci z kosmosu, zrobili dla nas już wcześniej sporo dobrego, pomagając uruchomić to całe miasto. Oni wiedzą co robią.

– No nie wiem. Przypuśćmy, że spowoduje to straszne trzęsienia?

– Słuchaj, ci ludzie znają się na swojej robocie! Musi tak być, skoro żyją gdzieś w kosmosie, pośród gwiazd!

– Tak. A poza tym, ja już wolę siedzieć tutaj, z trzęsieniami ziemi, niż zostać wykopanym gdzieś na Drogę Mleczną.

W końcu burmistrz Garris zapytał:

– Czy jesteście gotowi do głosowania?

Byli gotowi, tak jak to w ogóle było możliwe.

Kenniston obserwował wszystko z bijącym sercem. Obok niego stał Jon Arnol i również się przypatrywał. Kenniston objaśnił mu całą procedurę. Zdawał sobie sprawę z tego, co Arnol musi przechodzić, czekając, podczas gdy jego dzieło życia zawisło na włosku.

Przez pewien czas ruch tłumu miał charakter chaotycznego zamieszania. Potem, stopniowo, ruch na obie strony stał się bardziej wyraźny.

Ci, którzy są za eksperymentem, przechodzą na prawą stronę placu…

Ci, którzy są przeciwko niemu, na lewą…

Rozstęp pomiędzy obiema grupami, powiększał się. Po chwili Kenniston zobaczył wyraźnie, że po lewej stronie, stało zaledwie ze dwie setki ludzi.

Głosowanie zostało zakończone. Eksperyment został zaaprobowany.

Kenniston poczuł, że słabną mu kolana. Kątem oka widział twarz Arnola, wzruszoną niemal do łez, z ulgi i radości. Sam również uświadamiał sobie swoją dziką ekscytację. A jednak, nawet w takiej chwili, nie był w stanie zdusić wszystkich dręczących go obaw.

A więc zadanie to zostało im powierzone, jemu, Arnolowi i reszcie. Na śmierć lub życie, zadanie zostało im powierzone.

Przemówił ponownie do mikrofonu.

– Musimy zrobić to najszybciej, jak tylko się uda. Mamy bardzo mało czasu, zanim przybędą tu statki Federacji, aby nas zatrzymać.

– Wszystkich was prosimy o to, abyście przygotowali się do opuszczenia tego miasta, natychmiast jak tylko zostanie to ogłoszone. Ze względów bezpieczeństwa, podczas detonacji bomby energetycznej, nikt nie pozostanie pod kopułą.

– Ci z was, którzy głosowali przeciwko eksperymentowi, zanim zostanie on przeprowadzony, otrzymają szansę na opuszczenie Ziemi. Krążownik międzygwiezdny może zabrać jedynie część spośród was, sugeruję wiec, abyście ciągnęli losy o miejsca na jego pokładzie.

Odwrócił się do tyłu, w stronę burmistrza.

– Czy teraz już zajmie się pan resztą? Proszę rozpocząć prace nad organizacją wyjścia z miasta, będziemy potrzebować każdej minuty, jaka będzie nam dana!

Hubble powiedział:

– Myślę, że lepiej zaprowadźmy już Jona Arnola do szybu.

Ekipa techniczna Arnola, dotarła już ze statku. Razem z Gorrem Hollem, Magro i samym Arnolem, zaczęli badać wielki szyb cieplny, podczas gdy Kenniston i Hubble stali bezczynnie, tylko się przyglądając.

W końcu Arnol powiedział.

– Da się to zrobić. Prowadzi prosto do samego środka jądra. Ale podobne szyby w innych miastach pokrytych kopułami, najpierw będą musiały zostać wysadzone i dobrze zasklepione.

Kenniston był zupełnie zaskoczony. Nawet o tym wcześniej nie pomyślał.

– Ale to zabierze mnóstwo czasu…

– Nie, nie tak znowu dużo. Kilku z moich ludzi może przelecieć się po tych miastach krążownikiem, i załatwić to naprawdę szybko. Oczywiście wziąłem ze sobą mapy Ziemi. Takich pokrytych kopułami miast, jest niewiele, zaledwie może z pół tuzina.

Kenniston pytał dalej:

– Ile czasu zabierze przygotowanie wszystkich niezbędnych spraw tutaj?

Arnol odpowiedział:

– Jeżeli uda nam się dokonać cudu, to będziemy gotowi na jutro w południe.

Kenniston kiwnął potwierdzająco głową.

– Zrobię każdą cholerną rzecz, żeby wam pomóc, podobnie jak i każdy z nas. Najpierw jednak musisz mi dać chociaż dziesięć minut.

Dziesięć minut, to nie było zbyt dużo. Zwłaszcza nie za dużo, dla człowieka, który właśnie pokonał pół wszechświata, i chciał tylko spędzić kilka chwil ze swoją dziewczyną. Ale czas był właśnie tym, czego im najbardziej brakowało, nieubłagany limit zbliżał się do nich z każdą upływającą sekundą. I nawet tych kilka krótkich minut, które wydzielił dla siebie, żeby pójść i zobaczyć się z Carol, było czasem wyrwanym i skradzionym z tego wspólnego dobra.

Zwłaszcza wobec tej straszliwej decyzji, jaka właśnie została podjęta, tej rzeczy którą mieli zrobić Ziemi, po prostu musiał ją zobaczyć, aby uciszyć jej lęki, i uspokoić ją najlepiej jak tylko potrafił. Myślał, że kiedy nadejdzie ta chwila, być może będzie chciała zapewnić

sobie bezpieczne schronienie na pokładzie krążownika, i mógł mieć jedynie nadzieję, że uda mu się dla niej zdobyć to miejsce.

Carol czekała na niego, tak jakby wiedziała, że zaraz przyjdzie. Ale ku zdziwieniu Kennistona, nie było po niej widać nawet śladu obawy. Wręcz przeciwnie, jej twarz była rozjaśniona z entuzjazmu i z nadziei, a oczy błyszczały w sposób jakiego nie widział już od bardzo długiego czasu.

– Ken, czy to naprawdę da się zrobić? – krzyknęła na jego widok. – Czy to naprawdę będzie działać i spowoduje, że Ziemia stanie się cieplejsza?

– Jesteśmy tego na tyle pewni, że stawiamy na tę kartę wszystko co mamy – powiedział. – Oczywiście zawsze jest ryzyko niepowodzenia.

Nawet nie chciała tego słuchać. Chwyciła go rękoma za ramiona, a podniecenie widoczne na twarzy, wręcz odbierało jej oddech, kiedy wykrzyknęła:

– Ale to przecież nie ma żadnego znaczenia! Warto to zrobić, nawet jeżeli istnieje tylko choćby minimalna szansa powodzenia! Jeśli pozwoli to nam wszystkim wrócić do Middletown…

Widział w jej oczach mgiełkę, głód i tęsknotę. Wyszeptała bezradnie:

– Pomyśl tylko o tym… będziemy mogli wrócić do naszego miasta, własnych domów, bliskich nam ludzi…

Teraz Kenniston wszystko zrozumiał. Jej tęsknota za starym miastem, dawnym stylem życia, była naprawę bardzo głęboka. Tak głęboka, ze kompletnie zniszczyła lęk, który mogłaby czuć w innym przypadku.

Wziął ją w swoje ramiona i pocałował. Dotknął jej włosów i pomyślał:

– Ona mnie kocha, ale jedynie jako część tego życia, które przeminęło. Nie po prostu Johna Kennistona, jako takiego, ale Johna Kennistona z Middletown. I znowu będzie ze mną szczęśliwa, jeżeli uda nam się zmienić nasze życie choć trochę, tak by ponownie stało się podobne do tego, jakie było kiedyś.

Dlaczego ta myśl jakoś nie przyniosła mu radości? Dlaczego ciągle miał w głowie Varn Allan, zmęczoną i samotną, a mimo to z odwagą stawiającą czoła szerokiemu wszechświatowi, niosącą brzemię swoich obowiązków, nawet jeśli było dla niej zbyt ciężkie?

Carol zaczęła go wypytywać:

– Jak tam było, Ken? Tam w kosmosie?

Pokręcił głową.

– Dziwnie… i wrogo… i przepięknie, w pewien swoisty, straszliwy sposób.

Powiedziała z zamyśleniem:

– Myślę, że ta podróż cię odmieniła, przynajmniej trochę. Myślę że każdego musiałoby to zmienić.

Lekko zadrżała, jak gdyby nawet w jego dotknięciu, był obecnie wyczuwalny mroźny oddech obcych głębi, skaza nieziemskich światów.

– Nie, Carol – odparł jej. – Ja się nie zmieniłem! Teraz jednak nie mogę zostać już dłużej. Muszę wracać do pracy… każda minuta jest cenna…

Kiedy śpieszył, aby wrócić do innych, Kenniston zauważył, że Nowe Middletown stało się rozbieganym, falującym wirem podniecenia. Zewsząd najróżniejsze głosy wykrzykiwały do niego pozdrowienia, chwytały go jakieś ręce, opóźniając powrót do pracy, mężczyźni i kobiety próbowali do niego dotrzeć z jakimiś pytaniami. Cieszył się, kiedy w końcu udało mu się dołączyć do pozostałych, zebranych wokół gardzieli wielkiego szybu cieplnego.

Gorr Holl posłał w jego kierunku swój przerażający, szeroki uśmiech.

– Mam nadzieję, że teraz jesteś już gotowy do pracy!

Kenniston pracował przez czas, który wydawał mu się wiecznością. Zwołani zostali wszyscy operatorzy maszyn, ślusarze, tokarze i inni ludzie z Middletown pracujący w metalu, każdy uchwytny człowiek, każdy dostępny element wyposażenia. Ze statku

międzygwiezdnego, przetransportowane zostały olbrzymie ładunki. Z ogłuszającym hałasem dzwoniły młoty, kształtując metal w zaimprowizowanych kuźniach. Nitownice huczały swoim grzmiącym staccato.

I stopniowo, w bólach, stworzone z potu i wysiłku ich ciał, nad gardzielą wielkiego szybu, wyrastało zbudowane ze stalowych belek rusztowanie.

Magro, wraz z technikami, pracował nad skomplikowanymi i delikatnymi zapalnikami elektrycznymi, zegarowymi urządzeniami wyzwalającymi i zdalnym sterowaniem przy użyciu fal radiowych, pozwalającym zrzucić i zdetonować ładunek z dużej odległości.

Kenniston miał zbyt mało czasu, by myśleć o czymś innym niż o swojej pracy. Jego umysł jednak dziwnie chętnie i często wracał do Varn Allan, zamkniętej w jej kabinie na pokładzie krążownika. Bez przerwy zastanawiał się, o czym mogła teraz myśleć.

Nadszedł ranek. Miasto do południa miało zostać oczyszczone z mieszkańców, tak więc mężczyźni i kobiety z Middletown, zbierali swoje dzieci i siebie samych w gotowości. Mieli nie brać ze sobą poza miasto wielu rzeczy. Niezależnie od tego co się stanie, nie będą zbyt dużo potrzebować.

Tajemniczo wyglądający czarny owal, został przyciągnięty na kółkach, na swoje miejsce koło szybu. Razem z nim przywiezione zostały cztery małe okrągłe przedmioty o zróżnicowanym wyglądzie.

– To są bomby zasklepiające, które zrobiliśmy w naszym laboratorium na statku, podczas lotu z Wegi – wyjaśnił Arnol. Zostaną zrzucone natychmiast po bombie energetycznej, i eksplodują w szybie chwilę przedtem, zanim ona wybuchnie pod nimi. Ich zadaniem jest zamknięcie i uszczelnienie szybu, aby zapobiec uderzeniu wstecznemu energii.

Kenniston obserwował jak technicy wkładają bomby zasklepiające, jedną nad drugą, w specjalne uchwyty wewnątrz ramy ze stalowych belek. Uchwyty były otwierane przez przekaźniki elektroniczne, sterowane z pulpitu zdalnego sterowania.

W miarę jak coraz bardziej zbliżał się ten brzemienny w skutki moment odpalenia bomby, Kenniston czuł coraz większe przerażenie. Jego strach spowodowany był przede wszystkim przez bezgraniczną ufność tysięcy mieszkańców Middletown, którzy przyjmowali siły nauki, z tą samą bezkrytyczną wiarą, z jaką ludzie kiedyś przyjmowali moce magiczne.

Miał tylko nadzieję, że jeśli eksperyment zakończy się katastrofalnym niepowodzeniem, to on nie dożyje chwili, w której miałby się o tym dowiedzieć.

Dźwig został nieco przerobiony, tak by mógł podnieść bombę energetyczną. Ludzie z zespołu elektroników, desperacko pracowali nad tym, żeby skończyć skomplikowaną instalację okablowania mechanizmów wyzwalających uchwyty, oraz nad odpowiednim zsynchronizowaniem, mających zadziałać w ułamku, sekundy przekaźników. Jeden z dźwigarów wspierających rusztowanie uległ uszkodzeniu i metalowcy pracowali w pocie czoła, żeby go szybko wymienić.

Jeszcze tylko kilka godzin, i wszystko będzie gotowe. W południe, lub najwyżej kilka chwil potem, będą już wiedzieli, czy Ziemia będzie żyła, czy umrze.

Wtedy zobaczył jak na miejsce budowy wpadł zdyszany jeden z ludzi Arnola. Biegł przez całą drogę od krążownika międzygwiezdnego. Nie mógł złapać tchu, a w jego oczach płonęło przerażenie.

W końcu krzyknął do Arnola.

– Na telewizor przyszła wiadomość od eskadry statków Kontroli! Powiedzieli, że zbliżają się do Ziemi i rozkazują nam, abyśmy natychmiast przerwali operację!

Rozdział 20: Spotkanie z przeznaczeniem

Kenniston odebrał uderzenie tych nowych wieści, jako katastrofalną klęskę ich wszystkich desperackich planów i nadziei. Zupełnie uszła z niego para. Stał tylko, patrząc na spoglądających po sobie kompletnie skamieniałych techników.

Jak złowieszcze echo, w jego umyśle dźwięczało ostrzeżenie Varn Allan:

– Nie da pan rady pokonać prawa Federacji!

Ale Jon Arnol, widząc jak niemal w ostatniej chwili pod znakiem zapytania staje marzenie jego życia, z wściekłością podbiegł do posłańca.

Chwycił go za ubranie.

– Czy pomyślałeś może o tym, żeby wziąć namiar odległościowy na źródło tej transmisji ze statków?

Mężczyzna pośpiesznie kiwnął głową.

– Tak. Odczyty były…

– Do diabła z odczytami! Jak daleko od Ziemi są te statki?

– Szacuję, że znajdują się one w odległości trzech lub czterech godzin drogi od nas, oczywiście jeśli będą lecieć z pełną szybkością.

– Nie bój się, z pewnością będą lecieć z pełną szybkością – ponuro odparł Arnol. Kiedy zwrócił się do pozostałych, jego twarz zamieniła się w spoconą maskę, z wystającymi, jakby wychudłymi kośćmi. – Czy będziemy gotowi na czas?

– Sterowniki otwierające uchwyty są już zamontowane – odparł jeden z inżynierów. – Przygotowanie wyzwalaczy czasowych zajmie godzinę, może nieco więcej.

Kennistonowi zaświeciło niewielkie światełko nadziei, kiedy usłyszał, że mogą sprostać w narzuconemu limitowi czasowemu.

– Z pewnością będziemy gotowi na czas, Arnol! Powiem im, żeby natychmiast rozpoczęli wyprowadzanie ludzi!

Burmistrza Bertrama Garrisa, nie trzeba było daleko szukać. Pulchny burmistrz, z bladą z niepokoju twarzą i wielkimi oczyma, przyglądał się ich pracy prowadzonej wokół wielkiego szybu.

Kenniston podbiegł w jego stronę:

– Proszę natychmiast rozpocząć wyprowadzanie ludzi, na grzbiet wzgórz. Samochodami pojadą tylko chorzy i zbyt starzy aby chodzić. Reszta będzie musiała pójść pieszo. Nie możemy ryzykować, powstania korka samochodowego!

– Tak – wysapał burmistrz. – Tak, natychmiast. – Złapał Kennistona za ramię, spoglądając obok niego na czarny, owalny korpus bomby. Jak gdyby wstydząc się strachu jaki czuł, Garris wyjąkał z trudem: – Czy niebezpieczeństwo jest naprawdę takie duże, panie Kenniston?

Kenniston uspokajająco uścisnął mu dłoń.

– Proszę się nie przejmować. Niech pan już idzie, i wyprowadzi tych wszystkich ludzi z miasta!

Żałował, że jemu nikt nie może dodać nieco pewności.

Następne godziny, były po prostu koszmarem. Pracowali pod potężną presją czasu, walcząc o każdą sekundę, a w dodatku wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. Metal, mechanizmy a już najbardziej narzędzia, zdawały się ze złośliwością rzeczy martwych, robić im na złość.

A jednak w końcu, wbrew wszelkim przeciwnościom, ciemny kształt bomby energetycznej, zwisał na uchwytach, ponad gardzielą szybu. Ostatni z mechanizmów zegarowych został ustawiony, i wszystko było gotowe do przeprowadzenia operacji.

– Niech wszyscy przygotują swoje wyposażenie – powiedział z napięciem w głosie Kenniston. – No dalej! Ciągle jest jeszcze wiele do zrobienia.

Z Hubblem, Arnolem i resztą, wyszli z budynku. Miasto wyglądało tak, jak wtedy, kiedy zobaczył je po raz pierwszy — puste, ciche, pozbawione życia. Ludzie już wyszli. Kiedy przeszedł przez portal, zobaczył ich zwartą masę, ciągnącą przez równinę, już daleko poza miastem. Tysiące mieszkańców Middletown, przelewało się przez grzbiet odległego łańcucha wzgórz.

Z niepokojem przebiegł wzrokiem po niebie. Nie było widać jeszcze nawet śladu eskadry statków Kontroli.

Arnol wysłał już przodem na wzgórza swoją ekipę techniczną, aby rozstawili urządzenia zdalnego sterowania oraz aparaturę pomiarową i rejestratory. Razem z nimi poszli również Gorr Holl, Magro i Hubble. Sam Kenniston i Arnol pobiegli w kierunku krążownika międzygwiezdnego.

Obok niego, w zimnie i w pyle, stała niewielka grupa ludzi. Byli to mieszkańcy Middletown, którzy opuszczali Ziemię.

Kenniston przyjrzał im się ze zdumieniem. Z dwu setek przeciwnych, może ze dwudziestu ludzi faktycznie przyszło pod krążownik. Arnol powiedział do nich szorstko:

– Teraz możecie już wchodzić na pokład.

Kilku z nich podniosło swoje pakunki, i stało z niepewnością, wodząc wzrokiem od swoich towarzyszy do Kennistona, najwyraźniej chcąc coś powiedzieć, ale nie wiedząc jak. Po chwili jednak odwrócili się i weszli do środka.

Niektórzy zostali na zewnątrz. Kenniston przeliczył ich szybko. Dwóch mężczyzn, trzy kobiety i dziecko.

– No i co? – warknął na tych, którzy pozostali. – Na co jeszcze czekacie? Wchodzić na pokład!

– Myślę – powiedział jeden z mężczyzn, a potem oczyścił gardło, odchrząkując, – myślę, że raczej zostanę z całą resztą.

Złapał swój węzełek i ruszył, podążając szybkim krokiem za odległym tłumem.

Jedno po drugim ruszali za nim, aż do chwili gdy nie pozostał już nikt. Mała, szybko idąca grupka ludzi pośród ogromnej pustej równiny.

Arnol uśmiechnął się lekko.

– Wśród twoich rodaków, Kenniston, nawet tchórze są odważni. W pewien sposób, nawet trudniej musi być tym, którzy zdecydowali się jednak odlecieć.

Weszli do krążownika, i wypuścili Mathisa, Lunda i Varn Allan z ich zamkniętych na klucz kabin. Varn Allan w ogóle się nie odezwała, ale koordynator powiedział zimno:

– A więc naprawdę macie zamiar to zrobić?

– Tak, mamy – odparł Arnol. – Mój pierwszy pilot zaraz zabierze stąd ten statek. Będziecie bezpieczni.

Norden Lund gorzko powiedział:

– Mam nadzieję, że wysadzicie się na drobne kawałeczki! A jeśli nawet stanie się inaczej, jeśli nawet uda się wam, to i tak nie zwyciężycie. Ciągle jeszcze będziecie musieli stawić czoła prawu Federacji. Daję wam słowo, że tego dopilnujemy!

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale teraz musimy już iść.

Odwrócił się by wyjść, ale Kenniston jeszcze czekał, ciągle patrząc na Varn Allan. Jej twarz była nieco blada, ale nie było na niej widać gniewu, tak jak na twarzy Lunda. Ona również przyglądała się jemu, badawczym, spokojnym wzrokiem.

Chciał z nią porozmawiać, chciał wydusić z siebie to co czuł w sercu, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. W końcu, zdołał jedynie powiedzieć:

– Bardzo mi przykro, że wszystko potoczyło się w taki sposób, Varn. Do widzenia…

– Poczekaj, Kenniston.

Zatrzymał się, a ona podeszła do niego, blada i spokojna, z tymi swoimi niebieskimi oczyma, wbitymi nieustannie w jego twarz. Powiedziała:

– Zostanę tutaj, kiedy będziecie to robili.

Gapił się na nią, ogłupiały ze zdziwienia. Słyszał tylko jak Mathis wykrzyknął:

– Allan, czy pani oszalała? Co też pani chce zrobić?

Powoli odpowiedziała Mathisowi:

– Jestem administratorem tego sektora wszechświata. Jeśli to moje błędy spowodowały powstanie tego całego kryzysu, to nie mam zamiaru unikać jego konsekwencji. Zostanę tu.

Lund krzyknął do Mathisa.

– Ona wcale nie myśli o swojej odpowiedzialności! Ona myśli o tym dzikusie, o tym Kennistonie!

Odwróciła się do niego, jak gdyby chcąc udzielić wściekłej odpowiedzi. Nic jednak nie powiedziała. Zamiast tego popatrzyła na Kennistona, z białą i napiętą twarzą.

Mathis powiedział do niej zimno:

– Nie wydam pani polecenia, aby udała się pani z nami. Proszę być jednak pewną, że pani zachowanie zostanie zapamiętane, kiedy ponownie oceniana będzie pani zdolność do sprawowania urzędu.

Skłoniła się na to w milczeniu, a następnie odwróciła się do nich plecami i wyszła ze statku. Podążający za nią Kenniston, poczuł w swych myślach jakieś cudowne, niewiarygodne emocje, których nie ośmielał się analizować.

Kiedy wyszli na zewnątrz, w czerwone światło słoneczne, krążownik gwiezdny z delikatnym szumem wzbił się w niebo i wkrótce zniknął im z oczu.

Ostatni ludzie z ciemnej, rozciągniętej masy zniknęli już poza wzgórzami, kiedy Kenniston, Varn Allan i Arnol wyruszyli w tamtą stronę.

– Pośpieszmy się! – popędzał ich Arnol. – Nawet teraz, może się jeszcze okazać, że jest za późno!

Kiedy dotarli do grzbietu wzgórz, Gorr Holl, Magro i Hubble czekali tam już na nich, razem z młodymi technikami i ich aparaturą. A Gorr Holl kiedy ich zobaczył, wydał z siebie huczący okrzyk.

– Tak sobie myślałem, że tu zostaniesz, Varn!

Wspięła się na samą górę, i zapytała go na wpół gniewnym tonem:

– A skąd niby miałbyś…? – Przerwała gwałtownie i na chwilę umilkła, a potem spytała: – Kiedy?

– Wszystko jest już przygotowane – odpowiedział wielki Capellanin. Kenniston widział, że pulpit zdalnego sterowania i panele dziwacznych instrumentów, zostały już rozstawione i są gotowe do użycia. Zerknął na Arnola.

Twarz naukowca była pokryta warstewką potu. Uszedł z niej cały kolor, a ręce lekko się trzęsły. W tym momencie stał u szczytu całego swego życia, zwieńczenia tych wszystkich lat bólu i wysiłku.

Powiedział dziwnie bezbarwnym głosem:

– Lepiej przekaż im ostrzeżenie, Kenniston. Teraz.

Pod nimi, na przeciwległym stoku wzgórza, czekało tysiące mieszkańców Middletown.

Kenniston zszedł w ich stronę. Zaczął do nich krzyczeć, a jego brzmiący wątle i nierealnie głos, chłodny wiatr unosił, ponad martwymi skałami i pyłem.

– Schować się za grzbietem wzgórza! Przekazać dalej, żeby się schować! Zaraz będziemy to wysadzać!

Spoglądali na niego, cała ta masa zebranych białych twarzy, wyglądających niesamowicie blado w przyćmionym świetle Słońca — umierającego Słońca, które obserwowało ich swoim obojętnym, czerwonym okiem.

Pośród zebranych ludzi zapadła głucha cisza. Potem pojedynczo, dwójkami, a następnie już całymi setkami zaczęli klękać, żeby się pomodlić. Inni, również liczący się w setki, stali nieruchomo i w milczeniu, poważnie patrząc w górę, na grzbiet łańcucha wzgórz. To tu, to tam rozpłakało się jakieś dziecko. Powoli, jakby pochwycony przez jakiś dziwny i wróżebny sen, Kenniston wspiął się z powrotem, do miejsca, gdzie stali Arnol i inni. Daleko, poza nimi, widział kopułę miasta, ciągle rozjarzoną światłem, tak jak ją pozostawili, samotną pośród ogromnej, jałowej równiny.

Myślał o tej czarnej rzeczy, czekającej samotnie w mieście, aby wykonać swój ostatni koszmarny lot, i wstrząsnął nim głęboki dreszcz. Wyciągnął rękę, i dotknął ramienia Varn Allan.

W tych ostatnich chwilach, zanim palce Arnola nacisnęły ten najważniejszy przycisk na pulpicie sterującym, Varn Allan spojrzała obok Kennistona w dół, na te czekające w ciszy tysiące ludzi, które były ostatnią ze wszystkich ludzkich ras na starej Ziemi.

– Teraz widzę – szepnęła, – że pomimo tego wszystkiego, co zyskaliśmy od twoich czasów, coś również utraciliśmy. Odwagę, tę zdolność ślepego rzucenia wyzwania wszystkiemu i wszystkim… Bardzo się cieszę, że tu zostałam!

Arnol złapał ostry i łapczywy oddech.

– Dokonało się – powiedział.

Przez długą, niemal jak wieczność, chwilę, martwa Ziemia spoczywała niewzruszona. Potem Kenniston poczuł jak stok wzgórza podskakuje pod jego nogami… raz, drugi, …czwarty. Ostre, kruszące wstrząsy wybuchów bomb zasklepiających, zapieczętowały wielki szyb.

Arnol przyglądał się drżącym wskazówkom instrumentów. Teraz ręce już mu się nie trzęsły. Było już zbyt późno na wszystko, nawet na emocje.

Poczuli drżenie Ziemi, które narodziło się głęboko, bardzo głęboko w samym jej jądrze, rozchodzący się wstrząs, idący powoli w górę, w stronę jałowych skał, który dotknął ich zaledwie i zniknął.

To było tak, jakby nagle zaczęło ponownie bić martwe serce. Bić silnie, miarowo, radośnie, serce odrodzonej planety…

Wskaźniki na panelu z przyrządami, zaczęły latać jak szalone. Stopniowo ich wahania przygasły i wróciły do normalnych wskazań. Wszystkie z wyjątkiem jednego rzędu mierników, w który Arnol i jego ekipa wpatrywali się z nadludzką intensywnością.

Kenniston nie był już w stanie dłużej znieść tej nieludzkiej ciszy.

– Czy to… – Jego głos zmienił się w chrypliwe pianie.

Arnol powoli, bardzo powoli, odwrócił się do niego. Mówił tak, jakby z trudem przychodziło mu wykrztusić z siebie każde słowo.

– Tak. Reakcja już się rozpoczęła. We wnętrzu Ziemi płonie teraz potężny płomień ciepła i życia. Oczywiście miną jeszcze tygodnie, zanim to ciepło i życie osiągną powierzchnię, ale ta chwila wkrótce nadejdzie.

Potem odwrócił się tyłem do Kennistona, do nich wszystkich. Musiał teraz powiedzieć kilka słów swoim zmęczonym, czekającym, młodym ludziom, którzy tak długo z nim pracowali.

Rozpoczął przemowę:

– Tutaj, na tej małej planecie, na Ziemi, jeden z naszych dzikich przodków, podpalił drewno, aby się przy nim ogrzać. Teraz my, podpaliliśmy całą planetę. A w kosmosie jest jeszcze tak wiele innych, zimnych, umierających planet…

Kenniston nie słyszał już ani słowa. Wszędzie dookoła zerwała się głośna gadanina. Varn Allan wczepiła się w niego, Gorr Holl wrzeszczał ogłuszająco, słyszał również z trudem wyjąkiwane pytania burmistrza Garrisa i udzielane drżącym głosem odpowiedzi Hubble'a.

Ponad tym wszystkim, dobiegał odgłos tupotu tysięcy stóp. Tysiące mieszkańców Middletown, podchodziło w górę zbocza, wspinało się niemal biegnąc, z wypisanym na twarzach jednym pytaniem: życie czy śmierć.

Ty im to powiedz, Ken – powiedział Hubble, niewyraźnym ze wzruszenia głosem.

Kenniston stanął na szczycie wzgórza, a tłum poniżej zamarł w nerwowym milczeniu, czekając aż do nich przemówi.

– Odnieśliśmy wspaniały sukces! Nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, a w ciągu kilku tygodni, ciepło z jądra Ziemi, zacznie docierać na powierzchnię…

Przerwał na chwilę, żeby się zastanowić. Te nie były słowa, które mogłyby dotrzeć do ich serc. Wtedy znalazł w głowie takie słowa, i wykrzyczał je do tysięcy słuchaczy:

– Przez milion lat, na Ziemi panowała mroźna zima. Teraz jednak, już wkrótce, na naszą planetę wróci wiosna. *Wiosna*!

To byli w stanie zrozumieć. Zaczęli śmiać się łkać, potem krzyczeć, i krzyczeć z radości.

Nadal ciągle krzyczeli, kiedy wielkie krążowniki Kontroli, zaczęły szumiąc, spływać szybko w dół z mrocznego nieba.

Rozdział 21: Budzący się świat

Powoli, bardzo powoli, w ciągu tych kilku tygodni nadeszła wiosna. To nie była może taka wiosna, jak na starej Ziemi, ale każdego dnia wiatr stawał się nieco łagodniejszy, a teraz w końcu, w górę zaczęły przepychać się pierwsze źdźbła traw, naznaczając brunatne równiny dotknięciem zieleni.

Kenniston dowiadywał się o tym jednak, jedynie z zasłyszanych wieści. Wraz z innymi uwięziony był w jednym z budynków w Nowym Middletown. Mijały tygodnie oczekiwania, na to aż przybędzie z Wegi specjalny Komitet Gubernatorów, potem tygodnie przesłuchań, powolnego zbierania zeznań i uważnego badania motywów. Teraz już, od kilku dni czekali tylko na końcowy wyrok.

Arnol nie miał żadnych zmartwień. Był chyba najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Mówił bardzo mało, ale przez cały ten okres w którym trwały przesłuchania, w jego oczach płonęły światła tryumfu. Praca jego życia zakończyła się sukcesem, i był z tego nieziemsko zadowolony.

Podobnie niczym wydawali się nie przejmować Gorr Holl i Magro. Wielki Capellanin, nawet w tej chwili, gdy oczekiwali na decyzję, nadal był rozradowany.

– A co oni, u diabła, mogą mi takiego zrobić? – mówił Kennistonowi, chyba po raz dwudziesty. – Pewne rzeczy już się wydarzyły i są nieodwracalne. Zostało udowodnione, że proces Arnola może być zastosowany w praktyce, i do dzisiaj wie już o tym cała galaktyka. Teraz nie będzie już można odmówić umierającym światom ras humanoidalnych możliwości jego zastosowania. Nie ośmielą się tego zrobić!

Magro dodał:

– Nie mogą też zmusić twoich rodaków do ewakuacji z Ziemi, teraz kiedy stała się wyraźnie cieplejsza. To by po prostu nie miało sensu.

Kenniston odparł jednak:

– Ale mogą nas trzymać do końca życia w zamknięciu, i nie mogę powiedzieć, aby mnie to specjalnie ucieszyło.

Gorr Holl uśmiechnął się do niego szeroko:

– Człowieku, pamiętaj, że jesteśmy tylko emocjonalnymi prymitywami, i będą musieli wziąć ten fakt pod uwagę.

Kiedy zostali ponownie wprowadzeni do wielkiej sali, w której mieli wysłuchać wyroku, wzrok Kennistona, skierował się nie na trzech ludzi i humanoida, którzy zasiadali za stołem, ale w stronę Varn Allan. Wiedział, że jej własna kariera, podczas tego posiedzenia, może również spłonąć na stosie. Nie wyglądała jednak na specjalnie przejętą tą sytuacją, i wyszła naprzeciw jego spojrzeniu z poważnym, lekkim uśmiechem.

Lund, który siedział obok niej, wyglądał dla odmiany na czujnego i z lekka zdenerwowanego. Rzucał w kierunku Kennistona twarde spojrzenia, ale natychmiast kiedy tylko rozpoczęło się odczytywanie wyroku, Kenniston odwrócił od niego wzrok.

Na twarzy starego człowieka, który go odczytywał, najstarszego z czterech gubernatorów obecnych w komitecie, nie było nawet najmniejszego śladu życzliwości. Przemawiał jak ktoś, kto z niechęcią, wykonuje bardzo nieprzyjemny obowiązek.

– Wy, przywódcy tej szajki, inspiratorzy całego przedsięwzięcia, za wasz czynny i bezpośredni opór przeciwko Gubernatorom, zasłużyliście na zasądzenie w stosunku do was

najbardziej surowych kar, przewidzianych przez prawodawstwo Federacji – powiedział. – W waszym przypadku całkiem sprawiedliwym wyrokiem byłaby kara dożywotniego więzienia.

Popatrzył na nich zimnym spojrzeniem. Gorr Holl szepnął do Kennistona:

– Oni próbują nas tylko wystraszyć… – Jego głos teraz nie brzmiał już jednak tak pewnie.

Stary gubernator kontynuował:

– W tej jednak sprawie osiągnięcie wyroku na czysto prawnych podstawach, jest zupełnie niemożliwe. Musimy przyznać, że ten wasz *fait accompli*, stworzył zupełnie nową sytuację. Obecnie Rada Gubernatorów, wydała aprobatę dla stosowania procesu Arnola na niektórych innych planetach…

Kenniston stwierdził, że trudno, naprawdę trudno, było wyobrazić sobie to, że wielka długotrwała bitwa o przetrwanie umierających planet, została właśnie zakończona. Tymi, przed chwilą wypowiedzianymi słowami.

– … na niektórych innych planetach, a to stawia nas w sytuacji pewnego impasu prawnego. Ukaranie was w tej chwili, za jego zastosowanie w tym miejscu, byłoby w sensie moralnym, jeśli nawet nie prawnym, ukaraniem was za naruszenie prawa, które już nie obowiązuje.

Gorr Holl wydał z siebie tak długie i hałaśliwe westchnienie ulgi, że został natychmiast zgromiony i poproszony o zachowanie ciszy.

– W tej sytuacji, nie pozostaje nam więc nic innego, niż zwolnić was, udzielając jedynie urzędowej nagany Rady Gubernatorów, za wasze niewłaściwe zachowanie.

Teraz kiedy przyszła ta chwila, teraz kiedy cała sprawa była już skończona, Kenniston stwierdził, że po tym wszystkim czuje zaskakująco niewielkie emocje. Kwestie, z którymi mieli do czynienia, były tak doniosłe, że pomniejszało to znaczenie ich osobistych losów. Oczywiście wiedział, że uczucie ulgi nadejdzie później, że niedługo będzie się cieszył i dziękował Bogu, ale teraz jednak…

Gubernator jeszcze nie skończył. Przemówił teraz bezpośrednio do Varn Allan.

– Oprócz tego, a w zasadzie przede wszystkim, głównym zagadnieniem pozostaje jednak zachowanie urzędników odpowiedzialnych za rozwiązanie tej sprawy. Jesteśmy zmuszeni, do wyrażenia oficjalnej krytyki tego, co wydaje się niewybaczalnym niedocenianiem powstałego problemu psychologicznego, przez właściwego Administratora, i… – tutaj skierował wzrok w stronę Nordena Lunda, – częściowo również Młodszego Administratora, w oczywisty sposób próbującego utrudniać działanie swojemu przełożonemu, z powodów czysto osobistych.

Zimny głos zakończył wystąpienie krótkimi, twardymi zdaniami.

– Rekomendujemy. Dla Administrator Allan: degradacja o jeden stopień. Dla Młodszego Administratora Lunda: degradacja o jeden stopień. Posiedzenie zostało zakończone.

Kenniston spojrzał przez wielką salę na Varn Allan. Jej twarz pozostała kompletnie nie zmieniona i w ciszy odwróciła się, aby wyjść.

Gorr Holl klepnął go potężnie przez plecy. Magro mówił coś do niego z podnieceniem, ale Kenniston wyrwał się im i poszedł za Varn. Zobaczyła, że idzie w jej stronę i zaczekała na niego. Między nimi jednak wyrósł Norden Lund.

Twarz Lunda stała się niemal biała ze wściekłości, kontrolowanej jedynie z najwyższym trudem, a głos, kiedy odezwał się do Kennistona, był wręcz trudny do zrozumienia:

– Tak więc, ty prymitywny dzikusie, udało ci się zniszczyć moją karierę?

Varn Allan wtrąciła pogardliwie:

– Sam ją sobie zniszczyłeś, Norden, swoimi spiskami i ambicjami.

Odwrócił się do nich plecami i pośpiesznie odszedł. Varn Allan, spoglądając za nim wzrokiem, westchnęła tylko i powiedziała:

– Zrobiłeś sobie z niego śmiertelnego wroga, Kenniston.

Nawet o tym nie myślał. Poczekał, aż odwróci się ponownie w jego stronę, i zapytał:

– Czy ty również jesteś moim wrogiem, po tym co ci zrobiłem?

Pokręciła przecząco głową i poważnie powiedziała:

– Nie. To nie była twoja wina. W tej nowej i zawikłanej sytuacji, po prostu zawiodłam. To wszystko.

– Do diabła, jeśli to prawda! – wybuchnął gniewem. – Byli nieuczciwi w stosunku do ciebie! Zrobiłaś wszystko co mogłaś, i…

– I to nie było wystarczająco dobre – dokończyła za niego. I wtedy lekko się do niego uśmiechnęła. – To nie jest żadna tragedia. Brzemię dźwigane przez Administratora, nie jest lekkie. Nie jestem tak do końca zmartwiona.

Nigdy nie podziwiał jej odwagi tak bardzo, jak teraz. Chciał jej o tym powiedzieć, chciał jej powiedzieć o tak wielu rzeczach, ale ona nieco się od niego odwróciła, mówiąc:

– Dziś jest twój wielki dzień, Kenniston. Dzisiaj właśnie pozwolono tym z twoich rodaków, którzy tego chcą, powrócić do waszego starego miasta.

– Tak, słyszałem już, że to ma być właśnie dzisiaj.

– Ty również pojedziesz tam, z twoją Carol. Będzie chyba bardzo szczęśliwa.

Powiedział tylko:

– Varn…

Ale nie chciała odwrócić się do niego przodem. Odparła jedynie:

– To jeszcze nie jest pożegnanie. Wrócisz tu, zanim odlecimy z Ziemi.

Stał, zbity z tropu uczuciami, których nie potrafił tak do końca określić. W końcu powiedział:

– Tak. Tak, z pewnością przedtem tu wrócę.

Odeszła od niego, a on odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie znikła. Następnie, wolnym krokiem, przeszedł przez wielką, teraz już opustoszałą salę, i wyszedł z budynku na ulicę.

Potężna wrzawa i dźwięki orkiestry, wręcz uderzyły go w twarz. Plac był kompletnie wypełniony ludźmi, ale pośród tłumu otwarte było szerokie przejście dochodzące do alei, która prowadziła dalej do portalu. A środkiem tego przejścia maszerowała w kierunku portalu, Orkiestra Szkoły Średniej w Middletown, przebrana na tę okazję w swoje wydobyte z głębi szaf szkarłatne mundury, z majoretkami paradującymi z bębenkami, rycząc na trąbkach, waląc w talerze i hucząc wielkimi bębnami.

Za nimi jechał błyszczący, otwarty kabriolet, ze stojącym na tylnym siedzeniu burmistrzem Garrisem. Jego pulchna twarz jaśniała jak słońce, radośnie wymachiwał w stronę wiwatujących ludzi, trzymanym w ręku kapeluszem. Za jego samochodem, toczyła się długa kolumna innych pojazdów — antycznych gratów, lśniących furgonów, rodzinnych sedanów, wypełnionych podnieconymi mężczyznami i szlochającymi kobietami. Był to początek długiej karawany, sformowanej dla powrotu do starego Middletown.

W pobliżu Kenniston zobaczył tłum rozradowanych ludzi, który otoczył Jona Arnola, Hubble'a, Gorra Holla i Magro. Wiedział, że jeśli go zobaczą, to zaciągną go do tej grupy, więc zawrócił i okrążył cały plac dookoła, udając się dalej po chwilowo opustoszałych ulicach, w stronę kwater zajmowanych przez Carol i jej ciotkę.

Carol aż podskoczyła do góry, z okrzykiem radości, kiedy wszedł do środka.

– Och, Ken, w końcu jesteś wolny! Powiedzieli, że to będzie dzisiaj, więc czekałam i miałam nadzieję…

– Tak, to już koniec tej całej sprawy – Stał, nie za bardzo wiedząc, co jej powiedzieć, dopóki nie podeszła pani Adams.

– A więc co, możemy już stąd wyjechać, tak jak inni? – Pani Adams powiedziała z niepokojem. – Teraz możemy już wracać do Middletown?

– Zaraz jak tylko uda się wam spakować, a ja załatwię jeepa – odparł uspokajająco.

– Jestem spakowana już od wielu dni – powiedziała do niego. – Nie mam zamiaru pozostać w tym nieziemskim miejscu, nawet minuty dłużej, niż będę musiała! Proszę sobie

wyobrazić, powiedziano mi, że wielu młodych ludzi ma zamiar zostać tutaj *z własnej woli*! Powiedzieli, że teraz jest tu dużo lepiej niż w Middletown!

Kennistona ponownie prześladowało to swoiste poczucie nierealności, kiedy wziął jeepa, zapakował do niego ich rzeczy, a potem dołączył do powolnego, co chwila hamowanego przez wąskie gardła ruchu, który obecnie nieustannie wytaczał się z miasta pod kopułą.

Czy to wszystko miało się tak właśnie skończyć? Czy to mogła być prawda, że jedzie z powrotem do starego miasteczka, do tego dawnego stylu życia, po tym wszystkim czego dokonał i co zobaczył?

Wzdłuż szerokiej alei, pomiędzy wyniosłymi białymi wieżowcami, przez portal, spod kopuły — czerwone Słońce nadal świeciło ponuro, ale wiatr wiejący nad równiną, był bardziej delikatny, niż ten, który Ziemia czuła od miliona lat. Poruszał małymi, nieśmiałymi pędami młodej trawy, niosąc ze sobą oddech ciepłego nowego życia.

Samochody jechały przed nimi, samochody jechały za nimi, toczyły się w kierunku grzbietu wzgórz, pałając chęcią zobaczenia starego miasta. Właśnie mijali mały krążownik Jona Arnola, a potem tytaniczne czarne kadłuby wielkich statków międzygwiezdnych, stojące w zadumie nad równiną, okryte majestatem olbrzymów, którzy znali sekrety nieskończoności.

Obejrzał się do tyłu na wielkie statki, rozmyślając o ogromnych przestrzeniach międzygwiezdnych, które będą one przemierzać. Potem jednak spoglądał już tylko do przodu.

I w końcu, nareszcie, ochoczo mknące samochody osiągnęły wierzchołek wzgórz i radośnie ruszyły w pośpiechu do starego Middletown.

Wszędzie dookoła, stare, dobrze znane ulice, zaczęły już wracać do życia. Okiennice były już pootwierane, rolety przeciwburzowe zostały popodnoszone, drzwi otwarte szeroko na oścież, wpuszczając delikatne powiewy wiatru. Kobiety zajęły się miotłami i szczotkami, czyszcząc pokryte pyłem ganki domów. Donośne głosy dzieci i szczekanie psów, mieszały się z odgłosami hałaśliwej niecierpliwości klaksonów samochodowych.

Wzdłuż Mill Street, do Main Street i dalej. W ten sposób dojechali w końcu do starego szarego domu, który wyglądał tak, jakby pozostawili go wczoraj.

Kenniston zatrzymał jeepa przy krawężniku. Pani Adams wysiadła. Powoli weszła w górę po schodkach i otworzyła kluczem drzwi. Przez moment stała w progu, rozglądając się w środku.

– Nic się nie zmieniło – wyszeptała z ulgą. – Ale wszędzie pełno tego kurzu. Będę musiała posprzątać…

Nagle usiadła w swoim fotelu, stojącym przy oknie i zaczęła plakać ze szczęścia.

Carol nie weszła od razu do środka. Czując ogarniające go dziwne napięcie, Kenniston zapytał ją:

– Czy ty również jesteś szczęśliwa, Carol?

Kiwnęła potwierdzająco głową, na wpół uśmiechnięta wyglądając na zewnątrz, na budzącą się do życia ulicę.

– Tak, Ken.

Powiedział więc krótko:

– No cóż, muszę teraz pojechać do Nowego Middletown, żeby zobaczyć się z Gorrem Hollem i innymi, zanim stąd odlecą. Szybko jednak tu wrócę.

Spojrzała w jego twarz i spokojnie odparła:

– Nie, Ken. Nie wracaj do mnie.

Wpatrywał się w nią z ze zdumieniem.

– Carol, co chciałaś przez to powiedzieć?

Jej delikatna twarz, była zupełnie nieruchoma.

– Chciałam przez to powiedzieć, że ty już zupełnie nie należysz do tego miejsca, Ken. Zmieniłeś się, kiedy wyruszyłeś tam, w kosmos. W ciągu nadchodzących dni, zmienisz się jeszcze bardziej. Coraz bardziej i bardziej będziesz się skłaniał w kierunku tego nowego,

dziwnego sposobu życia. – Po chwili dodała jeszcze: – A ja nie potrafię się zmienić. Nie w ten sposób. U mego boku byłbyś nieszczęśliwy, zmuszony do trzymania się starych rzeczy i spraw.

Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że mówiła prawdę, ale jednak czuł się w obowiązku zaprotestować.

– A te wszystkie plany, które razem robiliśmy na przyszłość, Carol…

Pokręciła przecząco głową.

– Te plany robiłam z całkiem innym człowiekiem, człowiekiem, którego już tutaj nie ma, i nigdy też tu nie wróci.

Wspięła się na palce i pocałowała go na pożegnanie. Potem weszła do środka, i zamknęła za sobą drzwi.

Kenniston przez chwilę stał przed jej domem, wahając się co zrobić. Potem powoli wrócił do jeepa i wyjechał ze starego Middletown.

Z grzbietu wzgórz, ponownie zobaczył statki międzygwiezdne, spoczywające na równinie koło miasta pod kopułą. A samo miasto ciągle żyło. To wielu młodszych ludzi z Middletown, dokonało wyboru, że chcą nadal w nim pozostać — ludzie młodzi umysłem, którzy nadal potrafili patrzeć do przodu i czekać na nowe.

Teraz, kiedy Ziemia jest ponownie zamieszkana, statki międzygwiezdne będą tu nadal przylatywać. Ludzie pochodzący z najdalszych gwiazd, będą się mieszać z mieszkańcami Middletown, a młodzi ludzie pochodzący stąd będą wyruszać do innych gwiazd, i stopniowo cała ta dziwna historia Middletown, zostanie wchłonięta przez główny nurt historii świata.

Kenniston ruszył pośpiesznie jeepem w kierunku miasta pod kopułą. Czuł rozsadzające go wręcz nowe uczucie wolności, i głęboką wdzięczność dla Carol, za to że nie próbowała go zatrzymać przy sobie. Czuł co prawda również pewną niepewność, ale kurczyła się ona z każdym metrem. Rozciągały się przed nim teraz ogromne nowe horyzonty, bezgraniczne horyzonty kosmosu, nie mające końca aleje nowej myśli. Nadal był dzieckiem starszej Ziemi, i jego przyszłe życie mogło być dziwne i samotne.

Znalazł pozostałych, ciągle jeszcze byli na placu, rozmawiali między sobą — Gorr Holl, Magro i Arnol. Razem z nimi stała Varn Allan. Zobaczyli go, jak podjeżdża. Gorr zaczął machać ręką i wrzeszczeć do niego. Kiedy jechał w ich stronę, widział, oczy Varn Allan, oczekujące go z niecierpliwością, i nagle wiedział już z całą pewnością, że się mylił, i że przez wszystkie te dziwne lata, które go czekają, wcale nie będzie sam.

KONIEC